

Joanna Maitland

**Propozycja
uwodziciela**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czekam za długo, Hugo. Nic, co masz do powiedzenia, ani trochę tego nie zmieni. - Kit Stratton zwracał się do starszego brata ze spokojną pewnością siebie, uśmiechając się lekko, jakby omawiali sposób wiązania krawata lub zapach nowej wody toaletowej. Siedział rozparty wygodnie w fotelu, jedną nieskazitelnie obutą nogę przerzucił przez poręcz. Można było odnieść wrażenie, że to Kit, a nie Hugo, jest właścicielem komfortowego, pełnego książek gabinetu, w którym się znajdowali.

Sir Hugo Stratton przestał się nerwowo przechadzać i spojrzał na brata, nie kryjąc irytacji.

- Na litość boską, Kit, chyba odjęło ci rozum. Stratton Magna jest w rękach rodziny od pokoleń, a ty ryzykujesz utratę rodzinnej posiadłości na rzecz starej wiedźmy, grając w karty. Chyba nie zamierzasz ciągnąć tej farsy? Poza tym to zdarzyło się dawno temu. Powinieneś dać sobie spokój.

- Nie. - Kit zdecydowanie pokręcił głową. - Zapominasz, co ona mi zrobiła... co nam zrobiła. Kierowała się czystą złośliwością, Hugo, a ja przysiągłem sobie, że pewnego dnia dokonam zemsty. I właśnie nadszedł ten dzień.

- I nie obchodzi cię, że przy okazji możesz stracić rodzinną posiadłość? Na Boga, żałuję...

- Żałujesz przede wszystkim tego, że namówiłeś Johna, by mi ją zostawił, prawda? - wszedł mu w słowo Kit.

Hugo poczerwieniał na twarzy.

- John pewnie przewraca się w grobie. - Ton jego głosu zdradzał, że jest bliski wybuchu. - A ja... - gniewnie parsknął - ależ byłem głupi. Sam przekonałem Johna, żeby zapisał Stratton Magna tobie zamiast mnie. To ja powiedziałem, że potrzebujesz kawałka własnej ziemi w Anglii, żebyś przestał się łądaczyc w Wiedniu. Myślałem, że...

- Ustatkuję się i wychowam gromadkę udanych potomków? - dokończył kpiąco Kit, podstawiając kieliszek do napełnienia. - Nigdy. W przeciwieństwie do ciebie nie mam upodobania do dzieci, więc chętnie pozostawię ci starania o przedłużenie rodu Strattonów. Wiesz doskonale, że nie zamierzam dać się złapać w ślubną pułapkę. Byłem tego bliski. Gdyby Emma nie wybrała ciebie... - Pozwolił sobie na kwaśny uśmiech. Skompromitował dziedziczkę, ale to Hugo się z nią ożenił... ponieważ go pokochała. Hugo i Emma byli małżeństwem od pięciu lat; na ich szczęście rzuciły cię jedynie śmierć ojca Emmy i najstarszego z braci Strattonów. Teraz Hugo był głową rodu, baronetem, niesamowicie bogatym człowiekiem. Nie potrzebował rodzinnej posiadłości w Stratton Magna.

W przeciwieństwie do Kita.

- Wierz mi, naprawdę doceniam twoją wielkoduszość - ciągnął z uśmiechem Kit. Był zdecydowany postawić na swoim. - Łatwo zgadnąć, co myśleliście ty i John, zostawiając mi Stratton Magna. Jako najstarszy żyjący z braci to ty powinieneś odziedziczyć rodową posiadłość, nie ja. Gdybym wiedział, co planujecie, mógłbym cię ostrzec, na jakie ryzyko się wystawiasz.

- Doprawdy? - zdziwił się Hugo z ironią. - Gdybym wiedział, co ty planujesz, trzymałbym język za zębami. Tymczasem...

- Tymczasem Stratton Magna należy do mnie i mogę się

odegrać na lady Luce, nie łamiąc danego ci słowa. Przyrzekłem ci, że nigdy nie będę grał o więcej, niż mogę stracić. Dopóki nie odziedziczyłem posiadłości, nie mogłem wrócić do Anglii i zmierzyć się z lady Luce. Teraz mogę.

- Mogłeś zostać na stałe po śmierci Johna - przypomniał mu Hugo z naciskiem.

Kit zapadł głębiej w fotel. Minał ponad rok, odkąd John i jego żona zginęli w tragicznym wypadku. Rodzina spodziewała się, że po pogrzebie brata Kit zostanie w Anglii, ale nie był gotów do spełnienia ich oczekiwań.

- Miałem... inne sprawy na głowie - rzekł wymijająco, wpatrując się w kieliszek z winem. - Można powiedzieć, że były to rozrywki, z których jedna jest obecnie w Londynie. - Popatrzył na brata i nie dostrzegł już gniewu na jego twarzy. - Możesz być pewien, że dzięki Emmie czegoś się nauczyłem. Postanowiłem skupiać się wyłącznie na paniach z... hm... doświadczeniem, które nie zagrażą mojemu kawalerskiemu stanowi.

- Pod warunkiem, że ich mężowie nie przyłapią cię z nimi w łóżku - wtrącił cierpko Hugo. - Wyzwany na pojedynek, mógłbyś nie obronić własnej skóry.

- Tak się składa - oznajmił Kit z wystudiowaną nonszalancją - że parę razy zostałem przyłapany i wyszedłem z tego cało.

- Dobry Boże! - Hugo zaśmiał się mimo woli. Nigdy nie potrafił się długo złościć. - A ilu z tych rogowców sam zabiłeś?

- Żadnego - stwierdził Kit z beczelnym uśmiechem. - Nie mogłem... przecież jestem dżentelmenem. Byłem winny. A panie, o które chodziło...

Hugo stanowczo pokręcił głową.

- Dosyć na temat podbojów, Kit. Nie jesteśmy tu po to, żeby omawiać twoje miłosne wyczyny. Swoją drogą wygląda

na to, że wie o nich pół Europy. Mamy porozmawiać o twoim nedorzecznym pomysśle. Chyba nie mówisz poważnie. Mógłbyś stracić wszystko na rzecz tej kobiety. A po ostatnim razie chyba nie...

- Po ostatnim razie nie zamierzam z nią przegrać - przerwał mu Kit z naciskiem, podrywając się z miejsca. Położył bratu rękę na ramieniu. - Nic, co powiesz, nie zmieni moich planów. Nie masz pojęcia, ile mnie wtedy kosztowało przyjście do ciebie i poproszenie o pomoc w spłacie długów. Wiedziałem, że musisz wziąć pieniądze z posagu kobiety, którą skompromitowałem. Możesz sobie chyba wyobrazić, jak się czułem. Miałem wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale wierz mi, Hugo, to mnie bardzo bolało. I nadal boli. Byłem o włos od hańby.

Hugo stanął przed wielkim portretem Emmy, wiszącym nad kominkiem, całkowicie już opanowany.

- Rozumiem, Kit - odezwał się po dłuższej chwili milczenia. - To było dawno. Wszyscy zapomnieli o tym, co się stało. Przywołasz bolesne wspomnienia, jeśli zechcesz się zmierzyć z tą kobietą. Daj temu spokój.

- Nie. Nie mogę. Pięć lat czekałem na ten moment i zamierzam go wykorzystać. - Uniósł dłoń, widząc, że brat chce coś powiedzieć. - Nie zakładaj tak od razu, że przegram. Wierz mi, nie pozwolę się pokonać.

Hugo skrzywił się lekko. Długa blizna na jego policzku była już prawie niewidoczna, ujawniała się tylko przy uśmiechu.

- Skąd ta pewność, bracie? Czyżbyś podczas pobytu na kontynencie stał się szulerem?

Kit odpowiedział ponurym uśmiechem.

- Nie, ale nauczyłem się ich rozpoznawać, i to całkiem dobrze. Nie muszę oszukiwać. Lata gry znacznie udoskonaliły moje umiejętności. Wiesz, że zawsze miałem szczęście

w kartach. To się nie zmieniło. Po prostu przybyło mi doświadczenia. Nie mam wątpliwości, że wygram... zwłaszcza że, jak słyszałem, lady Luce straciła dobrą passę w kartach. Podobno ostatnio nazywają ją „Lady Lose*” . - Hugo niechętnie potwierdził. - To dobrze. To jeszcze podnosi moje szanse. Lady Luce próbowała mnie wówczas zrujnować. Udałoby jej się, gdybyś nie spłacił moich długów. Wiem, jak wiele ci zawdzięczam. Mając Stratton Magna, wyślę lady Luce na bruk i będę się cieszył jej upadkiem.

Hugo pokręcił głową, nie rozumiejąc, jak Kit może żywić tyle nienawiści dla innej ludzkiej istoty, i to od tak dawna. Gdyby jednak Hugo przeżył lata wygnania w Europie, mógłby mieć równie bezwzględny stosunek do ludzi z towarzystwa. Kit już dawno uznał, że inni są po to, by ich wykorzystywać do własnych celów. Nie należało wchodzić z nikim w bliższą zażyłość. To prowadziło do katastrofy.

Trzeci hrabia Luce spacerował tam i z powrotem po wytwornym salonie matki.

- Mamo - odezwał się w końcu - nie możesz dalej tak postępować.

Lady Luce zaczerpnęła duży łyk najprzedniejszej madery, rozkoszując się wybornym smakiem.

- Na miłość boską, Williamie, przestań się miotać jak słoń w klatce.

Hrabia zatrzymał się gwałtownie. Spojrzał na swoje odbicie w bogato obramionym lustrze - w niczym nie przypominał słońca. Jak matka śmiała pozwolić sobie na tak obraźliwą uwagę?

Podniosła do oczu lornion, żeby przyjrzeć się synowi. To

Lose (j. ang.) - zgubić, stracić, przegrać (przyp. red.).

przenikliwe spojrzenie wyprowadzało go z równowagi od czasu, gdy miał pięć lat. I nadal tak było, choć przekroczył czterdziestkę.

- Właściwie jak mam przestać postępować? - spytała ironicznie lady Luce.

Sir William odchrząknął, gotów do stoczenia walki na jedynym polu, na którym panował. Zamierzał czerpać z tej walki przyjemność.

- Nie możesz nadal grać o pieniądze, których nie masz, mammo - odparł.

Lady Luce wstała z fotela. Była znacznie niższa od syna, a przy tym wyglądała na dwa razy szerszą w ulubionych staroświeckich spódnicach.

- A niby kto, za pozwoleniem, mnie powstrzyma? - powiedziała nieprzyjemnym tonem.

- Ja - odparł na tyle stanowczo, na ile zdołał, unikając jej wzroku. - Nie stać mnie na dalsze spłacanie twoich długów, mammo. Mam własną rodzinę, którą muszę utrzymać.

Prychnęła kpiąco.

- Jak mogłabym zapomnieć? Jeszcze nie widziałam takiej gromady koszmarnych bachorów. Jesteś równie bezradziejny jak Clarence.

- Mammo! Jak możesz mówić coś podobnego? Dama nie powinna wspominać o nieślubnych dzieciach, nawet jeśli ich ojciec jest księciem krwi. Poza tym wiesz doskonale, że nigdy nie zdradziłem Charlotte.

- Bo żadna inna kobieta by na ciebie nie spojrzała, nawet gdybyś miał dość pieniędzy, żeby się za nimi uganiać. Sam jesteś sobie winien, że spłodziłeś dziesięcioro dzieci. A ja nie widzę powodu, by rezygnować ze swego stylu życia tylko dlatego, że nie możesz utrzymać...

- Mammo! Proszę cię!

Matka spojrzała na niego ze złośliwym uśmiechem. Najwyraźniej bawiła się jego zakłopotaniem. Pewnego dnia...

Odwrócił się do niej plecami, podchodząc do okna. Uznał, że łatwiej mu będzie powiedzieć to, co zamierzał, jeśli nie będzie na nią patrzył.

- Moje dzieci nie mają tu nic do rzeczy - rzekł, starając się stłumić w sobie złość. - Ojciec zostawił cię bardzo dobrze zabezpieczoną. Nie musisz nawet płacić za utrzymanie tego domu. Masz odpowiednie środki na to, by żyć całkiem wygodnie, ale ty wolisz grać, oczekując, że zawsze będę pokrywał twoje długi.

- Bzdury - stwierdziła matka spokojnie. - Wystawiłeś mnie do wiatru, kiedy...

Lord Luce odwrócił się gwałtownie.

- To było pięć lat temu, mamó, i zdarzyło się tylko raz. Wiesz, że wówczas nie byłem w stanie wyłożyć tak wielkiej sumy. - Gestem nakazał jej milczenie. - Poza tym - dodał szybko - wkrótce wyszłaś na swoje, wygrywając duże pieniądze od Kita Strattona, prawda? Nie potrzebowałaś mojego wsparcia.

- Nie potrzebowałam? Zatem wiedz, żałosny smarkaczu, że...

- Dosyć tego, mamó! Nauczysz się żyć na miarę swoich finansowych możliwości. Jeśli zjawisz się u mnie jeszcze raz, bym spłacił twoje karciane długi, to możesz być pewna, że to się nie powtórzy. Ogłoszę, że więcej nie będę płacił. I kto wówczas uzna twoje skrypty dłużne?

- Nie ośmielisz się - warknęła. - Twoje nazwisko...

- Bzdury - przerwał jej, z wyraźną przyjemnością używając zapożyczonego od niej słowa. - Ludzie z towarzystwa przyznają, że zbyt długo byłem pobłażliwy. Może jesteś

„oryginalna" mamó,' ale tego rodzaju atrakcje w końcu zaczynają męczyć. Jestem głową rodziny i nie rzucam słów na wiatr.

Matka podeszła do niego i dźgnęła go palcem w pierś.

- Czyżby, Williamie? Doprawdy? W takim razie przyjmij do wiadomości, że będę robić, co zechcę. Jeśli zapragnę grać, to zagram, i w żaden sposób nie zdołasz mnie powstrzymać. Postawię swoje dożywocie i nie zapłacę innych rachunków. I chętnie rozpowiem po całym Londynie, że stoi za mną posiadłość Luce'ów, bo w przeciwnym razie wyładuję w więzieniu. Jakby to się miało do twojego poczucia przyzwoitości, he? Lady Luce w więzieniu, ponieważ syn nie chce spłacić jej długów. Co by o tym pomyśleli twoi szlachetnie urodzeni przyjaciele? I twoi synowie? Jestem pewna, że w Eton aż by huczało.

Hrabiego ogarnęła rozpacz. Znowu go pokonała. Była wiedźmą, czarownicą.

- No i...? - rzuciła zaczepnie.

- Mamó, musisz zrozumieć, że mnie na to nie stać - powiedział, przybierając niemal błagalny ton. - Od zakończenia wojny posiadłość przynosi marny dochód. Jeśli spadną na mnie kolejne większe wydatki, będę musiał zacząć wyprzedawać dobra niepodlegające ordynacji. Chyba mi tego nie życzysz? Przecież tylko te majątki będę mógł zostawić młodszym chłopcom.

Lady Luce chrząknęła.

- Wezmę to pod uwagę - mruknęła niechętnie.

Taktyka się sprawdziła. Jeszcze nigdy aż tyle nie uzyskał.

- Może gdybyś miała jakąś inną rozrywkę, coś, co by ci zajęło umysł... - zaczął.

- Z moim umysłem wszystko jest w porządku - przerwała mu ostro.

- Oczywiście - przyznał skwapliwie, próbując nastawić ją przychylnie do świetnego pomysłu, który właśnie przyzedł mu do głowy - ale... młoda osoba do towarzystwa mogłaby się okazać ciekawą odmianą.

Starsza pani przeszła go zimnym spojrzeniem.

Trochę się przestraszył, ale nie dawał za wygraną. Nie mógł zaprzepaścić szansy na okiełznanie matki, choćby na jakiś czas.

- Pozwól mi się rozejrzeć za kimś odpowiednim - poprosił. Następnie dodał zdecydowanym tonem: - Pokryję wszelkie koszty jej utrzymania. Kwota dożywocia pozostanie do twojej wyłącznej dyspozycji, tak jak dotąd.

Lady Luce, ku jego zaskoczeniu, szybko skinęła głową.

- Tak, masz rację. Przydałaby mi się jakaś młoda osoba do towarzystwa.

Zwycięstwo! Pochylił się nad dłonią matki. Serdeczna przyjaciółka jego żony, lady Blaine, z pewnością zna odpowiednią kandydatkę. Jeszcze tego samego dnia zamierzał poprosić ją o pomoc. Należało jak najszybciej się oddalić, zanim matka zmieni zdanie.

Był już przy drzwiach, kiedy odezwała się beztrasko:

- Upewnij się tylko, czy dobrze gra w pikietę, Williamie. W moim wieku szkoda czasu, żeby uczyć dziewczęta gry w karty.

- Panna Beaumont?

Marina odwróciła się gwałtownie. Pytanie padło z ust odzianego w liberię lokaja, który nawet nie próbował skrywać pogardy na widok jej znoszonego podróznego stroju. Marina lekko zadarła podbródek. Choć uboga i skromnie ubrana, była damą. Nie mogła pozwalać, by zwykły służący tak ją traktował.

Popatrzyła na młodego mężczyznę lekko zmrużonymi oczyma. Zauważyła przy tym, że prawie dorównuje mu wzrostem.

- To ja jestem panną Beaumont - oznajmiła lodowatym tonem.

Lokaj nie wytrzymał jej spojrzenia. Uciekł wzrokiem.

- Zechce pani pójść za mną? - powiedział, kierując się do powozu, by wieźć ją przez Londyn do domu nowej chlebodawczyni.

To było drobne zwycięstwo... niemniej jednak niezmiernie istotne dla Mariny. Jeśli miała mieszkać w domu lady Luce, musiała zadbać o to, by służba traktowała ją z należytym szacunkiem.

- Proszę dopilnować, by mój bagaż został porządnie zapakowany - powiedziała, wskazując na dwa stare sakwojaże zawierające cały jej dobytek. Lokaj posłusznie wykonał polecenie, unosząc torby tak, jakby nic nie ważyły. Marina podziękowała mu z uśmiechem.

Przez moment lokaj sprawiał wrażenie zaskoczonego, jakby nagle zobaczył zupełnie inną osobę. Zaraz jednak przypomniał sobie o swych powinnościach i pomógł Marinie wsiąść do powozu, gdzie z westchnieniem ulgi rozsiadła się na miękkich poduszkach. W końcu udało jej się dotrzeć do Londynu. A wkrótce, już bardzo niedługo, miała stanąć przed lady Luce, starszą panią, potrzebującą młodej, pogodnej towarzyski, która miała ubarwić ostatnie lata jej życia. Jadąc z Yorkshire, Marina doszła do wniosku, że całkiem nieźle da sobie radę w tej roli. Często dotrzymywała towarzystwa swojej babce, czytała jej, grała dla niej lub śpiewała, a czasami nawet zabawiała ją grą w karty. Pod koniec życia babcia stała się bardzo wymagająca, prawie tak, jakby nadal miała prawo do honorów należnych siostrze wicehrabiego.

Lady Luce nie mogła być gorsza. Samotne starsze panie były do siebie podobne, nieprawdaż?

Marina przymknęła oczy, próbując odciąć się od hałasu i dołatujących zewsząd zapachów. Nigdy by nie przypuszczała, że Londyn może być tak pełen dokuczliwych dźwięków - nawoływań straganiarzy, z których każdy starał się przekrzyknąć sąsiada, pokrzykiwań woźniców, przeciskających się przez uliczny tłum, by rozwieźć beczki z piwem, stukotu końskich kopyt i turkotu powozów na bruku, zgiełku wielkiego, pulsującego życiem miasta. U siebie, w Yorkshire, była przyzwyczajona do odgłosów i zapachów zwierząt gospodarskich, śpiewu dzikiego ptactwa, szumu wiatru na wrzosowiskach. Tu było zupełnie inaczej. Miała ochotę zatkać nos lub zasłonić sobie uszy rękami, ale zdołała się powstrzymać. Skoro miała zamieszkać w Londynie jako towarzyszka lady Luce, musiała się przyzwycząić. Równie dobrze mogła zacząć od razu.

Uzbrojona w to nowe postanowienie Marina wyjrzała przez okno. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale ulice stały się nieco cichsze i z pewnością spokojniejsze; mniej straganów, więcej eleganckich powozów. Domy miały wielkie okna i imponujące wejścia, niektóre nawet ozdobione kolumnami niczym greckie świątynie. Wszystko wyglądało o wiele, wiele okazalej niż to, co widywała w Yorkshire.

Kiedy Marina podziwiała architekturę zabudowań po jednej stronie ulicy, powóz zatrzymał się przed domem po drugiej stronie. Dotarła na miejsce! Lokaj, już lepiej usposobiony, otworzył drzwi i czekał, gotów pomóc jej przy wysiadaniu. Ledwie jej stopa dotknęła ziemi, w drzwiach domu ukazał się postawny starszy mężczyzna, prawie zupełnie łysy. Nędzne resztki włosów były białe jak śnieg i okalały mu czaszkę niczym dekoracja z bitej śmietany na różowym budynku. Marina pomyślała, że mógłby być postacią z bajki,

gdyby miał na sobie płaszcz czarodzieja zamiast uniformu ochmistrza.

- Witamy w Londynie, panno Beaumont - odezwał się głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu. - Hrabina czeka na panią na górze, w salonie. Proszę za mną. - Odwrócił się i poprowadził ją ku wielkim schodom.

Nie teraz! Jeszcze nie! Marina spojrzała na swoje zakurzone w podróży ubranie i nieświeże rękawiczki. Potrzebowała czasu, żeby doprowadzić się do porządku, nim zostanie przedstawiona lady Luce. Jeśli pokaże się w tym stanie, lady Luce odeśle ją z powrotem do matki pierwszym dyliżansem.

Marina wzięła głęboki oddech i zatrzymała się w progu.

- Jestem pewna, że hrabina nie zechce mnie widzieć, dopóki nie odświeżę się po podróży - powiedziała, zaskakując samą siebie stanowczością własnego tonu. - Proszę mnie zaprowadzić gdzieś, gdzie będę mogła się umyć i zmienić suknię. Lokaj może tam przynieść moje sakwojaże. - Obejrzała się na służącego, który wydobywał jej bagaż z powozu.

Ochmistrz przystanął, odwrócił się i popatrzył na nią z nieskrywanym zdumieniem. Po chwili zakaszłał, znów przybierając wcześniejszy, nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Jak pani sobie życzy. Proszę tędy. Charles, zanieś bagaż panny Beaumont prosto do jej pokoju.

- Tak jest, panie Tibbs - odparł szybko lokaj, przytrzymując oba sakwojaże jedną ręką, by drugą bezszelestnie zamknąć za sobą drzwi.

Marina uśmiechnęła się nieznacznie. Właśnie odebrała drugą lekcję. Podobnie jak służący lady Luce.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marina rozejrzała się po niewielkim, skąpo umeblowanym pokoiku. Pewnie powinna się cieszyć, że nie została umieszczona na poddaszu, razem ze służbą. Jako dama do towarzystwa nie zaliczała się ani do służby, ani do jaśnie państwa; była kimś nieokreślonym. Musiała utrzymywać stosowny dystans wobec służących, a jednocześnie mogła się spodziewać, że lady Luce i jej goście nie będą się z nią spoufalać. Czeką ją samotność.

Ochmistrz powiadomił ją tonem zbliżonym do ojcowskiego, że otrzymała sypialnię na tym samym piętrze co jaśnie pani, by w każdej chwili być pod ręką, gdyby lady Luce jej potrzebowała. Marina domyśliła się, że ma być do dyspozycji starszej damy przez całą dobę.

Wzruszyła ramionami. Czegóż innego mogła się spodziewać? Jej własna babka była równie absorbująca... a pod koniec życia w dodatku gderliwa. Marinie nie pozostawało nic innego, jak zdobyć się na cierpliwość i zrozumienie, spełniając zachcianki kolejnej starszej pani.

Będę sobie wyobrażać, że to moja własna babka, postanowiła, zmieniając suknię. Nauczyłam się wyrozumiałości i z pewnością zdołam sprostać wymaganiom lady Luce, zwłaszcza że tym razem będą mi płacić za moje starania.

Uśmiechnęła się na myśl o pieniądzach, które pośle matce natychmiast po otrzymaniu pierwszej wypłaty. Mama wprawdzie twierdziła, że Marina powinna uzupełnić gardę-

robę, ale chyba wystarczy jej to, co kupiła w Yorkshire? Dama do towarzystwa nie potrzebuje wielu sukien, żeby prowadzić swoją panią na spacer czy związać w motek wełnę do robótek. Marina już dawno postanowiła ograniczyć się do tego, co posiada. Musiała przede wszystkim zadbać o rodzinę.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Wszystko było w porządku. Szara suknia, choć pognieciona od długiego spoczywania w sakwojażu, była czysta i schludna, a pod szyją ozdobiona białym kołnierzykiem. Marina uznała, że wygląda na damę, nie służącą, i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ciemne włosy, świeżo splecione w warkocze, tworzyły węzeł upięty na karku. Umyta twarz promieniała zdrowiem. Nie nakrywała głowy - nie była już dziewczyną, ale w wieku dwudziestu trzech lat nie czuła się zobowiązana do założenia staropanieńskiego czepka - i nie nosiła żadnej biżuterii poza żałobnym pierścionkiem, który tkwił na jej palcu od czasu, gdy dowiedziała się o śmierci ojca. Skinęła swemu odbiciu. Lady Luce ujrzy w niej wzór poważnej, odpowiedzialnej towarzyszkę. Nie będzie miała żadnego powodu, by ją odsyłać z powrotem do rodziny. Tego należało uniknąć za wszelką cenę, ponieważ mama potrzebowała każdego pensa zarobionego przez Marinę.

Nadeszła chwila, by stanąć przed starą damą, która miała odtąd rządzić jej życiem przez długie miesiące, a może nawet lata.

Marina wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i wyszła na korytarz. Ochmistrz Tibbs trzymał się w pobliżu, wyraźnie na nią czekając.

- Tędy do jaśnie pani - oznajmił, wskazując drzwi na wprost schodów. - Nikt inny nie śpi na tym piętrze, chyba że jaśnie pani ma gości. A teraz jest tylko pani - dodał po krótkim, lecz widocznym namyśle.

- Hrabia nie zatrzymuje się tutaj, kiedy bawi w Londynie? - zapytała Marina.

- Nie. Lady Luce i jej syn... - Urwał i zakasłał znacząco.

- Pan hrabia ma własny dom w mieście. Zawsze tam się zatrzymuje.

- Rozumiem - powiedziała szybko Marina. Można było łatwo zrozumieć, że dorosły syn nie ma ochoty mieszkać pod okiem matki, choćby przez parę dni. Ochmistrz sprawiał wrażenie, jakby chciał dodać coś jeszcze na temat tej pary... jakiś zaczątek domowej plotki. Marina, nie należąc do służby, absolutnie nie powinna tego słuchać. Mimo to zaciekały ją stosunki hrabiego z matką. Czyżby zbyt wiele od niego wymagała? To się często zdarza starszym paniom. A męska cierpliwość łatwo się wyczerpuje.

Ochmistrz zaprowadził Marinę do frontowego pokoju na niższym piętrze. Wystudiowanym gestem otworzył drzwi i tubalnym głosem zaanonsował:

- Jaśnie pani, panna Beaumont.

Przestąpiwszy próg, Marina usłyszała, jak drzwi zamykają się za jej plecami. Wytworna, utrzymana w odcieniach beżu bawialnią wydawała się pusta. Nie było widać nikogo. Ale przecież...? Ochmistrz chyba się nie mylił...

Marina zawahała się, nie odchodząc od drzwi.

- Nie stój tam, dziewczyno. Podejdz do światła, żebym mogła ci się przyjrzeć. - Ostry głos dobywał się z głębi fotela stojącego przy wielkim oknie wychodzącym na ulicę.

Marina zrobiła parę kroków w kierunku, skąd padło stanowcze polecenie. Dopiero gdy dotarła pod przeciwległą ścianę, zobaczyła, że głos pochodzi od drobnej postaci, niemal całkowicie zasłoniętej przez rozłożyste oparcia fotela. Lady Luce miała na sobie strojną jedwabną suknię w kolorze śliwkowym, uszytą według mody sprzed czterdziestu lat,

z obficie marszczoną spódnicą i mnóstwem koronki przy szyi i dłoniach. Głowę nakrywała upudrowana peruka. Mimo suchej, pomarszczonej skóry twarz starszej pani miała delikatne rysy, świadczące o minionej urodzie. Obecnie przypominała miniaturowy egzotyczny owoc, tak zeschnięty i krucho, iż odnosiło się wrażenie, że rozpadnie się przy najbliższym dotknięciu.

- Dobry Boże, przysłali mi jakąś grochową tykę! - wykrzyknęła lady Luce.

Marina poczuła gorący rumieniec na policzkach. Przez całe dorosłe życie żałowała, że odziedziczyła wzrost i budowę po ojcu. Smukła sylwetka sprawiała, że wydawała się jeszcze wyższa. W porównaniu z lady Luce rzeczywiście musiała wyglądać na olbrzymkę. Złożyła ukłon.

- Jak się pani miewa, milady? - odezwała się spokojnie, próbując się przy tym uśmiechnąć do filigranowej - i wyjątkowo nieuprzejmej - lady Luce, która miała być jej chlebowdawczynią.

Lady Luce nie od razu odpowiedziała na grzeczne powitanie Mariny. Zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głów; całkiem bystro patrzącym oczom nie uniknął żaden szczegół skromnego stroju nowej towarzyszki.

- Myślałam, że ktoś od Blaine'ów będzie wyglądał lepiej - powiedziała. - Nie dałabym takiej sukni nawet pomywacze.

Przyszłe stosunki nie zapowiadały się najlepiej. Należało przede wszystkim uświadomić lady Luce, że Marina nie jest „kimś od Blaine'ów" i że nie może sobie pozwolić na lepsze stroje. Marina wiedziała, że musi postawić sprawę jasno, nawet ryzykując, że lady Luce ją odeśle. Nie miała wyboru.

- Obawiam się, że pozostaje pani w błędnym mniemaniu, milady - zaczęła Marina. - Nazywam się Beaumont, nie

Blaine. Jestem jedynie daleko spokrewniona z rodziną wicehrabiego, przez babkę, ale i ona nie była przez nich uznawana, w każdym razie nie po zawarciu małżeństwa.

- Hm - prychnęła lady Luce. - Wcale nie daleko. Twoja matka i nowy wicehrabia są kuzynami, czyż nie?

- Owszem, ale nie...

- Należysz do Blaine'ów - oświadczyła stanowczo starsza pani. - Ojciec starego wicehrabiego był tyranem i łajdakiem, ale to nie zmienia linii pokrewieństwa, przynajmniej dla mnie. Twoja babka była córką jednego wicehrabiego i siostrą drugiego. Należysz do Blaine'ów, i kropka.

Marina pomyślała, że trudno będzie się spierać z lady Luce, choćby dlatego, że niełatwo dojść przy niej do słowa. Jednak ten delikatny temat wymagał, by spróbowała.

- Proszę mi wybaczyć - zaczęła jeszcze raz - ale musi pani zrozumieć, że Beaumontowie nigdy nie zostali uznani przez rodzinę wicehrabiego, nawet kiedy brat babki odziedziczył tytuł.

- Tylko dlatego, że był podobny do swego ojca - przerwała jej lady Luce - czego można się było spodziewać, bo wszyscy mężczyźni o nazwisku Blaine... - Zamilkła nagle, przyglądając się Marinie z uwagą. - Widzę, że nic nie wiesz o swoich szlachetnie urodzonych krewnych, moja droga. Cóż, będę musiała cię trochę oświecić... w swoim czasie. Teraz mamy inne, ważniejsze sprawy. Na początek musimy zrobić coś z twoim okropnym ubraniem.

Było gorzej, niż Marina się spodziewała, lecz nim zdążyła powiedzieć choćby słowo w obronie swego stroju, lady Luce wyjaśniła jej dobitnie, co sądzi o sukni, tak jak wcześniej wypowiadała się o więzach krwi.

- Nadaje się tylko do spalenia - oceniła - albo do przytułku dla biedaków. Choć sądzę, że nawet tam kobiety krę-

ciłyby na nią nosami. Nie masz nic odpowiedniego, w czym mogłabyś się pokazać, dziewczyno?

- Mam jedną wieczorową suknię, a inne są podobne do tej. Wszystkie pieniądze, jakie uda się oszczędzić, wydajemy na kształcenie mojego brata. Harry studiuje w Oksfordzie - dodała z siostrzaną dumą - i zamierza się poświęcić służbie Kościołowi.

- Nie popieram wydawania wszystkich pieniędzy na chłopców - powiedziała szybko lady Luce. - Kształci się ich i co z tego wynika? Zabiorą ci każdego pensa i roztrwonią. Jak nie na osuszanie gruntów, stawianie ogrodzeń czy coś równie bezużytecznego, to na lekkie życie i upadłe kobiety.

- Harry nie...

Protesty Mariny zostały stłumione w zarodku przez kolejne gniewne prychnięcie.

- Nie twój brat? Nic o nim nie wiem. Może być wzorem moralności, ale synowie w szlacheckich rodzinach... - Lady Luce potrząsnęła głową. Było jasne, co sądzi. Synom ze szlacheckich rodzin nie można ufać, jeśli chodzi o pieniądze. Czyżby to dotyczyło także jej własnego syna?

- Kobieta musi być niezależna, by żyć tak, jak chce - oświadczyła lady Luce, wyraźnie zapalając się do tematu. - Zwłaszcza gdy owdowieje - dodała znacząco.

Marina w końcu zrozumiała. Niezwykłe poglądy lady Luce na kobiecą niezależność brały się z jej osobistej sytuacji i zapewne odnosiły tylko do niej. Wydawało się mało prawdopodobne, by obchodził ją trudny los jakiegokolwiek innej wdowy, która znalazła się w ciężkim położeniu.

- Dajesz im dziedzica i twój obowiązek jest spełniony - ciągnęła lady Luce. - W zamian mąż może ci przynajmniej zapewnić dostatnie wdowieństwo. Tymczasem mężowie naj-

widoczniej uważają, że dziedzic powinien wszystkim rządzić, nawet własną matką! - Urwała, spoglądając na Marinę. - I z czego się śmiejesz, moja droga?

Marina nie zdawała sobie sprawy z tego, że zaczęła się uśmiechać, słuchając, jak starsza pani zapamiętała broni swoich interesów.

- Proszę mi wybaczyć, milady - rzuciła pośpiesznie. - Myślałam o tym, że przypomina mi pani moją drogą babcię - skłamała. - Bardzo mi jej brakuje.

- Bzdury - zbyła ją lady Luce. - Myślałaś, że mówię niebezpieczne głupoty, ale można mi wybaczyć rewolucyjne poglądy ze względu na sędziwy wiek. Tak? Zgadza się?

- Tak, milady - przyznała Marina z głębokim westchnieniem. - Bez wątplenia jest pani groźnym przeciwnikiem, zarówno dla kobiety, jak i dla mężczyzny, a pani wiek nie ma tu nic do rzeczy.

Lady Luce głośno wciągnęła powietrze. Marina przestraszyła się własnej zuchwałości. Pracodawczyni zaraz ją surowo skarci, a potem odeśle do Yorkshire. Jednakże nic takiego nie nastąpiło. Starsza pani spojrzała jej w twarz, prosto i otwarcie, a potem stwierdziła głosem, w którym pobrzmiewały nuty przypominające śmiech:

- Tak, nadasz się. Kiedy już zrobimy coś z twoją okropną garderobą, ma się rozumieć. Jutro tego dopilnuję. W tym stanie nie możesz się pokazywać. Odwróć się.

Marina posłusznie wykonała polecenie.

- Jeszcze raz - nakazała lady Luce.

Marina ponownie stanęła do niej twarzą.

- Usiądź. - Lady Luce wskazała niski stołek obok fotela.

- Kark mi sztywnieje, kiedy cały czas patrzę do góry.

Siadając, Marina pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Star-

sza pani była jak rozpieszczony stary pies pokojowy, niegroźnie, bo bezskutecznie atakujący każdego gościa.

- Zatem, panno Beaumont, proszę mi o sobie opowiedzieć - zaczęła lady Luce, wyraźnie zadowolona, że nie musi już zadzierać głowy. - Jak masz na imię?

- Marina, milady - odpowiedziała, nieco zaskoczona. Jak lady Luce mogła zatrudnić osobę do towarzystwa, nie znając nawet jej imienia?

- Marina. Hm. Niezwykłe imię.

- Nie wiem, czy jest niezwykłe. Wydaje mi się, że otrzymałam je po babce ze strony ojca.

- Była cudzoziemką? - spytała lady Luce z niesmakiem.

- Tak sądzę. Nie znałam jej. Rodzina ojca służyła w wojsku od pokoleń. Wszystkie kobiety wychodziły za wojskowych.

- Twoja matka także? - Tym razem słychać było wyraźną dezaprobatę. Prawdopodobnie starsza pani uważała, że takie postępowanie nie przystoi bratanicy wicehrabiego.

- Tak, ale po traktacie pokojowym w Amiens ojciec zdecydował, że jego żonie lepiej będzie w Anglii, ponieważ mój brat i ja byliśmy jeszcze mali. Osiedliliśmy się w Yorkshire.

- A twój ojciec? Kim był?

- Kapitanem Dziewięćdziesiątej Piątej Brygady Strzelców, milady. Zginął dziewięć lat temu, w bitwie pod Ciudad Rodrigo, razem z moim wujem.

Lady Luce pokiwała głową ze współczuciem. Marina zastanawiała się, czy ona także straciła na wojnie kogoś bliskiego. Dotyczyło to wielu utytułowanych rodzin.

- Ale twoja matka została zabezpieczona? - Lady Luce najwidoczniej nie miała oporów przed zadawaniem najbardziej osobistych pytań dotyczących nowej towarzyszki. I bez wątpienia oczekiwała wyczerpujących odpowiedzi.

- Nie, milady. W każdym razie niewystarczająco. - Była to prawda, choć nie cała. - Matka uzupełniała dochód, przyjmując uczniów. - Widząc zdumienie na twarzy starszej pani, wyjaśniła: - Moja matka jest doskonale wykształcona, milady. Jej ojciec był uczonym. Kształcił córkę równie starannie, jak syna. - Uśmiechnęła się lekko. - W przeciwieństwie do matki, mój wuj nie miał zacięcia do nauki. Uwielbiał wojsko, niemal od kołyski, co było wielkim rozczarowaniem dla dziadka.

- Hm - mruknęła lady Luce. Trudno było wywnioskować, co o tym sądzi. - A kim on był, ten twój uczony dziadek?

Marinę zaczynało irytować to wypytywanie, ale nie mogła sobie pozwolić na odmówienie odpowiedzi.

- Wydaje mi się, że kiedy poznał moją babkę, był osobistym sekretarzem wicehrabiego Blaine'a.

Lady Luce niespodziewanie się uśmiechnęła.

- Był wyjątkowo przystojny, prawda? Wysoki, o urodzivej twarzy i ciemnych włosach, i miał pięknie modulowany głos.

- Owszem. Babcia tak właśnie go opisywała - potwierdziła Marina. - Czyżby go pani знаła, milady?

Lady Luce nie przestawała się uśmiechać; w jej oczach pojawił się błysk dziwnego rozmarzenia.

- Tak, znałam Jamesa Langleya. Pamiętam, że wszystkie dziewczęta za nim szalały. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego spotkałyśmy... ale nieodpowiedni... całkiem. - Spojrzała na Marinę, jakby doszukując się podobieństwa. - Twoja babka straciła dla niego głowę, co?

Marina przytaknęła, rumieniąc się. Swobodny język lady Luce wprowadził ją w zakłopotanie. W Yorkshire, przy swej ważącej słowa mamie, przywykła do czegoś zupełnie innego.

- I w rezultacie jej ojciec wyrzucił ją z domu?

Marina znów potwierdziła skinieniem.

- Właśnie tego bym się spodziewała po tej rodzinie. Nie podoba mi się takie traktowanie. Wcale mi się nie podoba.

- Lady Luce potrząsnęła głową tak zamaszycie, że z peruki uniósł się obłoczek pudru. - Gdybym sama miała córkę...

Drzwi się otwarły i w progu stanął ochmistrz. Kłaniając się sztywno, oznajmił:

- Pan hrabia jest na dole i prosi o parę minut rozmowy z panną Beaumont.

- Doprawdy? - Lady Luce zmarszczyła brwi.

Marina była zdumiona. Czego syn lady Luce mógł chcieć od damy do towarzystwa?

- Chyba muszę spełnić jego życzenie, zważywszy na okoliczności. - Starsza pani westchnęła. - Zaprowadź pannę Beaumont na dół, Tibbs.

Zdziwiona Marina zeszła za służącym po schodach do biblioteki na parterze. Może hrabia chciał się przyjrzeć nowej towarzyszce matki, żeby zdecydować, czy jest odpowiednia. A jeśli uzna, że nie? Marina wątpiła, by obiekcje syna miały jakiegokolwiek znaczenie dla lady Luce, która już podjęła decyzję.

Hrabia stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Był o kilka cali niższy od Mariny i nieco otyły. W przeciwieństwie do matki nosił się modnie, choć obcisłe spodnie bynajmniej nie schlebiały jego sylwetce. Odwrócił się dopiero wtedy, kiedy drzwi zostały zamknięte. Nie zbliżył się do Mariny. Zrozumiała, dlaczego hrabia tak się zachowuje. Była dla niego jedynie służącą. Dygnęła, czekając, aż syn lady Luce się odezwie.

Podobnie jak matka przyjrzał jej się dokładnie. Na widok jego wyniosłej miny odruchowo uniosła podbródek. Czyż la-

dy Luce dopiero co nie stwierdziła, że Marina należy do Blaine'ów?

- Panno Beaumont - zaczął afektowanym tonem - wreszcie pani przyjechała. Oczekiwaliśmy pani nieco wcześniej.

Marina nie próbowała się usprawiedliwiać. Hrabia mógł podróżować bezpośrednio, ale jej nie było stać na taki luksus. Patrzyła na niego spokojnie, czekając, co jeszcze ma jej do powiedzenia.

- To teraz nieistotne. Mamy do omówienia ważniejszą sprawę.

Zdumienie Mariny musiało się odbić na jej twarzy, bo dodał:

- Rozumiem, że lady Blaine nie przedstawiła pani moich oczekiwań?

- Nie. Lady Blaine nic mi nie mówiła o tej posiadzie. Napisała tylko...

Hrabia nie był zainteresowany tym, co Marina ma do powiedzenia, nie widział też nic niestosownego w przerywaniu komuś o statusie służącej.

- Nie obchodzi mnie, co napisała lady Blaine, panno Beaumont. Ważne są wskazówki, których pani udzieli. Pani rolą w tym domu jest powstrzymanie mojej matki od nieodpowiedzialnych poczynań. Bez wątplenia słyszała pani, że matka ma skłonność do hazardu?

Marina zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie wiem nic o stylu życia milady.

Hrabia parsknął gniewnie. Wydał się Marinie jeszcze gorszy od swojej matki.

- Rozumiem. Doskonale. Oto fakty. Moja matka uwielbia hazard. Czasami grała o stawki znacznie przekraczające jej możliwości. Pani rolą, panno Beaumont, jest dopilnowanie, żeby tego nie robiła.

Jak miała tego dokonać? Lady Luce z pewnością nie zgodzi się na kuratelę osoby wyznaczonej przez syna.

- Nie rozumiem - wykrztusiła.

- To bardzo proste - burknął hrabia. - Nawet kobieta powinna to pojąć. Zatrudniam panią, żeby odciągnąć matkę od hazardu. Sposób, jak tego dokonać, pozostawiam do pani uznania.

Nie zważając na grubiański ton hrabiego, Marina próbowała się zastanowić nad tym, co usłyszała.

- Sądziłam, że zostałam zatrudniona przez hrabinę wdowę - zaczęła, ale nie pozwolono jej dokończyć.

- Oficjalnie, ale wszelkie związane z panią koszty ponoszę ja. To ja panią zatrudniam. A pani obowiązki są takie, jak przed chwilą przedstawiłem.

Marinie zaszczyło w gardle. Zadanie było niemożliwe do wykonania, a hrabia był odpychający.

- Czy lady Luce zgadza się na taki układ? - spytała cicho. Tego rodzaju pytanie mogło się wydawać zbyt śmiało w ustach zwykłej damy do towarzystwa, jednak musiała je zadać.

Widziała, że hrabiego zaczyna ogarniać złość.

- Życzę sobie, żeby pani o niczym jej nie wspominała. Jeśli pani coś powie, natychmiast panią zwolnię.

Marina pobladła.

Lord Luce mówił dalej, uśmiechając się przy tym złośliwie.

- Proszę pamiętać, panno Beaumont, że to ja pani płacę i że to przede mną będzie pani odpowiadać za niedopełnienie obowiązków. To wszystko. Może pani odejść.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Marina skłoniła się szybko i opuściła bibliotekę. Wreszcie zrozumiała, dlaczego lady Blaine napisała taki krótki, zdawkowy list do mamy.

Wówczas Marina zastanawiała się, dlaczego wyniosła krewna nagle, po długich latach chłodnych stosunków, chce ją polecieć na dobrze płatną posadę. Ponieważ duma była luksusem, na który Beaumontowie nie mogli sobie pozwolić, Marina musiała przyjąć resztki ze stołu bogaczy. Teraz, poniewczasie, przekonała się, że owe okrucy są nasączone trucizną.

Znalazła się w pułapce. Była sama w Londynie. Nie miała się do kogo zwrócić o radę. Jeśli będzie lojalna wobec lady Luce, hrabia ją zwolni. Jeśli zastosuje się do wskazówek hrabiego, lady Luce wkrótce nabierze podejrzeń i ją odprawi. Wydała mnóstwo pieniędzy na przyjazd do Londynu, a wyglądało na to, że niedługo znów będzie ciężarem dla matki. Zaprzepaści jedyną szansę wspomnienia rodziny.

Potrząsnęła głową. Nie. Musi spełnić swój obowiązek, znaleźć sposób, żeby zadowolić zarówno hrabiego, jak i jego matkę, a przy tym zarobić pieniądze i wysłać je do Yorkshire, by uchronić mamę przed niedostatkiem.

Musi.

I poradzi sobie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dobry Boże! Chyba słyszałam, jak mówiłaś, że masz suknię wieczorową. Nie możesz włożyć nic innego?

Marina stała sztywno, z czerwoną twarzą, podczas gdy lady Luce ostrym spojrzeniem oceniała najdrobniejszy szczegół jej wyglądu. Marina miała na sobie najlepszy strój, jaki znajdował się w jej skromnej garderobie - gołąbkową suknię, wysoko zabudowaną pod szyją, ale ozdobioną niewielką krezą z drogiej koronki. Suknia miała prosty krój, zdecydowanie niemodny, lecz była schludna i uszyta z dobrej tkaniny. Ponadto, w przeciwieństwie do większości pozostałych, nie nosiła widocznych śladów cerowania.

Niezadowolenie lady Luce uwidoczniło się w zmrużeniu oczu i zaciśnięciu ust. Podniosła się z fotela, strzepując szerokie jedwabne spódnice. Wspaniałe koronkowe żabot za trząsał się jakby z oburzenia.

- Domyślam się, że to właśnie jest twoja suknia wieczorowa? - Westchnęła z rezygnacją.

- Ma pani rację, milady - potwierdziła Marina. Nie zamierzała dać się zawstydzić z powodu swojego wyglądu. - To jest moja najlepsza suknia - powiedziała trochę wyzywająco, pomna lekcji, jakiej jej udzielono zaraz po przyjeździe.

Lady Luce, kiwając upudrowaną głową, oznajmiła:

- Jutro zajmiemy się twoją garderobą, tak jak obiecałam. Nie sądzę, żeby dziś wieczorem miało to większe znaczenie. Przede wszystkim w ogóle nie powinnam cię zabierać do

Mechante. - Skierowała się ku drzwiom, ani na chwilę nie przestając mówić. - Jesteś za bardzo sztywna i układowa. Powinam się spodziewać, że William podeśle mi kogoś takiego.

- Proszę mi wybaczyć, milady - Marina ośmieliła się wreszcie przerwać starszej pani - ale kim jest Mechante i dlaczego...?

- Dlaczego nie powinnaś tam iść? - Lady Luce odwróciła się gwałtownie. Sprawiała wrażenie wyjątkowo zwinnej jak na swój wiek. Jej oczy błyszczały wesołością.

- Moja droga, Mechante, czyli lady Marchant, jest osobą, której żadna dama znać nie powinna. Jest córką mieszczańską, a jej historia jest... hm... dość barwna. Poza tym w jej karcianym przyjęciu dziś wieczorem będą brać udział przede wszystkim panowie. Natomiast panie, które tam spotkasz...

- Zachichotała. - Wystarczy powiedzieć, że najlepiej będzie udawać, iż nigdy ich nie widziałaś. Trzymaj się na uboczu i staraj się nie rzucać w oczy. - Jeszcze raz zmierzyła Marinę krytycznym spojrzeniem. - W tej sukni nie powinnaś mieć z tym najmniejszych trudności.

Marina patrzyła na swą chlebodawczynię osłupiała, lecz lady Luce ruszyła do drzwi, które otworzyły się, jakby za sprawą magii, gdy tylko się do nich zbliżyła. Ochmistrz czekał w holu. Bez wątplenia słyszał każde słowo. Nim wstanie rano, służba będzie się zabawiać plotkami o kłopotach Mariny. Czując, że znów się rumieni, podążyła za lady Luce, wyprostowana dumnie, z oczyma utkwionymi w jej plecach. Służący mogą sobie drwić po kątach, ale nigdy nie ujrzą choćby śladu zakłopotania w zachowaniu Mariny.

Podczas krótkiej jazdy wciąż zatłoczonymi ulicami Marina rozważała wiadomość o wątpliwej reputacji lady Marchant i jej karcianym przyjęciu. Wiedziała, że *mechante* po

francusku znaczy „nieprzyzwoita” lub wręcz „grzeszna”. Jeśli przeszłość tej kobiety była rzeczywiście tak barwna, jak sugerowała lady Luce, to zapewne zasługiwała na swoje przezwisko.

Marina gorączkowo szukała w głowie pomysłu, jak powstrzymać lady Luce przed grą w karty, lecz nie znalazła niczego, co dałoby się zastosować. Gdyby udało, że jest chora, lady Luce odesłałaby ją do domu. Gdyby próbowała przeszkodzić w grze, hrabina mogłaby ją zwolnić. A gdyby wspomniała o poleceniach hrabiego, lady Luce prawdopodobnie postawiłaby wszystko, co ma, a nawet więcej, tylko po to, żeby mu zrobić na złość.

- Weź się w garść, moje dziecko - upomniała ją ostro lady Luce. - Mechantę cię przecież nie zje. Możesz się nawet zabawić... Rozumiem, że umiesz grać w karty?

- Owszem, milady - potwierdziła skwapliwie Marina. Może nie była idealną damą do towarzystwa, ale z pewnością dawała sobie radę przy karcianym stoliku. Ojciec lubił ją uczyć gry w karty, a ona była pojętną uczennicą, lecz do tej pory nie miała okazji się przekonać, czy odziedziczyła jego brak szczęścia. Karciane długi kapitana Beaumonta stały się główną przyczyną ubóstwa rodziny. - Jednak nigdy nie gram o pieniądze. Wierzę, że...

- Nieważne, w co wierzysz. Wkrótce się przekonasz, że wszyscy grają o pieniądze, czy ich na to stać, czy nie. - Przyjrzała się Marinie z uwagą. - Rozumiem, że nie masz pieniędzy?

- Uważam, że hazard jest zły, czy się ma pieniądze, czy nie - odpowiedziała Marina zdecydowanie. - Rujnuje życie zbyt wielu ludzi.

Lady Luce cały czas jej się przyglądała, lecz nie powiedziała ani słowa więcej, dopóki nie dotarły do celu.

- Nie głoś swoich purytańskich poglądów wśród dzisiejszych gości, Marino - przestrzegła. - To byłoby niestosowne i mogłoby ci mocno zaszkodzić.

Marina weszła za lady Luce do rzęsiste oświetlonego holu w ekstrawaganckim londyńskim domu lady Marchant.

- O, lady Luce? Dobry wieczór, milady.

Lady Luce zatrzymała się tak nagle, że Marina omal na nią nie wpadła. Nadepnęła na tren sukni swej chlebobawczyni i musiała ostrożnie wyswobodzić stopę z obfitych fałdów jedwabiu. Kiedy uniosła głowę, dostrzegła, że lady Luce wpatruje się w najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego zdarzyło się Marinie widzieć. Stał między lady Luce a schodami i sprawiał wrażenie, jakby wypełniał swoją postacią cały hol. Był wyjątkowo wysoki, ciemnowłosy, a klasycznych rysów nie powstydziliby się posąg w greckiej świątyni. Modnie skrojone ubranie leżało na nim doskonale, choć nosił je z pewną nonszalancją.

- Cieszę się, że znów panią widzę, milady. - Marina wyczuła w jego głosie nieprzyjemną nutę; zauważyła też, że spoglądając na starszą panią, której zastawił drogę, skrzywił ładnie wykrojone wargi w grymasie pogardy. - Musiało minąć... ile?... całe pięć lat? Nie mogłem się doczekać, by znów panią spotkać. Rozumiem, że wciąż pani gra?

- Owszem, gram z całą pewnością, panie Stratton - odpowiedziała kwaśno lady Luce. - Nie sądziłam, że Mechante aż tak brakuje gości, że zaprasza byle kogo, żeby mieć komplet. Widzę, że muszę uważniej decydować, które zaproszenie wypada przyjąć damie. - Na tym zakończywszy, zrobiła krok naprzód, zmuszając swego prześladowcę do ustąpienia z drogi. Marina zauważyła, że uczynił to z pełną wdzięku swobodą, patrząc spod lekko opuszczonych powiek, jak lady Luce wchodzi po eleganckich schodach na górę, gdzie znaj-

dowały się pokoje do gry. Niepozornej damy do towarzystwa nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem.

Lady Luce pobladła ze złości. Zaciskała usta, jakby chciała się powstrzymać przed wymówieniem słów, których by później żałowała.

- Milady...

- Trzymaj się z daleka od Kita Strattona, dziecko - rzuciła ostro, nim Marina zdołała zadać pytanie. - Jest niebezpieczny. Bardziej niebezpieczny, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Ale...

- Dobry wieczór, Mechante. - Lady Luce wyciągnęła szponiastą dłoń do zmysłowej blondynki ubranej w suknię z przezroczystego różowego muślinu. Można było wątpić, czy lady Marchant nosi pod spodem coś jeszcze poza halką, bo różowy muślin opinał jej powabne ciało niczym druga skóra.

Marina jeszcze nigdy nie widziała czegoś równie bezwstydnego. Uświadomiwszy sobie, że się wpatruje, szybko odwróciła wzrok. Rzeczywiście ich gospodyni zasługiwała na swoje przezwisko. Przyjęła powitanie lady Luce z uśmiechem zadowolenia, mrużąc przy tym lekko skośne zielone oczy. Marina uznała, że jest w niej coś kociego. Prawdopodobnie była nie tylko grzeszna, ale i fałszywa.

Marinie cisnęło się na usta wiele pytań, ale nie mogła ich zadać. Kim jest wyniosły mężczyzna w holu? Co zaszło pomiędzy nim a lady Luce? Z pewnością są do siebie wrogo nastawieni, ale dlaczego? Marina nie miała okazji się odezwać, a tym bardziej o cokolwiek pytać, ponieważ lady Luce wraz z gospodynią przyjęcia wmieszały się w tłum gości. Nigdzie nie było widać szaleńczo przystojnego Kita Strattona.

Marina nie mogła stać samotnie w drzwiach. Należało

zgodnie z zaleceniem lady Luce pilnować, by nie rzucać się w oczy. Ogromne aksamitne zasłony mogły jej zapewnić to, czego potrzebowała. Znajdowały się na tyle daleko od kandelabrow, że dawały głęboki cień. Marina uznała, że na ich tle w swej szarej sukni będzie prawie niewidoczna.

Ukryta bezpiecznie w ciemnym kącie Marina przyglądała się zgromadzonemu towarzystwu. Prawie wszyscy goście byli płci męskiej. Widziała żołnierzy w szkarłatnych kurtkach; niektórzy byli w starszym wieku, inni tak młodzi, że ich policzki miały wręcz dziewczęcą świeżość. Na ich widok pomyślała o młodszym bracie, Harrym, i o tym, jaki był dumny z pierwszego golenia brzytwą.

Spośród reszty panów kilku nosiło drogie, modnie uszyte stroje, ale większość przypominała hrabiego Luce. Wyglądali na dobrze odżywionych i znakomicie sytuowanych.

Dam - nie, to określenie było stanowczo zbyt pochlebne - kobiet było niewiele. Poza lady Marchant i lady Luce Marina dostrzegła tylko trzy, wszystkie nie pierwszej młodości. Dwie z nich miały wymalowane twarze. Nosiły trochę niechlujne suknie, mocno wycięte pod szyją. Lady Luce nie myliła się. Żadna cnotliwa młoda dama nie powinna przekroczyć progu domu Mechante. Czemu więc tak nalegała, by Marina jej towarzyszyła?

W pokoju panował wręcz ogłuszający zgiełk. Większość panów miała już mocno w czubie i każdy z nich starał się przekrzywić pozostałych. Marina, skulona w cieniu zasłony, żałowała, że nie udało jej się zostać w domu.

Gdzie się podziewała lady Luce? Obie z gospodynią jakby zapadły się pod ziemię. Marina przypuszczała, że wyszły do sąsiedniego pokoju. Czy powinna pójść za swoją chlebobawczynią? Czy raczej należało pozostać na miejscu, gdzie, przynajmniej chwilowo, czuła się w miarę bezpiecznie? Zawaha-

ła się, ale tylko na moment. Powstrzymanie lady Luce od hazardowego szaleństwa należało do jej powinności. A jeśli starsza pani właśnie traciła pieniądze, grając w sąsiednim pokoju?

Marina wyprostowała się. Wzywały ją obowiązki.

- No, no - rozległ się męski głos gdzieś przy jej łokciu.

Marina poczuła obrzydliwy odór przetrawionego alkoholu zmieszanego z potem, jeszcze zanim się odwróciła. Skąd się wziął przy niej ten człowiek? Nagabywał ją - nie można było tego inaczej nazwać - mężczyzna w średnim wieku w podniszczonym czarnym fraku. Należał do najgorzej wyglądających gości. Skórę miał prawie tak szarą jak suknia Mariny, a po jego oczach widać było, że od dawna nie sypiał.

Posłała mu spojrzenie, którym zniechęciła do zalotów niejednego natręta w Yorkshire, i chciała go wyminąć. Nie udało jej się. Mężczyzna chwycił ją za ramię i siłą zatrzymał w miejscu.

- Nie tak szybko, panienko - odezwał się, przeciągając słowa. - Kim jesteś?

Marina bezskutecznie próbowała strząsnąć z ramienia jego dłoń.

- Moje nazwisko nic panu nie powie - odrzekła lodowatym tonem. - Będę wdzięczna, jeśli mnie pan puści.

- Naprawdę? - Przyjrzał jej się złośliwie przymrużonymi oczyma. - Panienska zadziera nosa - orzekł. - Nie widzę powodu. - Skrzywił usta w wyrazie pogardy. - Z twoim wyglądem powinnaś być zadowolona, że jakiś mężczyzna zwrócił na ciebie uwagę. Niech ci się nie zdaje, że jesteś warta gwineę.

Marina zaniemówiła. Wiedziała, za kogo wziął ją ten człowiek.

W końcu mocnym szarpnięciem, które musiało wyglądać

niezbyt dystygowanie, wyswobodziła ramię i wybiegła za drzwi, modląc się w duchu, by jej chlebobawczyni znajdowała się w pomieszczeniu obok. Czekało ją jednak rozczarowanie. Sąsiedni pokój zajmowały karciane stoliki, przy których skupieni w grupkach panowie oddawali się grze w pikietę lub wista. Jeden z nich, wyraźnie zdenerwowany jej wtargnięciem, nie kryjąc irytacji nakazał, by była cicho.

Marina oblała się rumieńcem. Mężczyzna, który ją zaczepił, mógł jej nie uważać za damę, mimo to powinna się zachowywać tak, jak została nauczona. Nawet w takim domu.

Z wysoko uniesioną głową, wolno i spokojnie przeszła przez pokój, kierując się do drzwi po przeciwnej stronie.

Trafiła do jeszcze jednej sali gier, lecz zdecydowanie mniej wytwornej niż poprzednia. Nieopodal drzwi stał stół do gry w kości, a pod przeciwległą ścianą ruletka otoczona wianuszkiem podekscytowanych graczy, wśród których były dwie inne wymalowane kobiety.

Marina opanowała dreszcz lęku. Musiało być jakieś wyjście z tego koszmaru. Gdzie, na litość boską, podziała się lady Luce?

Kit obserwował spod opuszczonych powiek, jak lady Luce wchodzi na schody. Niewiele się zmieniła przez te pięć lat. Była tak samo nieuprzejma jak zawsze, ale tego akurat się spodziewał. Czy domyślała się jego zamiarów? Możliwe. Musiała wiedzieć o zmianie jego sytuacji. Wścibskie matrony z towarzystwa, takie jak hrabina, uważały za punkt honoru wiedzieć wszystko o wszystkich.

Wyciągnął złotą tabakierę i postukał w nią wymanikiowanym palcem. Następnie odruchowo ją otworzył i wziął szczyptę tabaki. Przez cały czas nie odrywał wzroku od podestu schodów.

Zastanawiał się, gdzie podziała się lady Luce. Czy ośmieliłaby się zagrać, wiedząc, że on tu jest, obserwuje ją i czeka na swoją szansę?

Oczywiście, że tak. Lady Luce była wiedźmą pozbawioną duszy, ale nie tchórzem. Mogła unikać Kita, jednak wyzwana nigdy by nie zrejterowała. Pozostawało mu zatem jedynie czekać na odpowiednią okazję. Kiedyś musiała nadejść. Może nawet jeszcze tego wieczoru?

Kiwając głową z zadowoleniem, Kit wszedł na schody. W przeciwieństwie do lady Luce nie wybrał pokoi, w których odbywało się karciane przyjęcie. Już dawno zadbał o to, by dobrze poznać rozkład przypominającego labirynt domu Mechante. Dlatego wiedział, gdzie toczy się gra o najwyższe stawki. Jak przystało na wytrawnego myśliwego, zdawał sobie sprawę, że najlepszą taktyką jest przyczajenie się i czekanie w ukryciu na ofiarę.

Marina czuła się coraz bardziej zagubiona. Przechodziła z pokoju do pokoju, wszędzie spotykając jedynie podpitych graczy, skłonnych do zaczepki. Wydawało jej się, że krąży tak już od paru godzin. Wróciła na podest u szczytu schodów, lecz nigdzie nie spostrzegła lady Luce.

W odległym końcu podestu otworzyły się jakieś drzwi. Rozmyty alkoholem głos powiedział:

- Tu jesteś. Nie myśl, że mnie nabierzesz, udając ucieczkę. Poznałem sztuczki twojej profesji, jeszcze nim się urodziłaś. I dobrze wiem, o co ci chodzi. Doskonale.

Marina obróciła się na pięcie, spojrzała na mężczyznę zmierzającego chwiejnym krokiem w jej stronę i odruchowo się cofnęła. Wyczuwając po omacku kłamkę, szybko przestąpiła próg i z westchnieniem ulgi oparła się o drzwi.

Było to jeszcze jeden pokój do gry, znacznie mniejszy od

pozostałych, wyściełany eleganckim niebieskim adamaszkiem. Łukowate przejście w ścianie prowadziło do sąsiedniego pomieszczenia, również utrzymanego w odcieniach błękitu. W obu pokojach stały duże owalne stoły, przy których goście grali w milczeniu. Marina z przerażeniem popatrzyła na stosy monet, banknotów i skryptów dłużnych, piętrzące się na zielonym suknie. Tu grano o bardzo wysokie stawki.

Ze swego miejsca przy drzwiach nie mogła nigdzie dostrzec lady Luce. Może jednak starsza pani nie zasiadła do gry?

Przy stole naprzeciw Mariny lady Marchant pełniła rolę bankiera. Marina chciała podejść bliżej, lecz gospodyni zniechęciła ją do tego dyskretnym ruchem głowy. Najwyraźniej obecność Mariny była niepożądana.

Co miała zrobić?

Za jej plecami ktoś nieporadnie usiłował otworzyć drzwi. Zaraz potem ustąpiły gwałtownie, uderzając Marinę w plecy. Zaskoczona zrobiła chwiejny krok do środka.

Lady Marchant zmarszczyła czoło i wyraźnie zła z powodu zamieszania gestem nakazała Marinie opuścić pokój. Marina nie ośmieliła się protestować. Odwróciła się do wyjścia, tak czy inaczej nie mając wyboru.

I stanęła jak wryta. W progu, uczepiony klamki, stał jej pijany prześladowca, przed którym usiłowała uciec. Czekał, przyglądając jej się pożądliwie.

Zapewne był przekonany, że już ją dopadł. Jednak Marina nie miała zamiaru dać się potraktować jak ulicznica.

Wyprostowała się i spojrzała na niego wyniośle, ale czy w stanie zamroczenia alkoholowego jej prześladowca mógł zwracać uwagę na jakiegokolwiek ostrzeżenia?

Zza łukowatego przejścia dobiegł nagle okrzyk triumfu. Głos należał do lady Luce. Była tuż obok, w sąsiednim pokoju!

Marina odwróciła się gwałtownie i także krzyknęła, zde-
rzywszy się z człowiekiem, który znajdował się tuż za nią.
Najprawdopodobniej wstał od stołu lady Marchant w chwili,
gdy Marina się odwracała.

Przez ułamek sekundy Marina obawiała się, że upadnie,
lecz została pochwycona przez mocne męskie ramiona
i przytrzymana. Na wysokości wzroku miała złotą spinę do
krawata, w kształcie atakującego drapieżnego ptaka o krwi-
stoczerwonych rubinowych oczach. Nie była w stanie się po-
ruszyć. Zastygła w silnych ramionach mężczyzny, czując,
jak bijące od niego ciepło rozgrzewa jej własne ciało.

Wreszcie podniosła głowę, żeby mu spojrzeć w twarz.
To był Kit Stratton.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kit postawił damę w szarej sukni z powrotem na nogi. Przeszło mu przez myśl, że nie powinna znajdować się w takim miejscu jak dom Mechante, gdzie wszystkie kobiety albo należały do półświatka, albo były zatwardziałymi hazardzistkami jak lady Luce.

Dama w ogóle się nie odzywała. Może była na to za głupia? To by pozwalało zrozumieć jej obecność w domu Mechante.

Kit spojrzął na mężczyznę kiwającego się w otwartych drzwiach. Nawet w stanie upojenia miał w sobie coś drapieżnego. Kit przyjrzał się damie, zaciekawiony, co ten mężczyzna mógł w niej zobaczyć. Nie było w niej nic pociągającego poza aurą nieprzystępności. Tak, pewnie o to właśnie chodziło. Obserwowanie, jak radzi sobie z niedoszłym kochankiem, mogło okazać się całkiem zabawne.

Pijak zrobił krok w ich stronę.

- Dzięki, że przytrzymał pan moją kobietę - powiedział, akcentując każde słowo z przesadną starannością. - Ja pierwszy ją dostrzegłem - dodał, jakby dla rozwiania wszelkich ewentualnych wątpliwości.

Kit zeszywniał, słysząc tę bezczelną wypowiedź. Nawet stan upojenia nie mógł jej usprawiedliwić. Ominąwszy damę, stanął naprzeciw jej prześladowcy, nachylając się tak, że niemal stykali się głowami. Starał się nie zwracać uwagi na odór alkoholu.

- Nic tu po tobie, przyjacielu, - powiedział złowrogo ściszym głosem - twoja obecność mi przeszkadza. Idź i wsadź głowę pod pompę.

Mężczyzna wytrzeszczył na niego oczy.

Wglądało na to, że ostre słowa nie wystarczą. Kit złapał go i odwrócił, jednocześnie wykręcając mu rękę do tyłu. Następnie wyprowadził jęczącą ofiarę na podest i tam pchnął na ziemię. Uśmiechnął się z satysfakcją na odgłos kości trzaskających o drewnianą balustradę. Lepsza byłaby kamienna, pomyślał, zostawiając skuloną postać za zamkniętymi drzwiami.

Dama w szarej sukni patrzyła na niego zmrużonymi oczyma. Najwyraźniej źle ją ocenił. W tej kobiecie nie było nic prostackiego.

- Dobre manieri wymagają, żebym panu podziękowała - powiedziała z chłodną, wyuczoną uprzejmością. Unikała jego wzroku. - Co do reszty - zerknęła szybko w stronę zamkniętych drzwi - spróbuję udawać, że nie byłam świadkiem tak brutalnej sceny. - Z miną wyrażającą niesmak odwróciła się i spokojnie przeszła pod łukiem do sąsiedniego pokoju.

Kit zauważył, że nosi się jak księżna. Wydało mu się to dziwne.

Nagle miał ochotę się rozeźmiać. Po raz pierwszy wybawił dziewczynę z opresji, zamiast ją zbałamucić. I jaka spotkała go za to nagroda? Wyniosłe spojrzenie. Mógł się tego spodziewać. Wszystkie kobiety były takie same. Następnym razem - tylko czy z taką kobietą mógł być następny raz? - zamierzał dopilnować, by pożałowała spotkania z Kitem Strattonem.

Marina ucieszyła się, znalazłszy schronienie po drugiej stronie łukowatego przejścia. Kit Stratton był wrogiem lady Luce. Wszystko w tym człowieku aż krzyczało, że jest nie-

bezpieczny. Pod elegancką, układną powierzchownością krył się dzikus o kamiennym sercu. Wiele ją kosztowało przeciężenie cielesnej słabości, by dać mu odprawę, na jaką sobie zasłużył. Była z siebie dumna. Pokazała, że wciąż jest damą.

Przy stole grano w faraona. Lady Luce najwyraźniej spędziła tam cały czas. Marina zamarła, ujrawszy, że jej chlebodawczyni zajmuje pozycję bankiera. To już nie była zabawa, tylko poważny hazard. Wielkie nieba, dlaczego musiało do tego dojść? I dlaczego grała akurat w faraona? Marina nienawidziła tej gry bardziej niż innych, bo zrujnowała jej ojca. Toczyła się o piekielnie wysokie stawki i można w niej było stracić majątek. Mężczyźni grali bez końca, w nadziei, że szczęście się odwróci i w następnym rozdaniu uda im się odegrać. Aż w końcu nie mieli już czego postawić. Przez faraona wielu nieszczęśników strzeliło sobie w łeb. Jej ojciec mógł skończyć podobnie, gdyby przeżył wojnę.

Nikt nie zauważył obecności Mariny. Oparła się o ścianę obok łuku, próbując opanować wzburzenie. Nie wolno jej było wpaść w panikę. Przecież lady Luce nie mogła grać o stawki wyższe, niż pozwalały jej finansowe możliwości. Poza tym jako bankier powinna mieć większe szanse. Istniała więc możliwość, że opuści stół z wygraną. Uspokojona tą myślą Marina poczuła się nieco lepiej; wyciągając szyję, próbowała śledzić grę, nie przeszkadzając przy tym uczestnikom.

Poza lady Luce w grze brało udział jeszcze pięć osób. Sami mężczyźni. Wszyscy byli odwróceny do Mariny plecami. Lady Luce zgarniała ku sobie stos monet i banknotów. Jej triumfalny pisk wydawał się usprawiedliwiony, sądząc po obfitości wygranej. Wyglądało na to, że na razie szczęście jest po jej stronie. Wprawnymi palcami rozerwała nowe pudełko i zaczęła tasować karty. Podarty kartonik opakowania rzuciła na podłogę.

Jedynym słyszalnym odgłosem był szelest kart. Grający sprawiali wrażenie zastygłych na swoich miejscach. Nagle ciszę przerwał niski głos dochodzący zza łukowatego przejścia.

- Wygląda na to, że ma pani niewiarygodne szczęście, milady. Odważy się pani podnieść stawkę przy następnym rozdaniu? Powiedzmy od dwudziestu gwinei w górę? A może woli pani oddać bank?

Marina nie musiała się oglądać, żeby rozpoznać mówiącego. To był Kit Stratton. W jego lekkim tonie pobrzmiwała nuta kpiny, którą łatwo można było uznać za obraźliwą.

Marina dostrzegła błysk oburzenia w oczach lady Luce, kiedy hrabina spod ściągniętych brwi spojrzała na swego rywala.

- Nie ma mowy, panie Stratton - odrzekła zdecydowanie. - Nie zamierzam oddawać banku. Zgadzam się, że stawki były dotąd za niskie. Proponuje pan dwadzieścia? Cóż, ja bym nie poprzestawała na tak nędznej sumie. Co pan powie na pięćdziesiąt?

Człowiek siedzący naprzeciw lady Luce natychmiast podniósł się ze swego miejsca.

- Za wysoko dla mnie - oświadczył i wyszedł.

Kit Stratton podszedł do stołu i znaczącym ruchem położył rękę na oparciu wolnego krzesła. On i lady Luce zmierzili się wzrokiem. Marina wiedziała, że Kit Stratton rzuca starszej pani wyzwanie do kontynuowania gry. Wiedziała też, że lady Luce się nie podda.

Nie wiedziała natomiast, co sama powinna uczynić. Wyteęzała umysł, ale z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie była w stanie jasno myśleć. O zgrozo, nie udało jej się powstrzymać hrabiny przed grą o wielką stawkę. Co się z nią działo?

Po dłuższej chwili rozległ się głos Kita Strattona.

- Pięćdziesiąt? Doskonale. Chyba że chce pani jeszcze podnieść?

Marina modliła się w duchu, by lady Luce nie ulegała dalszej prowokacji. Przecież sprawa wyglądała fatalnie już przy stawce, jaką uzgodnili.

Lady Luce uśmiechnęła się tajemniczo, najpierw do Strattona, potem do pozostałych graczy.

- Panowie, jako bankier przyjmę wszelkie stawki, które pan Stratton zaproponuje. - Posłała mu jeszcze jedno spojrzenie. Błysk w jej oczach zdradzał, że jest pewna swego zwycięstwa.

Kit Stratton przeciągał milczenie. W końcu cichym, bardzo spokojnym głosem powiedział:

- Milady, jest pani dla mnie zbyt łaskawa, ale niegrzecznie byłoby panią rozczarować. Życzenia dam zawsze powinny być spełniane. Powiedzmy... dwieście funtów?

Tym razem wszyscy obecni w pokoju wstrzymali oddech. Następni dwaj panowie wstali od stołu, mamrocząc jakieś wymówki. Stawka była doprawdy niesłychana.

Kit Stratton nawet nie drgnął, kiedy zniechęceni gracze opuszczali stół, gromadząc się przy łuku. Roześmiał się, lecz Marina nie usłyszała w jego śmiechu nawet cienia wesołości.

- Zagramy więc w bardzo kameralnym gronie, łaskawa pani - rzekł, podsuwając sobie krzesło.

Marinie zaczęło się kręcić w głowie. Oparła się ręką o ścianę. Dwieście funtów to fortuna... Zbliżyła się do stołu o kilka kroków, w nadziei, że zwróci na siebie uwagę chlebobdawczyni. Może uda jej się dać starszej pani sygnał, jakoś ją powstrzymać?

Ruch rzeczywiście przyciągnął spojrzenie lady Luce.

- Jesteś wreszcie - powiedziała zgryźliwie. Wskazała puste krzesło przy odległym końcu stołu. - Siądź i nie prze-

szkadzaj. To zbyt ważna sprawa, żeby cokolwiek mnie rozpraszało.

Marina posłusznie zajęła wyznaczone jej miejsce. Spojrzenie lady Luce nie pozostawiało wątpliwości, że Marinie nie wolno się odzywać ani ruszać. Pozostawała jej tylko nadzieja, że lady Luce wygra. Panicznie się bała, że Stratton - ten zuchwały, bezwzględny Kit Stratton - zrujnuje jej chlebobdawczynię.

I ją przy okazji.

Kit patrzył na drobne dłonie wprawnie obchodzące się z talią. Skupienie wzroku na kartach pomagało mu się skoncentrować. Pomagało też wykryć wszelki ślad oszustwa, choć w tym przypadku się go raczej nie spodziewał. Lady Luce była zbyt dumna, by upaść tak nisko... nawet gdyby umiała, w co szczerze wątpił. Nie. To miał być uczciwy sprawdzian talentu i mocnych nerwów. Dobrze wyćwiczona pamięć Kita powinna wystarczyć do zrównoważenia korzyści wynikającej z zajmowania pozycji bankiera.

Poza tym wszystko zależało od szczęścia.

Lady Luce podsunęła złożoną talię Kitowi.

- Chce pan sam potasować? A może któryś z pozostałych panów przełoży?

Kit wyciągnął rękę.

- Jestem pewien, że karty są dobrze wymieszane - rzucił swobodnym tonem, nawet nie patrząc na przeciwniczkę - ale chętnie przełożę. - Zdecydowanym ruchem przełożył karty.

Marina widziała, jak lady Luce zaciska usta w odpowiedzi na jego uwagę. Kit Stratton wyraźnie szukał z nią zwady, jakby jeszcze mu było mało. Jak dwoje ludzi mogło aż tak się nie cierpieć? Marina nie była w stanie tego pojąć.

- Panowie, proszę obstawiać - zarządziła lady Luce.

Stratton bez wahania wyciągnął gruby portfel, wyjął z niego dwa banknoty i położył je na dziewiątce w karcianym schemacie leżącym na stole po stronie graczy. Lady Luce z nieprzeniknionym spojrzeniem czekała, aż pozostali dwaj panowie zrobią zakłady. Łysy mężczyzna, siedzący najbliżej Mariny, wypisawszy skrypt dłużny, błądził dłonią pomiędzy piątką a szóstką. Najmłodszy z graczy był szybszy, od razu pchnął stos banknotów i monet na damę.

Ponieważ łysy mężczyzna wciąż się wahał, lady Luce chrząknęła znacząco, ponaglając go surowym spojrzeniem. Czerwieniąc się lekko, rzucił zapisany świstek na szóstkę.

Marina wstrzymała oddech, czekając na odkrycie pierwszej karty. Ojciec zawsze mawiał, że ta karta to omen dla całej gry. Zazwyczaj każda kolejka faraona obejmowała dwie karty - bankier wygrywał przy pierwszej, gracze przy drugiej - ale w pierwszej i ostatniej kolejce odkrywana była tylko karta bankiera. Papa żywił przekonanie, że jeśli bankier wygra na tę pierwszą kartę, gracze dużo stracą podczas całej gry. Marina tak naprawdę nigdy w to nie wierzyła - nie uchroniło to ojca przed zgraniem się do ostatniej koszuli - a mimo to modliła się w duchu, by karta lady Luce wygrała. Musiałaby to być szóstka, dziewiątka lub dama. Najlepiej, żeby się pokrywała z dziewiątką Kita Strattona. Chciała zobaczyć, jak wróg lady Luce przegrywa.

Starsza dama się nie śpieszyła. Uśmiechnęła się do wszystkich trzech panów po kolei, nim wreszcie dotknęła talii. Sprawiała wrażenie pewnej siebie.

Odkryła pierwszą kartę i położyła ją po lewej stronie talii. Dziewiątka!

Lady Luce kiwnęła głową z zadowoleniem i zgarnęła stawkę wyłożoną przez Kita Strattona.

Nawet nie drgnęła mu powieka. Marina pomyślała, że

w tym momencie jeszcze bardziej przypomina marmurowy posąg - piękny, zimny, o kamiennym sercu. Mówiono, że greccy bogowie zabawiali się, używając ludzi jako pionków podczas gry w szachy na Olimpie. Można by sądzić, że Kit Stratton podobnie traktuje swoich przeciwników.

Dorzucił dwa banknoty na dziewiątkę na planszy, nawet nie podnosząc wzroku na bankiera lub pozostałych graczy. Sprawiał wrażenie całkowicie skupionego na kartach.

Marina знаła to spojrzenie. Widywała je u ojca. Kit Stratton z pewnością był doświadczonym graczem i potrafił zapamiętać każdą odkrytą kartę. Ona też była tego nauczona. Ta wiedza pomagała zwiększyć szanse, zwłaszcza pod koniec gry, kiedy do odkrycia pozostawało niewiele kart. Kit Stratton bez wątpienia grał po to, by wygrać.

Lady Luce odkryła karty w następnej kolejce. Król dla bankiera, a następnie dwójka. Bez wygranych. Przy tak niewielkiej liczbie uczestników, pustych kolejek mogło być kilka. Jeśli bankier działał szybko, trudniej było zapamiętać karty. Marina postanowiła także je śledzić. Zajęcie czymś umysłu mogło jej pomóc zachować spokój, zwłaszcza gdyby Kit Stratton wygrał.

Nastąpiły raz za razem trzy puste kolejki. Marina dokładnie zapamiętała, jakie karty zeszły. Czy Kit Stratton także to wiedział? Trudno się było tego domyślić po jego minie.

Lady Luce odkryła szóstkę i położyła ją na kupce bankiera po lewej stronie talii. Łysy mężczyzna jęknął i zaklął pod nosem, kiedy jego stawka dołączyła do wygranej leżącej przed bankierem. Zaczął wypisywać kolejny skrypt, zanim jeszcze karta graczy została odkryta. Młodzieniec przy końcu stołu głośno wciągnął powietrze. Jeszcze jedna dziewiątka! Lady Luce umieściła ją starannie na kupce graczy. Następnie wzięła dwa banknoty wcześniej przegrane przez Kita Strat-

tona i trzymając je pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, jakby były zatrute, upuściła na dziewiątkę na planszy.

Stratton uśmiechnął się nieznacznie, po czym na powrót przybrał kamienny wyraz twarzy. Położył rozpostartą dłoń na banknotach. Marina zauważyła, że miał dobrze utrzymane ręce. I silne. Nie sądziła, by te dłonie były delikatne. Zapewne chętnie przyłożyłby swe długie palce do szyi lady Luce i zacisnął, pozbawiając starszą panią życia.

Co, u licha, wzbudziło w niej takie myśli? Marina przerażiła się swoich niedorzecznych wyobrażeń. Był tylko hazardzista. Bezwzględny, owszem, ale chyba jednak dżentelmenem.

Nie unosząc ręki, Stratton przesunął wszystkie cztery banknoty z dziewiątki na dziesiątkę. W chwili gdy podnosił dłoń ze stołu, lady Luce odkryła kolejną kartę bankiera. Następna dziewiątka!

Łysy mężczyzna parsknął śmiechem. Nie uczynił żadnej uwagi na temat tak niezwykłego szczęścia, ale lady Luce uciszyła go gniewnym spojrzeniem. Nic dziwnego, że nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano w tym pojedynku. Bez pośpiechu uniosła z talii *carte anglaise*. Tym razem karta graczy była damą. Młody człowiek wygrał. Rozejrzawszy się szybko, schował wygraną do kieszeni, po czym przesunął swą pierwotną stawkę tak, że dołączyła do sumy Strattona na dziesiątce.

On także wyczuł, że toczy się bitwa na śmierć i życie, pomyślała Marina, i wolał sprzymierzyć się z mężczyzną, z młodością, przeciwko samotnej starej kobiecie.

Marina zmusiła się, by wrócić myślami do kart. Trzyście już zeszło. Pamiętała każdą z nich. Kit Stratton postawił czterysta funtów na dziesiątkę. Pozostało jeszcze trzydzieści dziewięć kart do odkrycia. Między nimi były cztery dziesiątki.

Marina miała trudności z zapamiętywaniem kart. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. Była dumna z tej umiejętności, a teraz, *kiedy* naprawdę *jej potrzebowała*, *pamięć ją* zawodziła. Musiało to mieć coś wspólnego z tymi silnymi, szczupłymi dłońmi. Nie mogła od nich oderwać oczu. Co w nich było takiego szczególnego? Przeważnie spoczywały nieruchomo na stole, kiedy Kit Stratton obserwował ruchy bankiera. Przypominał jastrzębia - obojętnego, bezlitosnego drapieżnika, gotowego rzucić się na każdą ofiarę, która okaże choć trochę słabości.

Pozostało już tylko dziewiętnaście kart, a wciąż nie pojawiła się ani jedna dziesiątka.

Spod łukowatego przejścia grupka widzów przypatrywała się grze. Najwidoczniej zasiadający przy stoliku lady Marchant rozproszyli się; wszyscy woleli śledzić emocjonujący pojedynek pomiędzy Kitem Strattonem a lady Luce. Starsza pani zmierzyła intruzów niechętnym spojrzeniem, po czym znów skupiła uwagę na kartach. Łysy mężczyzna rozparł się na krześle z udawaną nonszalancją. Młodzieniec aż dygotał z podniecenia. Nie odzywał się, ale raz po raz spoglądał to na pieniądze leżące na dziesiątce, to na nieruchomą twarz lady Luce. Nad brwiami perliły mi się krople potu. Jego los zależał od wyczucia Kita Strattona... i niepewnej dziesiątki.

Lady Luce odkryła kolejną parę kart. Wygrała kartajysego mężczyzny. Starsza pani beznamiętnym gestem podsunęła mu wygraną i czekała, aż dokona następnego zakładu. Kupka banknotów i monet przed nią była już żałośnie mała. Rozpaczliwie potrzebowała wygrywającej karty.

Marina wyczuwała rosnące napięcie w wymuszonym uśmiechu swej chlebodawczyni. Starsza pani coraz mocniej zaciskała usta. Jednakże jej dłonie pozostały całkiem pewne,

kiedy odkrywała kolejną kartę. Dziewiątka dla bankiera. Bezużyteczna.

Potem karta graczy. Dziesiątka.

Jednemu z widzów wyrwało się z piersi westchnienie, natychmiast stłumione. Młodzieniec przy stole uśmiechał się od ucha do ucha, natomiast Strattonowi nie drgnął nawet jeden mięsień w twarzy. Wciąż patrzył na karty.

Lady Luce oddała młodemu człowiekowi swoje ostatnie dwa banknoty. Zerkając przepaszająco na Strattona, wepchnął wygraną do kieszeni, po czym przesunął swoją stawkę z dziesiątki na damę. Lady Luce nie miała już banknotów. Zamiast odliczać dwieście funtów drobnymi, sięgnęła po pióro i atrament, żeby wypisać skrypt dłużny dla Strattona.

Powstrzymał ją uniesieniem ręki.

Marina wstrzymała oddech, domyślając się, co nastąpi.

Ruchem długiego palca Kit Stratton pokazał, że jego wygrana ma pozostać na stole.

Tym razem Marina nie potrafiła powstrzymać jęku. Kit Stratton postanowił zaufać swemu szczęściu. Gdyby znów wygrał, lady Luce musiałaby mu zapłacić siedmiokrotność jego stawki. Co wynosiło prawie trzy tysiące funtów!

Lady Luce sięgnęła po karty. Marina zamknęła oczy, bała się patrzeć. W rękach bankiera wciąż pozostawały trzy dziesiątki.

Jęk łysego mężczyzny kazał jej znów otworzyć oczy. Przegrał. A Kit Stratton wygrał dzięki drugiej dziesiątce.

Marina dobrze wiedziała, do czego Stratton zmierza. Długie palce powtórzyły wcześniejszy gest. Cała jego wygrana przeciwko stawce pomnożonej przez piętnaście!

W trzech następnych kolejkach nie pojawiła się żadna dziesiątka. Młodzieniec przegrał na damę. Łysy mężczyzna wygrał na króla.

Kit Stratton siedział jak skamieniały.

Pozostało tylko siedem kart.

Marina próbowała skupić wirujące myśli na przebiegu gry. Jakie karty pozostały? Powinna to wiedzieć.

Wyteżyła umysł, wyrzucając z niego wszystkie zbędne myśli. Szybko zyskała jasność, jakby odsunięto zasłonę z tablicy, na której widniały karty. Dwa asy, dwójka, trójka, walet... i dwie dziesiątki.

Łysy mężczyzna postawił dwieście funtów na asa. Młodzieniec wybrał szóstkę. Najwyraźniej nie miał dobrej pamięci do kart.

Dłoń Kita Strattona spoczywała niedbale na zielonym suknie; wskazujący palec dotykał dziesiątki.

Można było odnieść wrażenie, że nikt nie śmie oddychać: wszyscy czekali, aż lady Luce odkryje kolejną parę kart. As dla bankiera. I trójka dla graczy.

Lady Luce sięgnęła po swoją wygraną z asa. Marina odmówiła w duchu krótką modlitwę dziękczynną. Niech to samo stanie się z dziesiątką. Proszę.

Łysy mężczyzna nie był gotowy do odwrotu. Spoglądając trochę niepewnie na pozostałych graczy, umieścił swoją stawkę na dziesiątkę. Widać uznał, że szczęście nie opuszcza Kita Strattona.

Lady Luce spokojnie odsłoniła kartę. Bezużyteczna dwójka. Po krótkiej pauzie szybko odkryła *carte anglaise*.

Dziesiątka!

Łysy mężczyzna wydał z siebie okrzyk triumfu, po którym zapadła pełna napięcia cisza. Wszyscy obecni w pokoju czekali, co zrobi Kit Stratton. Mógł zabrać pieniądze - sześć tysięcy funtów - albo grać dalej w nadziei na podwojenie wygranej do sumy wynoszącej trzydziestokrotność pierwotnej stawki.

Przez kilka sekund siedział nieporuszony niczym posąg. O czym myślał? Pozostały tylko trzy karty. Tak doświadczony gracz musiał wiedzieć, że teraz bankier ma dwie szanse na wygraną, a gracze tylko jedną. Łysy mężczyzna szybko zgarnął do kieszeni swoje pieniądze. Marina przyznała w duchu, że postąpił mądrze. Kit Stratton nie mógł znowu wygrać. Tylko najtwardszy hazardzista odważyłby się grać dalej.

Wszystko wskazywało jednak na to, że Kit Stratton jest twardym hazardzista. Niedbałym ruchem poklepał swoją wygraną, dając tym znak, że pozostaje w grze. Nawet na moment nie oderwał oczu od kart.

Jednak na okamgnienie kącki jego ust uniosły się w ironicznym uśmiechu.

Marinie serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Ten grymas ust powiedział jej wszystko. Kit Stratton doskonale wiedział, że ma mniejsze szanse na wygraną niż bankier, ale był gotów zaryzykować, żeby pokonać kobietę, której nienawidził. I jeśli nie uda mu się teraz, poczeka na inną okazję. Był wrogiem lady Luce.

Marina spojrzała na starszą panią. Pod warstwą staroświeckiego pudru jej twarz była szara. Jednak oczy błyszcząły. Podjęła ostatnie wyzwanie Kita Strattona. Lepiej zaryzykować mniej prawdopodobną utratę dwunastu tysięcy, niż od razu zapłacić sześć.

Marina ukradkiem zacisnęła kciuk prawej ręki. Nie była przesadna - uważała się za zbyt dobrze wykształconą na takie głupstwa - ale jakoś nie umiała się powstrzymać. Nie wolno jej było zaciskać lewej dłoni, bo to mogło przynieść pecha. Zmusiła się do patrzenia na stół. Podobnie jak lady Luce, chciała pokazać, że nie jest tchórzem.

Pozostały trzy karty - as, walet i dziesiątka.

Drobna, pomarszczona dłoń lady Luce zawisła nad talią. A potem, niczym kot rzucający się na mysz, poderwała z talii pierwszą kartę. As.

Marina zaciskała palce aż do bólu. Tylko dwie karty. Teraz szanse były równe.

Lady Luce uśmiechnęła się do graczy; Kit Stratton nie odrywał wzroku od stołu. Nie mógł widzieć wyzywającej miny starszej pani, kiedy odkrywała kartę, która mogła ją zrujnować.

Dziesiątka.

Kit Stratton wygrał dwanaście tysięcy funtów.

Lady Luce ze wstrętem odwróciła ostatnią, już beżyteczną kartę. Było po wszystkim. Podjęła wyzwanie i przegrała. Wyprostowana czekała, aż jej przeciwnik się odezwie.

Jednak Kit Stratton milczał. Siedział, wciąż nieporuszony, wpatrując się w kartę, która przyniosła mu zwycięstwo. A potem bardzo wolno zmrużył oczy i rozciągnął wargi w jadowitym uśmiechu. Marinie aż włosy zjeżyły się na karku. W wyrazie twarzy Kita Strattona było coś wręcz diabelskiego.

Unióśł nieznacznie głowę i nie przestając się uśmiechać, popatrzył na lady Luce. Marinie przyszła na myśl kobra, hipnotyzująca ofiarę na moment przed atakiem. Jak mogła uważać go za przystojnego? Nienawiść i żądza zemsty nadawały jego urodziwym rysom paskudny wyraz. Chciała odwrócić wzrok, ale jakoś nie mogła. Siedząca naprzeciw Strattona lady Luce jeszcze bardziej poszarzała na twarzy. I jakby się skurczyła. Nagle wydała się bardzo stara i bardzo krucha.

Kit Stratton czekał, aż lady Luce się odezwie, przyzna się do porażki. Chciał ją upokorzyć.

Lady Luce nie zdobyła się na uśmiech, ale skinęła przeciwnikowi, jakby nic szczególnego się nie stało. Następnie zaczęła spokojnie, pewną ręką zbierać karty.

Marina musiała ukryć dłonie na kolanach, żeby nikt nie widział, jak drżą. Musiała coś zrobić.

Kit Stratton wolno podniósł się z miejsca. Dobrze się bawił. Z wysokości swego wzrostu spoglądał na lady Luce, nie przestając złośliwie się uśmiechać. Po dłuższej chwili odezwał się cichym, lekko świszczącym głosem. Znow przypominał Marinie kobrę.

- Tym razem zwycięstwo należy do mnie - powiedział.

Lady Luce wypisała skrypt i przesunęła w jego stronę po stole. Nic nie powiedziała. Jej opanowanie było wręcz niewiarygodne.

- Nie śpieszy mi się z odebraniem wygranej. - Stratton zmrużył oczy i jeszcze bardziej ściszył głos. - Oczekuję uregulowania należności w ciągu... powiedzmy siedmiu dni? - Skłonił się, nie zginając karku i ani na chwilę nie odrywając wzroku od nieszczęsnej lady Luce. - Nie będę pani życzył miłego wieczoru, milady.

Starsza pani nadal nic nie mówiła. Nie było potrzeby. Wyraz nienawiści na jej twarzy był wystarczająco wymowny. Marinie zdawało się, że dostrzega na niej także cień strachu.

Kit Stratton schował skrypt do kieszeni i odwrócił się do wyjścia. Triumfował. Marina zawiodła już za pierwszym razem. Hrabia niezwłocznie ją zwolni, a ona nieodwracalnie straci jedyne źródło dochodu za sprawą tego przystojnego, nikczemnego mężczyzny. Ktoś musi go powstrzymać.

Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, Marina poderwała się z miejsca i zagroziła Strattonowi drogę do wyjścia.

- Proszę pana... - zaczęła, kładąc mu dłoń na ramieniu, żeby go zatrzymać. Odwrócił się gwałtownie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak zimnego spojrzenia. Był bezwzględny, nieubłagany i pełen nienawiści. Nic nie mogło wzruszyć

kogoś takiego jak on. - Proszę pana - zaczęła jeszcze raz, właściwie nie wiedząc, o co zamierza go prosić - czy pan by nie...

Nie pozwolił jej dokończyć. Krzywiąc piękne usta w wyrazie drwiny, strząsnął jej dłoń z ramienia, jakby groziło mu zarażenie się chorobą.

- Nie, milady - rzucił szorstko. - O cokolwiek chce mnie pani prosić... - zmierzył ją wzrokiem - moja odpowiedź brzmi nie. - Trzymaną w lewej ręce wytworną batystową chusteczką - jakby wyczarowaną wprost z powietrza - starannie przetarł miejsce na rękawie skażone dotykiem palców Mariny.

Marina nie kryła wściekłości. Jak on śmiał?!

Stratton nieznacznie uniósł brwi. Był zadowolony z jej reakcji. Cóż za łajdak! Marina nie znajdowała odpowiednio surowych słów, by opisać jego niegodziwość.

Kit Stratton opuścił pokój, a Marina straciła nadzieję na utrzymanie posady.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kit minął gapiów, którzy rozstąpili się, by zrobić mu miejsce. Na ich twarzach malował się podziw. Prawdopodobnie żaden z nich nie odważyłby się podjąć takiego ryzyka.

Na podeście nie było już pijaka. Hol na parterze wydawał się pusty.

Kit wolno zstąpił ze schodów, czując pustkę w głowie. Ledwie przypominał sobie, co się stało; wiedział tylko, że w końcu dokonał zemsty. Powinien więc triumfować, sycić się zwycięstwem, tymczasem pozostawał w stanie letargu.

Zobaczył schodzącą na parter Mechante, kusząco kołyszącą biodrami. Jej suknia z niemal przezroczystego materiału ukazywała ponętne kształty, nie pozostawiając wiele miejsca wyobraźni. W ostatnich latach Kit zaczął gustować w bardziej powściągliwych kobietach. Jego obecna metresa nie obnosiła się ze swymi walorami przed każdym napotkanym mężczyzną. Baronowa Katharina von Thalberg ofiarowała się tylko jemu... no i oczywiście swemu mężowi. Kit nie mógł mieć o to pretensji.

Zaczekał na Mechante, porównując ją ze swą uroczą kochanką. Uznał, że pani domu brakuje klasy. Postanowił pójść do Kathariny. Miał nadzieję, że w jej ramionach odzyska spokój po szaleństwie tego wieczoru.

- Musisz już iść, Kit? - zapytała lady Marchant. - Moglibyśmy uczcić twoje zwycięstwo szampanem i wspominać dawne czasy. Mam dobry rocznik, zmrożony, w mym

apartamencie. - Popatrzyła na Kita szeroko otwartymi zielonymi oczami i otarłszy się o niego, szepnęła mu do ucha: - Goście doskonale dadzą sobie radę beze mnie. Mogę ich zostawić... na godzinę.

Kit nie zareagował na to śmiałe zaproszenie. Możliwość przespania się z piękną kobietą była zazwyczaj dla niego bardzo kusząca; dostarczała przyjemności ulotnej jak wygrana w karty. Jednak Mechante już na niego nie działała. Pięć lat temu była jego kochanką i go zdradziła.

Uniół jej dłoń do warg, tak by nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy.

- Nie, moja droga - powiedział cicho. - Ja nigdy nie wracam. I nigdy się z nikim nie dzielę.

- Uważaj, przyjacielu. - W głosie lady Marchant nie było już uwodzicielskich tonów; pojawiła się w nim złośliwość, kocie oczy zwięzły się w szparki. - Twoja Katharina podejmuje zbyt wielkie ryzyko. Teraz, kiedy wróciłeś z Wiednia, jej mąż nie będzie już taki wyrozumiały. Tam był jedynie poorniejszym arystokratą, a tutaj pełni funkcję przedstawiciela monarchii habsburskiej. Skandal zrujnowałby jego pozycję. - Wykonała nieznaczące dygnięcie. - A do tego może dojść w każdej chwili, nie uważasz?

Kit spojrział jej w oczy. Pomyślał, że Mechante jest sprytna, a jej imię dobrze pasuje do charakteru. Doskonale rozumiał, o co jej chodziło.

- Dziękuję za uprzejme zaproszenie, Mechante, i za słowa ostrzeżenia. - Skłonił się i sięgnął po kapelusz i laskę, które podał mu służący. - A teraz muszę cię pożegnać. Jestem ci bardzo wdzięczny za ten niezwykle wieczór.

Jej ostry, nieprzyjemny śmiech odprowadził go aż do drzwi i rozszedł się w rześkim, nocnym powietrzu.

Było już bardzo późno. Kit pomyślał, że Katharina zapewne znudziła się czekaniem i wróciła do męża. Musiałaby być szalona, żeby wytrwać do tej pory.

Kit cicho zamknął drzwi i wszedł na piętro przytulnego domku w Chelsea, który wynajął na spotkania z Katharina. Zamierzał zdrzemnąć się tam parę godzin, a nazajutrz... czy raczej później tego dnia, odnaleźć kochankę i za wszystko ją przeprosić. Zapewne mu przebaczy... a może nawet wymierzy mu jakąś słodką karę.

Poczuł zapach jej perfum, jeszcze zanim otworzył drzwi do sypialni. Głęboko wciągnął go w nozdrza, przypominając sobie wrażenia, jakich doświadczał, nakrywając Katharinę swym ciałem. Jaka szkoda, że już sobie poszła.

- Katchen!

Baronowa Katharina von Thalberg leżała na ogromnym łożu i przeglądała czasopismo. Na dźwięk swego imienia odwróciła się zaskoczona, a na jej czole pojawiła się zmarszczka gniewu.

- *Du kommst spat* - zaczęła oskarżycielskim tonem, przewracając się na plecy, by spojrzeć na Kita wielkimi, pełnymi bólu oczami.

- *Auf English, Katchen* - powiedział znużonym głosem. Miała prawo skarżyć się na jego spóźnienie, jednak nie zamierzał pozwolić jej na robienie sceny. W końcu nie musiała na niego czekać. Powrócił do tematu. - Jesteś teraz w Londynie. Musisz mówić po angielsku.

Baronowa zrobiła pocieszoną minkę.

- Skoro tak uważasz... - odpowiedziała. - Nie rozumiem, dlaczego ci tak na tym zależy. Przecież jesteśmy sami. Możemy rozmawiać w dowolnie wybranym języku. *Francais, peutetre!*

Kit ściągnął wargi, powstrzymując się od ostrej reprimen-

dy. Ta mała Austriaczka potrafiła prowokować, jednak tym razem nie miał na to ochoty.

- Nie, madame. Musimy rozmawiać po angielsku - stwierdził stanowczo i zdjął frak. Wyciągnął się na łożku i wsparł się na łokciu. - Słowa są niebezpieczne. Mogą nas zdradzić... w każdym języku.

Przesunął palcem wzdłuż głębokiego dekoltu jej sukni i dotknął przedziłka pomiędzy kształtnymi piersiami. Głaszał jej skórę delikatnie. Katharina przymknęła oczy w uniesieniu.

- A po co nam słowa? - wyszeptwała. Wzięła głęboki, drżący oddech.

Kit popatrzył na roznamiętnioną kochankę. Nareszcie ogarniało go pożądanie.

- Masz absolutną rację, najdroższa.

Lady Luce drżącą dłonią uniosła kieliszek brandy i szybko wychyliła jego zawartość.

- Powinnam była wyjść, jak tylko go zobaczyłam - powiedziała z goryczą, siadając w ulubionym fotelu przy oknie. - To diabeł wcielony... i ma diabelskie szczęście.

Marina ze zrozumieniem pokiwała głową. Nie musiała pytać, o kogo chodzi.

Lady Luce jęknęła.

- A co do Williama... - Gniewnie pokręciła głową na myśl o synu. - Myślał, że mnie przechytry. Podsunał ciębie, mając nadzieję, że przywoła tym matkę do porządku. No, i kto tu teraz wyszedł na durnia?

Zatem lady Luce od początku o wszystkim wiedziała. Marina nie przeżyła zaskoczenia. Starszej pani nie brakowało sprytu, a jej syn... nie był dla niej równym przeciwnikiem. Nie miało to jednak żadnego znaczenia dla Mariny. Hrabia

był trochę mało rozgarnięty, jednak z pewnością w każdej chwili mógł ją odesłać.

Lady Luce wyciągnęła dłoń, prosząc o kolejną porcję brandy. Marina posłusznie przyniosła karafkę i wlała odrobinę bursztynowego płynu do kieliszka. Lady Luce gniewnie prychnęła.

- To nawet nie jest łyk. - Niecierpliwie potrząsnęła pękatym kieliszkiem; Marina ostrożnie dolała brandy. - No, teraz już lepiej - oznajmiła. - Ty też możesz skosztować.

- Dziękuję, milady. Nie piję alkoholu. Ja...

- Przynieś kieliszek. Odrobina brandy ci nie zaszkodzi. Masz przed sobą ciężki dzień. Już William o to zadba. On uwielbia takie sytuacje.

Lady Luce się nie myliła. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin Marina miała stracić pracę. Czuła nieprzyjemne ściskanie w żołądku na myśl o zbliżającej się rozmowie z okropnym synem lady Luce. Wypiła łyczek brandy i gwałtownie zaczerpnęła tchu, czując potworne palenie w przełyku.

- Boże! - wyjąkała w końcu. - Czy ludzie naprawdę pija to dla przyjemności?

Lady Luce roześmiała się i położyła chudą dłoń na rękę Mariny.

- Muszę przyznać, że nie brak ci odwagi. Nie pozwól, żeby mój arogancki syn cię skrzyczał albo odprawił.

Zdumiona Marina popatrzyła na starszą panią.

- A jak myślisz, dlaczego zabrałam cię dzisiaj do Mechante? Myślisz, że to był przypadek? - Potrząsnęła głową, widząc zaskoczenie na twarzy Mariny. - Nie mam zamiaru pozwolić na to, by William rządził moim życiem. O, to mu się nie uda. Zabrałam cię do tej jaskini hazardu, żeby pokazać mu - i tobie - że będę grała, kiedy tylko przyjdzie

mi na to ochota. On mnie nie powstrzyma. Najęcie opiekunki, która ma czuwać nade mną, nic tu nie pomoże.

Marina poczuła, że się rumieni.

- Ja... ja nie...

- Nie, ty nie. Gdybym choć przez chwilę pomyślała, że jesteś sprzymierzeńcem Williama, sama natychmiast bym cię zwolniła. Obiecał mi damę do towarzystwa i zapewnił, że pokryje wszelkie koszty. Chciałabym, żeby dotrzymał warunków umowy.

Marina nie zamierzała być pionkiem w niekończącej się próbie sił starszej pani i jej syna. Czekały ją trudne chwile. Strata dwunastu tysięcy funtów zaostriżyła grę...

Lady Luce wyciągnęła rękę, domagając się uzupełnienia zawartości kieliszka. Potem długo milczała, wpatrując się w ścianę.

Marina doszła do wniosku, że lady Luce myśli o pieniądzach. Nie dysponowała tak ogromną sumą, a już z pewnością nie była w stanie zdobyć jej w ciągu tygodnia.

- Był bardzo zdeterminowany, chciał się zemścić za wszelką cenę - powiedziała lady Luce w zamyśleniu. - Nie mogę go o to winić. Wykorzystał moje słowa przeciwko mnie. Mogłam się tego spodziewać.

- Przepraszam, milady, ale nie rozumiem...

- Nie musisz niczego rozumieć. Poza tym nie mówiłam do ciebie. - Słyszac, jak Marina gwałtownie bierze oddech, lady Luce złagodniała. - W końcu i tak wszystkiego się dowiesz. Lepiej, jeśli sama ci o tym powiem. Nie chcę, żebyś usłyszała plotki od służących. Na pewno by coś pokręcili. - Niespodziewanie zachichotała. - Kilka lat temu, kiedy Kit Stratton miał jeszcze mleko pod wąsem, przegrał do mnie pięć tysięcy funtów. Byłam wtedy poważnie zadłużona i nie mogłam pozwolić sobie na sprolongowanie mu terminu. Nie

dałam mu nawet okazji do rewanzu. Domagałam się zapłaty w ciągu siedmiu dni. Od tej pory planował zemstę.

Wyjaśnienie nie zadowoliło Mariny. Mężczyźni od wieków tracili fortuny w grach hazardowych. Dlaczego Kitowi Strattonowi aż tak zależało na tym, żeby się zemścić, w dodatku na kobiecie?

Jej wątpliwości musiały być dobrze widoczne na twarzy, gdyż lady Luce poczuła się nieswojo.

- Zapłacił w terminie - powiedziała szorstkim tonem. - Później dowiedziałam się, że pieniądze dał mu jego brat, Hugo, korzystając z posagu żony. Byli wtedy małżeństwem zaledwie od tygodnia. Wkrótce potem Kit został wysłany za granicę.

- O! - wyrwało się Marinie. Teraz rozumiała już, dlaczego Kit Stratton czuł się upokorzony. Zastanawiała się, co o tym wszystkim sądził Hugo Stratton. Czy istotnie skazał brata na wygnanie? Ten Hugo Stratton? Nareszcie zyskała odpowiedź, dlaczego nazwisko wydało jej się znajome. Lady Luce wpadła w słowotok, bez wątpienia wskutek wypicia zbyt dużej ilości brandy.

- Nie mogę powiedzieć, że obwiniam tego chłopaka. Byłam świadoma swoich przynależności. Niech sobie myśli, że zrobiłam to z podłości, ale tak naprawdę winę ponosi William. Uparł się, że nie będzie wyciągał mnie z długów. Przecież nie mogłam tego powiedzieć młodemu Strattonowi. Ale żeby użyć moich słów przeciwko mnie... - Uniosła kieliszek do warg.

- Zna pani Hugona Strattona, mi lady? Brata?

- Co? A, tak. Nie. To znaczy... znamy się bardzo słabo, ale przecież wszyscy wiedzą, kto to jest. Po śmierci brata stał się bogaty jak krezus, nie mówiąc już o pieniądzech żony. Rzadko pokazuje się w Londynie. Przestał tu bywać po wojnie, ponieważ nie znosi, jak ludzie się na niego gapią.

- Gapią?

- Odniósł ciężkie rany w bitwie pod Waterloo. - Lady Luce spochmumiała. - Dlaczego tak nagle zainteresował cię Hugo Stratton? Kim on jest dla ciebie, moja panienko?

- Myślę, że służył w wojsku z moim ojcem, milady - odparła cicho Marina. - W Hiszpanii. Chyba walczył w bitwie, w której zginęli mój ojciec i wuj.

Lady Luce nie odezwała się, tylko sięgnęła po karafkę i wlała okazałą porcję brandy do kieliszka swej damy do towarzystwa.

Marina nie mogła znaleźć sobie miejsca w łóżku. Zbliżał się świt, tymczasem czuła łomotanie w głowie i nie była w stanie zasnąć. Co też wstąpiło w lady Luce, że poczęstowała Marinę brandy?

Spróbowała jeszcze raz.

Kit Stratton był młodszym bratem Hugona Strattona, a kapitan Hugo Stratton był najbliższym przyjacielem jej wuja. Razem służyli w wojsku przez wiele lat. Wuj George twierdził, że Hugo Stratton był jego najlepszym przyjacielem i wiernym towarzyszem, takim, o jakim można tylko marzyć. To między innymi dzięki kapitanowi Strattonowi ojciec Mariny wstąpił do 95. Brygady Strzelców. Kapitan Stratton nie ponosił winy za to, że obaj zginęli wkrótce potem.

Kit nie mógł być aż tak złym człowiekiem, jak to przedstawiano, skoro był bratem Hugona, a przecież to nie ulegało wątpliwości. To było rzadko spotykane nazwisko. Być może Kit miał jeszcze inne powody, by nienawidzić lady Luce. Może jego obraźliwe zachowanie względem Mariny stanowiło mimowolną kontynuację bezwzględności okazanej przy karcianym stoliku. Może...

Nie była w stanie udzielić sobie odpowiedzi na wiele pytań. Musiała się wszystkiego dowiedzieć.

Postanowiła odszukać Kita Strattona i poprosić go o darowanie lady Luce długu. Jeśli to będzie konieczne, doda, by zrobił to ze względu na pamięć jej wuja i ojca... oraz ze względu na swego brata, Hugona. Dżentelmen nie powinien odmawiać takiej prośbie.

Na myśl o ewentualnej rozmowie z Kitem poczuła skurcz żołądka. Będzie musiała zapomnieć o dumie, a jeśli Stratton potraktuje ją tak pogardliwie jak poprzednio... Zadrżała. Nie była pewna, czy to zniesie.

Czy Kit w ogóle mógł być uznany za dżentelmena?

Lady Luce aż do znudzenia opowiadała jej o stylu życia Kita Strattona, jego kochankach, wytwornych strojach, powozach, koniach... Miał wszystkie atrybuty szlachetnie urodzonego człowieka. Czy jednak bogactwu towarzyszyło poczucie honoru?

Marina uśmiechnęła się blado. Myśl o koniach podsunęła jej rozwiązanie, które, być może, miało ją zgubić. Kit Stratton codziennie rano trenował swoje konie w parku, niezależnie od pogody i od sposobu spędzenia nocy. Zdaniem lady Luce była to jedna z jego nielicznych zalet.

A zatem nazajutrz rano Kit będzie w parku. Nie... już za parę godzin. Wystarczyło tylko tam pójść i stawić mu czoło. Wiedziała, że mógł odtrącić ją z pogardą. Już raz to zrobił, dobrze wiedząc, że jest damą. Znow może zachować się podobnie, chyba że uda jej się jakoś skruszyć skorupę, którą się opancerzył.

Jej własna duma nie miała tu znaczenia. Spoczywał na niej obowiązek dbania o rodzinę, co wiązało się z koniecznością zachowania posady u lady Luce. Poza tym musiała zmierzyć się z Kitem, by ocalić chlebodawczynię.

Dlaczego wybrał tak wielkie zwierzę? Przy gniadym ogierze Marina czuła się jak karzełek. Zastanawiała się, czy jeździec raczy się zatrzymać, by ją powitać. Nie mógł przecież nie zauważyć, że chce z nim porozmawiać.

Kit nonszalanckim gestem dotknął kapelusza szpicrutą, drugą ręką wprawnie zatrzymał konia i popatrzył na Marinę ze złośliwym błyskiem w oku.

- Wcześniej pani wstaje, milady - powiedział. Rozejrzał się dookoła i dopiero po chwili znów przyjrzał się skromnie ubranej Marinie. - Zapomniała pani zabrać służącą.

- Dama do towarzystwa nie ma służącej - zwróciła mu uwagę Marina - i dobrze pan o tym wie, panie Stratton.

Uniósł brwi.

- Istotnie. Ale za to ma ostry język.

Marina poczuła, że się czerwieni. Niech go licha! Nie zamierzała prowadzić rozmowy w ten sposób. Musiała zacząć jeszcze raz.

- Panie Stratton - powiedziała najłagodniej, jak tylko potrafiła - byłabym panu bardzo wdzięczna za chwilę rozmowy na osobności... na temat... minionej nocy. Ja...

Zmarszczył czoło.

- Przychodzi pani jako wysłanniczka lady Luce? Proszę mi wierzyć, milady...

- Nie, nie! Lady Luce o niczym nie wie, przysięgam. Mam swoje własne powody, by się z panem... skonsultować.

Można było odnieść wrażenie, że Kit się uśmiechnął, jednak jego wzrok nie złagodniał nawet na chwilę. Marinę ogarnęła chęć ucieczki. Robił wszystko, by utrudnić jej misję. Nie zsiadł z konia. Poczowała, że wzbiera w niej gniew. Ten mężczyzna usiłował zbić ją z tropu. Pogardzał nią, zwykłą damą do towarzystwa, za to, że ośmieliła się zbliżyć do bogatego, urodziwego Kita Strattona.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedziała lodowatym tonem. - Nie przyszłam tu na prośbę lady Luce, ale w swojej własnej sprawie... Chciałam pana prosić o pewną uprzejmość. - No, już. Było po wszystkim. Twarz Kita Strattona pociemniała z gniewu. - Nie ze względu na lady Luce... Wiem, że to niemożliwe... ale...

- Uprzejmość? - warknął Kit. - Jaką uprzejmość? Komu mam ją oddać? Pani, milady? Proszę mi wierzyć, nie wyświadczam uprzejmości damom. Chyba że na nie zasłużą. - Objął wzrokiem jej szczupłą figurę.

Marina znieruchomiała. Nie była w stanie wymówić słowa. To niemożliwe... Czyżby naprawdę chodziło mu o...?

- Widzę, że rozumie pani, co mam na myśli. To dobrze. - Pochylił się ku niej. Poczowała mocny, czysty zapach wody toaletowej. Nie pasował do tego zepsutego mężczyzny. Zmusiła się do opanowania.

- Jeśli chce pani... porozmawiać na temat wydarzeń ostatniej nocy, milady, to chętnie wysłucham tego, co ma pani do powiedzenia. Będę dysponował czasem o... jedenastej. Wtedy może pani przedstawić swą prośbę. Na osobności. - Podał jej adres w Chelsea, który nic nie mówił nie znającej Londynu Marinie.

Wygodnie rozsiadł się w siodle i ścisnął konia kolanami.

- Czekam o jedenastej. Proszę się nie spóźnić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kit uniósł wzrok znad *gazety*, słysząc, że zegar w holu zaczyna wybijać jedenastą. Uczynił tej szarej myszce grzeczność, ponieważ była damą; wiedział jednak, że nie przyjdzie.

Powrócił do czytania gazety. Postanowił dokończyć artykuł, a potem wyjść do klubu. Bez wątpienia wiadomość o jego zwycięstwie zdążyła się już rozejść i jeszcze przez dobry tydzień będzie słuchał komentarzy na ten temat.

Rozsiadł się w skórzanym fotelu, rozkoszując się ciszą, która panowała w niewielkim salonie domu w Chelsea.

Pięć minut później rozległo się ciche pukanie do drzwi, w których po chwili stanęła drobna kobieta zajmująca się domem.

- Ma pan... gościa - oznajmiła, wykonując uprzejme dygnięcie. - Nie chciała podać nazwiska. Ta kobieta...

- Ta dama jest ze mną umówiona na rozmowę o interesach - uciał Kit, poirytowany zaciekawieniem malującym się w oczach gospodyni. Wstał. - Proszę ją wprowadzić, pani Budge.

Gość był obficie spryskany błotem. Kit popatrzył w okno. Był tak pochłonięty czytaniem gazety, że nie zauważył padającego deszczu. Czyżby młoda kobieta przyszła pieszo? I tak była już wystarczająco nieatrakcyjna; nie musiała w osobliwy sposób ozdabiać swej bezbarwnej powierzchowności.

I przy tym wszystkim ośmielała się mieć nadzieję, że uda jej się na niego wpłynąć?

Z niedowierzaniem pokręcił głową. Sprawiała wrażenie źle przygotowanej do czekającego ją zadania.

Pytająco uniósł brwi.

- Dzień dobry, milady - powitał ją uprzejmie. Wyraźnie zeszywniała. Chyba nie czuła się urażona tym, jak ją traktował? Kobieta - dama - która przysłała na spotkanie do domu mężczyzny nie mogła spodziewać się zbyt wielkiego szacunku.

Czekał, aż się odezwie. Nie zamierzał jej pomagać.

- Dzień dobry - odpowiedziała w końcu. Rondo jej brunatnego kapelusza-budki pochyliło się nieznacznie.

Czyżby było to powitanie? Nie zanosilo się na nic więcej. Kit odwzajemnił się skinieniem głowy. Kobieta odwróciła wzrok. Najwyraźniej była bardzo zdenerwowana. Postanowił czekać.

- Dziękuję, że zgodził się pan na to spotkanie - powiedziała, jakby jej wizyta była najnormalniejszą rzeczą pod słońcem, a nie drastycznym naruszeniem zasad obowiązujących w towarzystwie. - Powiedział pan, że mogę... Prawdę mówiąc, chciałam... chciałam prosić pana o darowanie długu lady Luce. Wiem, że chodzi o wielką sumę, ale jest pan bardzo bogaty, a lady Luce jest niemłoda i...

- I biedna? - dokończył ironicznie Kit. - Jeśli pani pracodawczyni jest biedna, milady, to tylko dlatego, że przegrała cały majątek w karty. Nie może o to nikogo winić. Chyba się pani ze mną zgodzi?

Popatrzyła na niego z poczuciem winy, ale się nie odezwała. Jej milczenie zaczynało irytować Kita. Zdał sobie sprawę, że nawet nie zna jej imienia.

- Musi to pani przyznać - odezwał się. - Proszę mi wybaczyć, ale nie miałem przyjemności poznać pani nazwiska. - Skłonił się uprzejmie. - Panna Smith? - dodał złośliwie. Było w tej kobiecie coś, co go irytowało.

Uniosła podbródek i odważnie popatrzyła Kitowi w oczy.

- Nie, panie Stratton. Panna Beaumont - oznajmiła spokojnie, nieznacznie unosząc zabłoconą spódnicę, by lekko się skłonić.

Zachowywała się jak księżniczka w przebraniu kuchni. Postanowił mieć się na baczności, gdyż w przeciwnym razie gotowa go pokonać. A na to nie mógł sobie pozwolić. Żadna kobieta nie mogła z nim wygrać.

- No dobrze, panno Beaumont - zaczął Kit, gestem zachęcając ją do zajęcia miejsca w drugim fotelu - co takiego może mi pani zaoferować, żeby miało to wartość dwunastu tysięcy funtów?

Zamarła w trakcie siadania i zbladła. Była teraz szara jak jej suknia.

- Chyba się przesłyszałam - powiedziała z nieskrywaną wrogością.

Kit uśmiechnął się. Młoda kobieta zadrżała, co przyniosło mu satysfakcję, ale nie odwróciła wzroku. Musiał przyznać, że dama ma sporo odwagi.

- Wielu mężczyzn poszło do więzienia za sumy będące zaledwie ułamkiem dwunastu tysięcy funtów, panno Beaumont. Jak pani sama powiedziała, to mnóstwo pieniędzy. Mimo to chce pani, żebym o nich zapomniał. - Postąpił krok w jej stronę. Znajdowali się teraz tak blisko siebie, że zabłocony kraj jej sukni dotykał jego butów. - Rozumiem więc, że chce mi pani ofiarować coś bardzo wartościowego, panno Beaumont - dodał, zniżając głos do pieszczotliwego szeptu.

Gwałtownie zaczerwieniła się i uniosła głowę. Miała ochotę uderzyć go w twarz.

- Nie, panno Beaumont - powiedział, chwytając ją za nadgarstek i odsuwając jej rękę. - Nie pozwalam kobietom na takie rzeczy. - Popatrzył jej w oczy. Miała orzechowe tę-

czówki, upstrzone złocistymi plamkami. Teraz te oczy były szeroko otwarte ze strachu. Czyżby była aż tak naiwna, że nie wiedziała, na co się naraża, odwiedzając go w domu?

Przycisnął ją do siebie, niechcący wykręcając jej przy tym rękę. Otworzyła usta i cicho krzyknęła z bólu.

Natychmiast zwolnił uścisk, nie mógł jednak zapomnieć kusząco rozchylnych warg. Postanowił dać jej nauczkę. Przyciągnął jej głowę i nakrył jej usta swoimi.

Nie powitała go z ochotą.

Wpiła wolną dłoń w jego ramię. Na szczęście jej paznokcie były okryte tanimi rękawiczkami. Nie unosząc głowy, szybko chwycił jej obie ręce.

Teraz znalazła się w prawdziwej niewoli.

Zaczął wprawnie rozwiązywać wstążki jej kapelusza. Nieznacznie rozchyliła wargi, jakby w geście zaproszenia. W końcu zaczynała mu ulegać. Tego właśnie się spodziewał. Kobiety zawsze ulegały... prędzej czy później. Przystąpił do prawdziwego ataku...

Bez żadnego ostrzeżenia został kopnięty ciężkim butem w kostkę.

Gwałtownie zaczerpnął tchu, czując ostry ból. Odsunął się, nie zamierzając jednak uwolnić panny.

Przedstawiała sobą niezły widok. Miała przekrzywiony kapelusz i brudną suknię, jednak jej pierś uroczo falowała, a oczy ciskały błyskawice. Miała wspaniałą cerę, szczególnie gdy krew zaczynała żywiej krążyć jej w żyłach. Żałował, że przyczyną tego stanu był gniew, a nie pożądanie.

- Chciałabym, żeby pozwolił mi pan odejść - powiedziała szorstko, nie starając się zdobyć choćby na cień uprzejmości.

Mocno chwycił ją za ramiona i przyjrzał się jej uważnie. Odsunięta na odległość wyciągniętych rąk nie była w stanie powtórzyć ataku.

- Moja droga panno Beaumont, czy uważa mnie pani za kompletnego głupca? Pozwolę pani odejść, kiedy otrzymam zapewnienie, że będzie pani zachowywać się jak dama, i ani odrobiny wcześniej.

Zarumieniała się, najwyraźniej zakłopotana.

- Dobrze - odpowiedziała sztywno. - Czy mogę usłyszeć pańskie zapewnienie, że zachowa się pan jak dżentelmen?

Kit był zaskoczony jej zuchwałością. Roześmiał się. Zdumiewająca kobieta!

Pokręcił głową, jednak ani na chwilę nie rozluźnił uścisku.

- Kto pani powiedział, że jestem dżentelmenem, panno Beaumont? Obawiam się, że została pani źle poinformowana.

Popatrzyła na niego rozpłomienionym wzrokiem, w którym jednak nie było już gniewu.

- Nie wierzę panu. - Pochyliła głowę, by popatrzeć na rękę trzymającą ją za ramię. - Bardzo proszę, panie Stratton... - Znieruchomiała w oczekiwaniu.

Kit opuścił ramiona. Jakie to miało znaczenie? Nie zależało mu przecież na tym, żeby pocałować kobietę, która zamierzała walczyć z nim wszystkimi dostępnymi sobie sposobami. Postanowił jak najszybciej doprowadzić tę rozmowę do końca.

Energicznie pociągnął za sznur dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

- Pani Budge, proszę posłać służącego po powóz - rozkazał. - Mój gość wychodzi.

Ledwie drzwi się zamknęły, panna Beaumont zaprotestowała:

- Panie Stratton, nie chcę jechać powozem. Pójdę pieszo, tak jak tu przyszłam. Poza tym nie skończyliśmy jeszcze omawiać naszej sprawy.

- Panno Beaumont, nie ma już pani nic więcej do powie-

dzenia - orzekł stanowczo Kit, zbliżając się do niej, aż się cofnęła. Fotel uniemożliwił jej dalszą ucieczkę. - Proponuję, żeby pani usiadła. Dobrze. Jeśli chodzi o powóz, to nie ma o czym dyskutować. Nie pozwalam, żeby kobiety chodziły same po Londynie. Przynajmniej pod tym względem jestem dżentelmenem. Chłopak zapłaci stangretowi, żeby zawiózł panią w żądane miejsce.

Usiłowała protestować, lecz powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- A jeśli chodzi o nasze interesy... Chce pani, żebym darował dług lady Luce. Dwanaście tysięcy funtów, płatne w ciągu siedmiu dni. Dobrze, panno Beaumont. Spełnię pani prośbę.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, jednak nie powiedziała ani słowa. Prawdopodobnie nic odpowiedniego nie przychodziło jej do głowy. Gotów był iść o zakład, że za chwilę panna Beaumont naprawdę zaniemówi z wrażenia.

- Oczywiście ma to swoją cenę - ciągnął - ale dobrze o tym pani wiedziała, przyjmując moje zaproszenie. - Urwał, na próżno czekając na reakcję. - Tą ceną, panno Beaumont, jest pani. W moim łóżku. Dobrowolnie.

Uzyskał pożądaný efekt. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. W końcu udało mu się dać jej nauczkę. Pozwolił mu to zyskać spokój, nie będzie mu już zawracała głowy.

Po tych słowach było to niemożliwe.

- Pan... - Głos jej się załamał. Odchrząknęła. - Jest pan bardzo bezpośredni - odrzekła ochrypłym głosem. - Czy mogę zapytać, jak ta... umowa ma zostać zrealizowana?

Nie spodziewał się tak śmiałej odpowiedzi. Dama nie patrzyła mu w oczy. Należało rozegrać partię do końca.

- To bardzo proste, panno Beaumont - odparł z uśmiechem. - Przyśle mi pani list na ten adres, podając dzień na-

szego... spotkania. Oczywiście musi to nastąpić przed terminem spłaty długu - dodał, patrząc na jej twarz w poszukiwaniu oznak wahania. - W umówionym dniu będzie pani spacerowała w parku tak jak dzisiaj. Zatrzyma się przy pani powóz z białą jedwabną wstążką u drzwi. Wsiądzie pani do środka.

- Jak wyjaśnię powód mojej nieobecności lady Luce? - zapytała z nieskrywaną pogardą. - Będzie chciała wiedzieć, gdzie spędziłam dzień... i noc, a potem natychmiast mnie zwolni.

Kit postanowił zadać ostateczny cios.

- Och, proszę się nie obawiać, że zatrzymam panią na długo, panno Beaumont. Szybko załatwimy nasze... sprawy. Wcale nie potrzeba do tego ciemności. Będzie pani z powrotem w domu, zanim ktokolwiek zauważy pani nieobecność.

Uniosła głowę. Wciąż była przerażona, jednak tym razem na jej twarzy odmalowała się również odraza, a może nawet jeszcze silniejsze uczucie...

Drzwi otworzyły się w momencie najgorszym z możliwych.

- Powóz zajechał. Stangret został opłacony.

- Dziękuję, pani Budge. Niech zaczeka. Pani już wychodzi.

Po zamknięciu drzwi Marina wstała z fotela i dumnie popatrzyła na Kita.

- Już idę, panie Stratton - powiedziała cicho - ale pozwolę sobie zauważyć, że nie jest pan godzien mianować się bratem Hugona Strattona. On jest człowiekiem honoru, podczas gdy pan...

Obróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i wyszła.

Kiedy Kit doszedł do frontowych drzwi, powóz zniknął już za rogiem, rozpryskując fontanny błota.

Marina odchyliła się na skórzane oparcie. Nie mogła zemdleć. Nie teraz. Zmuszała się do opanowania przez cały czas tej odrażającej rozmowy. Nie mogła pozwolić sobie na słabość teraz, gdy było już po wszystkim.

Kit Stratton okazał się złym duchem. Diabłem.

Czy lady Luce nie użyła tych właśnie słów na określenie swego przeciwnika? Jednak Marina Beaumont zlekceważyła to ostrzeżenie, myśląc, że zjadła wszystkie rozumy. Złamała zasady, odwiedzając go w domu. Żaden szanujący się mężczyzna nie mieszkałby w takim domu. Mogła to powiedzieć nawet osoba nieznająca Londynu. Jej gospodarz zapewne wynajął ten niewielki dom na schadzki z kochankami. Jeśli Marina przystanie na jego propozycję, zawiezie ją tam, żeby... żeby... Och, została srodze ukarana za swą zuchwałość. Kit Stratton zaproponował, że daruje dług lady Luce w zamian za cześć Mariny.

Musiał wiedzieć, że Marina nigdy się na to nie zgodzi. Musiał być tego pewien.

Dlaczego w takim razie wystąpił z tą propozycją? To wszystko nie miało sensu. Przecież mu się nie podobała.

Okazała się bardzo niemądra, rozpaczliwie licząc na to, że znajdzie sposób na utrzymanie posady. Wiedziała, że Kit jest bezczelny, miała jednak nadzieję, że dotrze do lepszej strony jego natury.

To były tylko pobożne życzenia. Kit Stratton był całkowicie pozbawiony uczuć.

Zamknęła oczy, starając się odegnać nieprzyjemne wspomnienia. Powracały jednak, silniejsze niż poprzednio.

Była w jego ramionach. Walczyła z nim... jednak to nie wystarczyło.

Do tej pory żaden mężczyzna jej nie pocałował. Nie miała pojęcia, jakie uczucia mogą temu towarzyszyć. Nie wyobra-

żała sobie, że da się ponieść emocjom; uczono ją powściągliwości. Jednak przez chwilę odniosła wrażenie, że mięknie i poddaje się pieszczotom warg Kita.

Nic dziwnego, że potraktował ją jak ulicznicę. Tak właśnie się zachowała.

Najlepszym dowodem była jego końcowa propozycja. Był gotów pozbawić ją niewinności, nie zważając na konsekwencje. Chciał, by spędziła godzinę, a pewnie nawet mniej w jego łóżku, a potem zamierzał odesłać ją do lady Luce, nieco zużyta, jednak wartą dwanaście tysięcy funtów.

Czy lady Luce byłaby jej za to wdzięczna? Marina miała co do tego poważne wątpliwości. Najprawdopodobniej by ją wyśmiała.

Marina w żadnym wypadku nie mogła przyjąć upokarzającej propozycji Kita Strattona. Nawet gdyby...

Powóz zatrzymał się przed domem lady Luce. Drzwi frontowe otworzyły się, gdy Marina wychodziła na podjazd.

Korpulentna postać hrabiego wydawała się wypełniać drzwi.

- A więc w końcu zaszczyliła nas pani swą obecnością, panno Beaumont - powiedział złowrogo. - Nie zamierzam pytać, gdzie się pani podziewała. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, zwracając uwagę na jej ubłoconą suknię. - Nie musi się pani przebierać - oznajmił, uśmiechając się jadowniczo. - Nasza rozmowa potrwa tylko parę minut. Potem pani wygląd będzie już wyłącznie pani sprawą.

Kit nalał sobie drugi kieliszek madery i wypił go jednym haustem, podobnie jak pierwszy. Pokręcił głową, spojrzawszy na zasnucone chmurami niebo. Posunął się za daleko. Wykazała się dużą naiwnością, przychodząc do niego z taką

prośbą, jednak mimo wszystko przesadził. Przecież była damą, a on potraktował ją jak nierządnicę. Ta końcowa uwaga na temat długości trwania... Jak mógł powiedzieć coś równie wulgarnego?

Musiał oszaleć. Zdecydowanie stracił panowanie nad sobą, co nigdy dotąd nie zdarzało mu się w obecności kobiet.

W każdym razie nie miało to miejsca w ciągu ostatnich pięciu lat.

Od czasu gdy pod wpływem szaleństwa skompromitował Emmę Fitzwilliam, nigdy nie pozwolił sobie na wypowiedzenie słowa czy uczynienie jakiegokolwiek gestu bez zastanowienia się nad tym, jak kobieta może zareagować na jego zaloty. Sądził, że przejrzał już kobiece reakcje na wylot.

Jednak panna Beaumont była nieprzewidywalna. Nie poddała się jego karesom i wykorzystała jego słowa przeciwko niemu. Ośmieliła się nawet porównać go z...

Z bratem! Jak to się stało, że szara myszka, dama do towarzystwa lady Luce, znała Hugona Strattona? Przecież nie mieli okazji się spotkać. Kiedy Hugo wrócił z wojen, panna Beaumont była jeszcze dzieckiem, a zaraz potem brat ożenił się z Emmą Fitzwilliam.

Gdyby tę myszkę łączyło coś z Hugonem, musiałyby się to zdarzyć przed jego ślubem z Emmą. Hm. To do niego nie pasowało i było bez sensu. Dlaczego Hugo miałby zadawać się z taką kobietą?

Emma była piękną, pełną temperamentu blondynką, kochającą, wspaniałą żoną. Panna Beaumont prezentowała się nieatrakcyjnie i była zbyt chuda, nazbyt dumna, a poza tym nie umiała się śmiać. Nie mogła być kochanką Hugona. Musiało łączyć ich coś innego. Otrzymał niezłą zagadkę, która będzie dręczyła go, dopóki jej nie rozwiąże.

Kit wstał i podszedł do drzwi. Siedzenie w domu w Chel-

sea nie miało sensu. Katharina dawno już poszła i nie będzie mogła się z nim spotkać przez kilka następnych dni. Czasami, niestety, musiała dać pierwszeństwo mężowi. Kit mógł pójść do klubu i posłuchać nieuniknionych plotek.

Zimna mosiężna klamka uzmysłowiła mu, że jest paskudna pogoda i że nie ma powozu w Chelsea. Otworzył drzwi, by zamówić kolejny powóz, tym razem dla siebie.

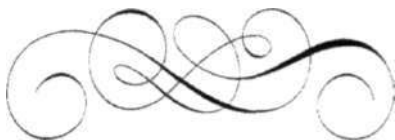
Czy panna Beaumont pojechała prosto do lady Luce? Czy kiedykolwiek ośmieli się jeszcze wyjść sama? Był pewien, że nie zobaczy jej w parku. Uciekła od niego jak spłoszona łania.

Ponownie odtworzył w myślach przebieg ich rozmowy i tym razem w jego sercu zrodziła się wątpliwość. Nie miał pojęcia, dlaczego tej pannie tak zależało na tym, by darował dług lady Luce. Prawdę mówiąc, nie dał jej szans na wyjaśnienie tej sprawy, tylko od razu przystąpił do ataku.

Musiałyby stracić rozum, by ponownie się z nim spotkać, wiedząc, co ją czeka. Nie mógł jednak być pewien, że nie przyjęła jego wyzwania.

Postanowił wydać rozkaz, by wszystkie listy zostały natychmiast doręczone do jego domu.

Musiał też mieć w pogotowiu zakryty powóz.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marinie udało się dojść do sypialni, jednak zaraz za progiem ugięły się pod nią kolana. Odsunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach.

Została zwolniona.

Lady Luce nie udzieliła jej obiecane go poparcia. Hrabia nalegał, żeby Marina opuściła dom jego matki jeszcze przed wieczorem. Kit Stratton na próżno będzie czekał na jej list... Mariny dawno już tu nie będzie.

Jak wyjaśni to wszystko swej mamie? Zastanawiała się, czy ma wystarczającą kwotę na powrót do domu.

Przeklęty Kit Stratton! To wszystko jego wina!

- Dwanaście tysięcy! Chcesz powiedzieć, że ta głuptaska spokojnie stała i przyglądała się, jak tracisz dwanaście tysięcy funtów?

- Wcale nie stała - warknęła lady Luce. - Przez cały czas siedziała. Nie musisz odgrywać męczennika, Williamie. To mój, a nie twój dług.

- Czyżby? A masz dwanaście tysięcy funtów, mamo?

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Będę musiał pożyczyć pieniądze, a potem sprzedać ziemię, których nie włączono do ordynacji. A jeszcze potem będziemy musieli prowadzić oszczędną gospodarkę. Oboje. - Popatrzył na nią z ponurą miną. - Oczywiście twoja bezużyteczna dama do towarzystwa dzisiaj opuści dom.

- Co? Nie masz prawa jej zwalniać. Jak śmiesz?!
- To ja jej płacę, mammo. Nie stać mnie już na taki wydatek.

Ze smutkiem pomyślał, że od dawna mógł powiedzieć to samo na temat matki. Miałby ochotę jej to uzmysłowić, jednak nie potrafił zdobyć się na takie okrucieństwo.

- Wstydź się, Williamie. Chcesz upokorzyć własną matkę. Nie sądziłam, że możesz upaść tak nisko. - Popatrzyła na niego z przyganą.

- Mammo... - zaczął. Odchrząknął. - Mammo, naprawdę nie stać mnie na płacenie pannie Beaumont. Pozwólmy jej zostać kilka dni dłużej. Przyznaję, że nie powinienem zmuszać jej do wyjazdu w tak paskudną pogodę.

Matka popatrzyła na niego, zdumiona, po czym pokiwała głową.

- Może sama jej to powiesz, mammo? Jeśli mam zdobyć pieniądze na czas, muszę natychmiast się tym zająć.

Ruszył do drzwi, lecz po chwili się zatrzymał.

- Mammo - zaczął łagodniejszym już tonem - proszę, przestań już to robić. Jeżeli odniosłaś wrażenie, że wtrącam się w twoje sprawy... to cię za to przepraszam. Ale jeśli nadal będziesz uprawiała hazard, zrujnujesz nas wszystkich. Naprawdę. Dlatego proszę cię, żebyś przestała. Ze względu na dobro twoich wnuków. Proszę.

Popatrzył błagalnie na drobną figurkę matki. Nie dostrzegł wyrazu skruchy na jej twarzy.

- Rozumiem. Jutro spotkamy się w kościele - powiedział chłodniejszym już tonem. - Życzę ci miłego dnia. - Skłoniwszy się, wyszedł z pokoju.

Lady Luce podeszła do ulubionego fotela i powoli usiadła. Przez kilka minut wpatrywała się w okno i rozpościerając się w dole ulicę. Deszcz siekł tak gwałtownie, że trudno było coś dostrzec przez zalewane szyby.

Lady Luce pociągnęła za sznur dzwonka. Za ledwie umilkł, pojawił się ochmistrz.

- Widziałeś dzisiaj pannę Beaumont, Tibbs?

- Tak, milady. Wcześniej rozmawiała z jego lordowską mością, a potem...

- Nieważne - przerwała mu lady Luce. - Co robiła przed tym? Wysłałam służącą do jej pokoju, a jej nie było.

- Eee... wyszła dziś wcześniej rano, milady. Myślę, że poszła na spacer.

Lady Luce fuknęła gniewnie.

- A kiedy wróciła?

- Eee... tuż przed przyjściem jego lordowskiej mości, milady. Rozmawiał z nią w bibliotece.

- Aha. Na co czekasz? Przyprowadź ją! Jaki sens ma posiadanie damy do towarzystwa, która nie dotrzymuje towarzystwa? Natychmiast ją przyprowadź!

Martina przystanąła u podnóża schodów, by wygładzić spódnicę. Zdażyła ją wyczyścić, tak że nie była poplamiona błotem jak w czasie upokarzającej rozmowy z lordem Luce. Mogła wyglądać jeszcze gorzej, gdyby Kit Stratton nie odeśłał jej do domu powozem. Czy powinna być mu za to wdzięczna? Przynajmniej nie przemokła i nie zbłądziła, jak w drodze do Chelsea. Chociaż gdyby została zmuszona do marszu ulicami Londynu, lord Luce zapewne wyszedłby z domu przed jej powrotem. Pal licha Kita Strattona! To wszystko jego wina.

Tibbs zdażył już ją zaanonsować. Musiała stawić czoło drugiemu oskarżycielowi.

- Nareszcie cię widzę! - sarknęła lady Luce, gdy tylko Marina weszła do pokoju. - Może będziesz tak miła i wyjaśnisz mi, gdzie byłaś tego ranka?

Marina była niemal pewna, że lady Luce obudzi się około południa i nie zauważy jej nieobecności. Cóż, jeszcze raz okazała się naiwna.

- Przypuszczałam, że będzie pani długo spała, milady - odparła - więc wyszłam na spacer i...

- Na spacer? W strugach deszczu? - Lady Luce powiedziała to lodowatym tonem.

Marina uniosła podbródek.

- Jestem przyzwyczajona do spacerowania w deszczu, milady - wyjaśniła spokojnie i stanowczo. - W Yorkshire ciągle pada. Gdyby ktoś czekał na dobrą pogodę, w ogóle nie mógłby wyjść z domu. - Popatrzyła na starszą panią, zastanawiając się nad swoją skłonnością do mówienia częściowej prawdy. Odnosiła wrażenie, że Kit Stratton wywiera na nią zgubny wpływ.

Lady Luce prychnęła z niedowierzaniem.

- Już dobrze - powiedziała - ale na przyszłość chcę, żebyś tu była, kiedy po ciebie posyłam.

- Na przyszłość? - Marina ukryła drżące ręce w fałdach sukni.

- Usiądź, dziewczyno. Jesteś biała jak kreda... a musisz wiedzieć, że nie znoszę młodych dam, które mdleją z byle powodu.

- Nie zemdleję, milady - zapewniła pospiesznie Marina, starając się sprawić wrażenie opanowanej. - Tylko że... jego lordowska mość powiedział, że muszę natychmiast wyjechać, więc...

- Jego lordowska mość zdenerwował się twoim zachowaniem. I nic w tym dziwnego - dodała, nieudolnie starając się okazać zrozumienie dla syna. - Nie ulega wątpliwości, że to ja decyduję o tym, czy masz zostać, czy opuścić ten dom. - Lady Luce uśmiechnęła się chytrze; Marinie za-

marło serce. - A na razie życzę sobie, żebyś została. Zrozumiano?

- Tak, milady - powiedziała potulnie Marina. Nie wiedziała, co się dzieje. Lady Luce najwyraźniej wygrała batalię z synem, dlatego jednak w ogóle zdecydowała się na przystąpienie do walki?

- A teraz - stwierdziła z ożywieniem starsza pani - mam parę pilnych spraw do załatwienia. - Pogardliwie przyjrzała się zniszczonej sukni Mariny, marszcząc przy tym nos. - Przede wszystkim musimy znaleźć dla ciebie odpowiednią suknię.

- Milady...

- Masz być gotowa za dziesięć minut. Nie spóźnij się. To wszystko.

Marina szybko wstała, skłoniła się w stronę pleców lady Luce i szybko pobiegła po czepek i pelerynę.

- Podoba ci się czy nie?

Marina aż podskoczyła. Co też mówiła lady Luce?

- Przepraszam, milady. Zamyśliłam się. Pytała pani...?

- Czy podoba ci się ta suknia, czy mamy poszukać innej - powiedziała cierpkim tonem starsza pani. - Jaka jest twoja decyzja?

Marina przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie prostą muślinową suknię w bardzo przyjemnym odcieniu jasnej zieleni. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek nosiła jakiś strój w kolorze innym niż szary lub brunatny, które były niezwykle odpowiednie dla młodej kobiety spacerującej i pracującej przy każdej pogodzie. Nowa suknia wydała jej się bardzo niepraktyczna... jednak musiała przyznać, że jej się spodobała.

- Jest wspaniała, milady, ale... - Marina oderwała wzrok

od lustra - ale obawiam się, że nie będę w stanie sprawić sobie sukni, dopóki nie otrzymam pierwszej wypłaty. A ponieważ lord Luce stwierdził, że mam odejść, nie powinnam...

- Bzdury! - zdecydowała lady Luce. - Odejdiesz, kiedy... i jeśli... tak zadecyduję. A tymczasem nie zamierzam pokazywać się w towarzystwie kobiety ubranej jak dziewczka kuchenna. Co by powiedziała twoja kuzynka, lady Blaine, gdyby cię zobaczyła w takim stroju?

- Lady Blaine nigdy mnie nie widziała, milady, a poza tym...

- Na litość boską, dziewczyno, czy ty nigdy nie przestaniesz mi się sprzeciwiać? Będziesz miała tę suknię. Musisz też sprawić sobie odpowiedni strój wieczorowy. Otrzymasz je w prezencie.

- O! - Marina westchnęła. To było cudowne. Nie będzie musiała spotykać się z Kitem Strattonem w okropnej szarej sukni. Wtedy być może...

Co też przyszło jej do głowy? Przecież nie chciała spotykać się z tym wcielonym diabłem. Była tego pewna od chwili wyjścia z jego miłosnego gniazdka. Nie zamierzała narażać na szwank swego dobrego imienia, by zachować posadę u lady Luce... a nawet po to, by uratować mamę przed życiem w nędzy. To było niemożliwe. Matka oburzyłaby się na samą myśl o takiej ofierze.

Nie musiała jednak o niczym wiedzieć...

Marina usiłowała odepchnąć od siebie myśli prowadzące ją ku mrocznemu przeznaczeniu. Matka mogła nigdy się o tym nie dowiedzieć, jednak Marinie zawsze towarzyszyłaby świadomość popełnienia grzechu. Nie byłaby potem w stanie żyć w zgodzie ze sobą, niezależnie od tego, jak szlachetne pobudki przyświecały jej działaniom.

- Marina! - Z każdą chwilą lady Luce pogarszał się hu-

mor. Tym razem wyraźnie czekała na to, żeby Marina włożyła starą suknię, tak by mogły wyjść od krawcowej, którą lady Luce wybrała jako odpowiednią dla ubogiej kuzynki wicehrabiny Blaine.

- Przepraszam, milady. Zaraz będę gotowa.

Po południu było jeszcze gorzej. Lady Luce nieustannie paplała coś na temat odwiedzanych miejsc, spotkanych ludzi i życia w Londynie. Marina starała się należycie wywiązać z roli damy do towarzystwa. Uśmiechała się, kiwała głową, mruczała coś pod nosem na znak zgody, kiedy wydawało jej się to stosowne, jednak nie była w stanie podążać tropem myśli lady Luce. Przez cały czas dręczyło ją wspomnienie Urodziwej męskiej twarzy. Miała wrażenie, że pali ją skóra ramion w miejscach, w których Kit jej dotykał. Pamiętała też smak jego warg, podświadomie czekała na...

Westchnęła.

- Źle się czujesz, dziecko? Chyba mi tu nie zemdlejesz tylko dlatego, że masz dwie nowe suknie i przejechałaś się powozem?

Marina zmusiła się do uśmiechu.

- Ostrzegam - powiedziała stanowczym tonem lady Luce. - Jeśli osuniesz się na mnie, natychmiast odeślę cię do Yorkshire, niezależnie od tego, co sobie o tym pomyślą twoi zaci krewni.

Marina nie zamierzała drażnić się z chlebobawczynią.

- Jeszcze nigdy w życiu nie zemdlałam, milady, i nie zamierzam zrobić tego po raz pierwszy - odpowiedziała rzeczowo.

Nie zdjawszy ubrania, Marina opadła na poduszki. Nareszcie miała chwilę spokoju! Cudowna cisza otoczyła ją jak

miękką puchową kołderka. Nareszcie mogła pomyśleć, nie rozpraszana opowieściami lady Luce na temat życia w wielkim świecie i jej złośliwymi komentarzami.

Dobrze wiedziała, że jest niesprawiedliwa. W innych okolicznościach dowcipne, cięte uwagi lady Luce bez wątpienia by ją bawiły, jednak w tym dniu zbyt wiele z nich dotyczyło samej Mariny. Zasłużyła sobie na to. Nie powinna była oddawać się czczym marzeniom. A przecież jeszcze tak niedawno matka powtarzała, że nadmiar rozsądku przeszkadza Marinie w życiu. Tu, w Londynie, miała zostać płątną damą do towarzystwa, dbać o swą panią, a nie fantazjować, tak by lady Luce musiała ją przywoływać do porządku.

A winę za to wszystko ponosił nikt inny, jak tylko Kit Stratton!

Straciła całe swe opanowanie po tym, jak złożył jej nieprzystojną propozycję i zachował się skandalicznie. Przez cały dzień starała się wymazać z pamięci jego obraz, głos, dotyk...

Niestety, to jej się nie udało. Teraz, gdy zamknęła oczy, natychmiast znów go ujrzała; szlachetne rysy wydały jej się złowrogie z powodu wyzywającego, taksującego spojrzenia, jakim ją obrzucił.

Zmusiła się do uniesienia powiek. Obraz zniknął z jej pamięci. Bała się zasnąć, by nie powrócił znowu. Nie mogła pozwolić, by Kit Stratton pojawiał się w jej snach. Teraz, na jawie, dobrze wiedziała, jak powinna się zachować. Jednak gdyby znów wziął ją w ramiona, mogłaby ulec pokusie i zapomnieć o moralnych nakazach, byle tylko jeszcze raz poczuć smak jego warg...

Gwałtownie usiadła na łóżku. Zapadała w drzemkę, a pod żadnym pozorem nie mogła do tego dopuścić. Najpierw musiała podjąć decyzję.

Zaczęła przechadzać się po pokoju. Od razu poczuła się lepiej; senność minęła. Trzeba wszystko przemyśleć, rozważyć plusy i minusy.

Nie mogła oddać się Kitowi Strattonowi. To byłoby podłe i niemoralne; działałaby wbrew sobie i temu, czego ją nauczono. Kobieta powinna zachować czystość aż do małżeństwa, oddać się tylko mężowi po to, by urodzić mu dzieci. Wiedziała, jaki los czeka upadłe kobiety nawet w wiejskich okolicach Yorkshire. Nie było im czego zazdrościć.

Z pewnością Kit Stratton wykorzystałby ją i porzucił. Nie cierpiałby z powodu popełnionego grzechu. Tak już było na tym świecie, że mężczyźni odchodzili, a kobiety dźwiżyły brzemień wspólnej winy... Kit pewnie nawet by nią gardził za to, że mu uległa.

Mimo to akt oddania mógł być wspaniałym przeżyciem...

Dotknęła warg, przypomniawszy sobie pocałunek, ciepło, które zdawało się ją ogarniać...

Nie! Nie wolno jej tak myśleć! Kir Stratton to sprytny uwodziciel i znany rozpustnik. Dobrze wiedział, co robi. Bez wątpienia liczył na to, że Marina z radością przyjmie jego zaloty. Nie mogła sobie wyobrażać, że coś do niej czuł. Była tylko kolejną biedną kobietą, którą zamierzał posiadać... i porzucić.

Zapamiętała krążyła po sypialni. Zmusiła się do zatrzymania, chwytając się krzesła. Nie mogła dopuścić do tego, by wywierał na nią aż taki wpływ. Wystarczyło znaleźć jakiś sposób, by go przechytrzyć.

Musiało istnieć jakieś wyjście. W dodatku należało się pośpieszyć, pamiętając o terminie spłaty długu lady Luce.

Gotowa była znaleźć rozwiązanie tej sytuacji, choćby miała na to poświęcić całą noc. Chciał zwać ją do łóżka. Cóż, ona też miała parę kart w rękawie i potrafiła z tego korzystać.

W końcu znalazła wyjście.

Ojciec nauczył ją oszukiwać w kartach. Choć nigdy nie skorzystała z tej wiedzy, okazała się bardzo pojętną uczennicą. Ojciec i wuj często śmiali się do rozpuku, gdy dostawali od niej baty. Radziła sobie tak sprytnie, że nie byli w stanie przyłapać jej na oszustwie, choć bardzo się starali. Oczami wyobraźni ujrzała pociągłą, uśmiechniętą twarz ojca i jego smukłe ciało, doskonale prezentujące się w ciemnozielonym mundurze brygady strzelców. Przed swym ostatnim wyjazdem dwaj mężczyźni bardzo dowartościowali swymi pochwałami niezdarłą czternastolatkę, którą trudno było uznać za piękność. Przez kilka tygodni czuła się wyróżniona. A potem, w środku zimy, do Yorkshire nadeszły tragiczne wieści. Wesołe iskierki zniknęły z oczu jej matki. W ciągu jednego dnia matka straciła jedynego brata i ukochanego męża, jednak Marina nie widziała jej płaczącej nawet wtedy, gdy matka odkryła, że zamiłowanie papy do hazardu sprawiło, iż rodzina została niemal bez pensa przy duszy. Stała się milcząca i poważna, poświęcając energię na znalezienie środków do życia dla dzieci. Udało się to dzięki jej talentowi pedagogicznemu, chociaż nie było im lekko.

Marina dotknęła żałobnego pierścionka na palcu. To była jej jedyna pamiątka po ukochanym papie... z wyjątkiem wspomnień, które zostały jej w pamięci, i umiejętności oszukiwania w kartach. Postanowiła wykorzystać zdobyte umiejętności przeciwko Kitowi Strattonowi, i to w sposób, który zadziwiłby nawet jej ojca.

Postawiła świecę na stoliku przy oknie i usiadła nad kartką papieru. Zanurzwszy pióro w kałamarzu, pewną ręką napisała zwrot powitalny. „Do Pana Christophera Strattona. Szanowny Panie”...

Znieruchomiła. Co należało napisać? Spodziewał się listu wyznaczającego dzień schadzki, a nie zaproszenia na par-

tyjkę kart. Gdzie miałyby się odbyć gra? Wizyta w domu w Chelsea nie wchodziła w rachubę... jeśli Marina chciała zachować cnotę. Być może powinna spotkać się z nim u Mechante? Musiałyby przekonać lady Luce, by znów ją tam zaprowadziła i nie zdradziła faktu, że Marina podpisuje skrypty dłużne bez pokrycia. Być może...

Odłożyła pióro. Najwyraźniej zdrowy rozsądek opuścił ją na dobre. Czyżby odchodziła od zmysłów? Nie było sposobu, by oszukać Kita Strattona na dwanaście tysięcy funtów w ciągu najbliższych pięciu dni. Musiała pójść do jego domu, a tam...

Nie. Z pewnością istniało inne rozwiązanie.

Uniosła pióro i zaczęła obracać je w palcach. Po małym treningu dla przypomnienia nabytych umiejętności potrafiłaby niepostrzeżenie wydobyć kartę, jednak tym razem nie wchodziło to w grę.

Mimo wszystko był przecież inny sposób, wprawdzie mniej pewny, ale można było spróbować...

Zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać, co pewien czas zatrzymując się, by właściwie dobrać słowa. Musiała zadbąć o to, by dla postronnych list wydał się niewinny.

Pisała, dopóki nie nabrała pewności, że osiągnęła cel. Potem rozsiadła się wygodnie, by przeczytać swe dzieło.

„Szanowny Panie” - głosiły pierwsze słowa. „W związku z naszą ostatnią rozmową, mam nadzieję, że zgodzi się Pan ze mną, iż własność, którą mam do zaoferowania, jest zbyt cenna, by mogła stać się przedmiotem handlu, z wyjątkiem ewentualności zapłaty z góry. W tej sytuacji proszę, aby bezwzględnie doręczył mi Pan dokument, znajdujący się w Pańskim posiadaniu. Ze swej strony zapewniam, że dołożę wszelkich starań, by wywiązać się z warunków umowy po otrzymaniu wspomnianego dokumentu”.

Z zadowoleniem kiwnęła głową i podpisała list. Była pewna, że Kit Stratton zrozumie, o co jej chodzi. Prześle lady Luce zobowiązanie do zapłaty dwunastu tysięcy funtów, spodziewając się, że Marina, jako kobieta, która dotrzymuje słowa, odda mu swe dziewictwo. Nie zamierzała tego robić.

Nie była w stanie.

Niemniej jednak, gdy będzie już w posiadaniu dokumentu, znajdzie sposób, by pozbawić Kita Strattona nagrody. Nawet jeśli miałyby zachować się niehonorowo, by osiągnąć cel, zamierzała udaremnić jego niegodziwe plany. Postanowiła natychmiast przystąpić do ćwiczeń z kartami... tak na wszelki wypadek.

W chwili triumfu zamierzała roześmiać mu się w twarz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kit z irytacją spojrział na otwierające się drzwi gabinetu. Wydał polecenie, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

- Hugo! - zawołał, a jego złość natychmiast zniknęła. - Co ty robisz w mieście? Jak długo zamierzasz się tu zatrzymać? - Przeszedł przez pokój, by uściśnąć dłoń brata.

- Przyjechałem na krótko, na tydzień albo dwa. - Sir Hugo Stratton uśmiechnął się tajemniczo. - Interesy - wyjaśnił.

Kit unióśł brwi. Znał brata na tyle dobrze, że bezbłędnie rozpoznał ten uśmiech.

- Doszły cię słuchy na temat moich... hm... podbojów i chcesz się upewnić, że nic się nie święci. Naprawdę powinieneś przestać się o mnie martwić. Potrafię zadbać o swoje sprawy.

Hugo roześmiał się.

- Właśnie to najbardziej mnie niepokoi. Dbasz o swoje sprawy, ale ktoś musi zadbać o dobre imię rodziny, bo ty na pewno nie jesteś w stanie tego zrobić... - Położył dłoń na ramieniu Kita. - Powiedz mi, co tu się wydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania.

Kit pokiwał głową. Widząc determinację brata, zdał sobie sprawę, że nie zadowoli go wykrętnymi odpowiedziami. Postanowił się poddać.

- Dobrze. Pozwól mi tylko dokończyć list. - Usiadł za

biurkiem, złożył i zapieczętował pismo. - Zadzwoń na służbę. Muszę to jak najszybciej wysłać.

Drzwi otworzyły się. Kit wstał, trzymając w ręku grubą kopertę.

- Dopilnuj, żeby zostało doręczone jeszcze tego popołudnia - powiedział, wręczając list ochmistrzowi. - I niech posłaniec nie będzie nikomu znany. - Ochmistrz skłonił się obojętnie i wyszedł.

- Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby pocziwy baron poznał autora korespondencji do jego żony? - skomentował złośliwie Hugo. - No cóż, myślę, że na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

Kit roześmiał się.

- Powinienem być się domyślić, że wiesz o Katharinie. Jak ty to robisz? Przecież zagrzebałeś się na wsi.

Hugo kilka razy postukał się koniuszkiem palca w nos.

- To tajemnica rodzinna - powiedział, nie potrafiąc ukryć rozbawienia w głosie. - Jako głowa rodziny mam pewne przywileje.

Kit z rezygnacją pokręcił głową i uniósł ciężką kryształową karafkę.

- Domyślam się, że to ta okropna ciotka Emmy roznosi plotki. Mogę zapytać, o czym opowiedziała ci tym razem?

- Czasami jesteś zbyt domyślny, Kit. - Hugo sięgnął po kieliszek madery, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko biurka z mahoniem. - Oczywiście masz rację. Ciotka Emmy, Warrenne, sprawia, że jesteśmy na bieżąco z londyńskimi plotkami. Twierdzi, że twoja baronowa to brylant czystej wody... i że ma bardzo zazdrosnego męża. - Hugo pytająco spojrzał na brata.

- Nie ma powodów do niepokoju. Owszem, jest zaborczy, ale to kiepski strzelec.

Hugo zakrztusił się maderą.

- Uważaj, braciszku - stwierdził bezczelnie Kit. - Naprawdę nie mam ochoty na przejęcie roli głowy rodziny, nawet na krótki czas.

- Z tego, co słyszę, masz niewielkie szanse na dożycie tego dnia - zauważył Hugo. - Nawet twój zaborczy baron może kiedyś trafić. O ile jeszcze potrafię zrozumieć, że byłeś jej kochankiem w Wiedniu, to kontynuowanie tej znajomości w Londynie graniczy z szaleństwem. Jako dyplomata, baron ma teraz o wiele więcej do stracenia.

- To prawda - przyznał Kit. Brat najwyraźniej czekał na dalsze wyjaśnienia, jednak Kit skupił uwagę na kieliszku madery.

Hugo westchnął.

- Chodzi o to, że chociaż sprowadzenie baronowej na złą drogę zajęło ci prawie rok, nie zakończyłeś romansu, kiedy jej mąż został wysłany do Londynu.

Kit nie odezwał się. W milczeniu sącył maderę.

- Przypuszczam, że to baronowa była powodem, dla którego nie wróciłeś do Anglii po śmierci Johna?

Kit obracał w palcach kieliszek.

- Wydawała się... niezwykle przywiązana do swych zasad przez długi czas po moim powrocie z pogrzebu - przyznał w końcu. - Jestem zadowolony, że wreszcie jej się to znudziło.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że uwodzenie porządnych kobiet jest... podłością?

Kit stłumił śmiech.

- Być może ująłem to nieco staroświecko, ale... Powiem ci tylko tyle, że gdyby jakiś mężczyzna próbował uwieść Emmę, bez zastanowienia strzeliłbym mu w łeb.

- Idę o zakład, że twoja Emma nigdy nie da się uwieść. To jest właśnie ta różnica, Hugonie. Uwiedzenie Kathariny

zabrało mi tyle czasu, ponieważ moje starania bardzo ją bawiły. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że od samego początku wiedziała, iż ulegnie. Na szczęście tylko ja to widziałem. Większość dyplomatów była przekonana, że jest chodzącą cnotą. Założyli się, że poniosę porażkę. Muszę przyznać, że dzięki niej wygrałem niezłą sumkę.

- Brzmi to cynicznie - orzekł Hugo. - Skoro ona nic dla ciebie nie znaczy, to dlaczego przyjechałeś za nią do Londynu?

- Ponieważ pasowało mi to do innych planów. Londyńskie towarzystwo jest przekonane, że kocham się w pięknej baronowej i nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogę rozglądać się za innymi. Wolę, żeby moje... hm... ofiary zostały wzięte przez zaskoczenie.

Hugo roześmiał się.

- I tak się stało. Ograłeś ją na dwanaście tysięcy funtów. Nie wydaje ci się, że trochę przesadziłeś? Przecież wcześniej wygrała tylko pięć.

- To prawda - zgodził się Kit - ale moim zdaniem pięć lat banicji podniosło wartość długu. Uważam, że dwanaście tysięcy byłoby odpowiednią sumą.

- Byłoby? - zdziwił się Hugo. - Chyba nie uważasz, że lady Luce może nie zapłacić?

- Zapłaci, nie zapłaci... co to ma za znaczenie? Jestem pewien, że nie jest w stanie wywiązać się z obietnicy bez pomocy syna, a on nie ma najmniejszej ochoty na popieranie jej skłonności do hazardu. Cały Londyn o tym wie. Chociaż jak by to wyglądało, gdyby...?

- Gdyby zostawił ją na lodzie? - dokończył Hugo. - Wszyscy znamy odpowiedź. Nikt nigdzie by ich nie zaprosił. Luce nie może sobie na to pozwolić, zwłaszcza że jego żona jest okropną snobką. Zmieniłaby jego życie w piekło. Nie

widziałem jeszcze kobiety, która tak zadzierałaby nosa, w dodatku nie mając po temu powodów.

- To jest właśnie jedna z pułapek małżeństwa - stwierdził Kit.

Hugo z dezaprobatą pokręcił głową.

- To się nie zdarza, jeżeli poślubi się kobietę, która kocha. Nie sądzisz, że...?

Kit szybko wstał i udał się do drzwi, zanim rozmowa zdążyła potoczyć się w niepożądanym kierunku. Nie powinien był nawet wspominać o małżeństwie.

- Umówiłem się z przyjaciółmi w klubie - powiedział jakby od niechcenia. - Będzie mi miło, jeśli zechcesz mi towarzyszyć. Musimy się pośpieszyć, żeby się nie spóźnić.

Kit darzył brata głębokim szacunkiem i nie chciał się z nim kłócić, a gdyby Hugo dalej czynił aluzje na temat małżeństwa i miłości, mogło dojść do zwady.

Kobiety! Były przyczyną tylu kłopotów!

Pod wpływem nagłej myśli otworzył drzwi i przywołał ochmistrza.

- Chodzi o ten list, który ci dałem - powiedział, zanim mężczyzna zdążył złapać oddech. - Wysłałeś go już?

Ochmistrz zaczerwienił się pełen poczucia winy.

- Właśnie zamierzałem nająć posłańca i...

- Nie zwracaj mi głowy żałosnymi wymówkami, człowieku, tylko daj mi ten list.

Ochmistrz wręczył pismo i oddalił się pośpiesznie.

Kit przeszedł przez pokój i rzucił list na biurko.

- To wszystko twoja wina, Hugonie - rzekł z kwaśnym uśmiechem. - Niechący przypomniałeś mi, że nie należy reagować tak, jak spodziewa się tego dama. Myślę, że w tym wypadku dama będzie musiała trochę poczekać. Kto wie, może dobrze jej to zrobi?

Poklepał zaintrygowanego brata po ramieniu.

- A teraz - powiedział wesoło - jeśli jesteś gotowy do drogi, ruszamy.

- Uważaj, Kit. Pewnego dnia możesz wpaść we własne sidła.

Kit pokręcił głową i zmierzył brata hardym spojrzeniem.

- Nie - odparł stanowczo. - Żadna kobieta nie jest w stanie ze mną wygrać.

Zbliżając się do rzędu witających, Marina szła dwa kroki za lady Luce. Brała udział w wielkim przyjęciu. Jej prosta suknia z jedwabiu w kolorze bursztynu, która jeszcze niedawno wydawała się wspaniała, prezentowała się bardzo skromnie w zestawieniu z kreacjami gości. Kolejny raz Marina była tylko tłem.

Po ceremoniach powitalnych lady Luce przeszła do sali balowej i przez chwilę przyglądała się zgromadzonym, po czym przywołała Marinę zakrzywionym palcem.

- Widzisz te dwie kobiety przy oknie? - szepnęła, wskazując wachlarzem dwie bogato ubrane matrony. - Ta w tej okropnej fioletowo-brązowej sukni to żona Williama, Charlotte. Nigdy nie miała gustu! Poza tym Pan Bóg poskapił jej urody.

Rzeczywiście, synowa lady Luce była kobietą o pospolitej twarzy i pulchnej sylwetce, jednak nawet z daleka widać było jej dumną postawę.

- Przyznaję, że kiedy była młodsza, prezentowała się nieco lepiej. Straciła figurę i urodę po wielu porodach. Zdecydowanie zbyt wielu. Urodziła dziesięcioro dzieci! Dziedzic i brat w zapasie powinny wystarczyć każdemu mężczyźnie.

Marina z trudem zachowała powagę, jednak następne słowa lady Luce sprawiły, że odeszła jej ochota do śmiechu.

- Co sądzisz o swojej egzaltowanej kuzynce? - Widząc zdumienie na twarzy Mariny, lady Luce dodała: - Kobieta stojąca obok lady Charlotte to obecna wicehrabina Blaine.

Marina popatrzyła na chudą damę z długim nosem i modną, jednak bardzo niekorzystną dla niej fryzurą. Kobieta była wprost obwieszona klejnotami.

- Wygląda... - Marina nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Nie mogła powiedzieć lady Luce, że lady Blaine jest podobna do konia.

- Prawie - stwierdziła z lekkim uśmiechem lady Luce. - Chodź, chcę cię przedstawić. - Przeszła przez salę szybciej, niż można się było tego spodziewać, zmuszając gości do rozstąpienia się. Marina podążała za lady Luce, wcale nie ciesząc się na spotkanie z krewną, która tak wzgardliwie traktowała swą rodzinę.

- Dobry wieczór, Charlotte. Dobry wieczór, lady Blaine.

Kobiety obojętnie odwzajemniły powitanie lady Luce. Jak należało się tego spodziewać, obie zignorowały Marinę.

- Chciałabym przedstawić moją nową damę do towarzysstwa, pannę Beaumont - powiedziała po prostu lady Luce.

Dwie damy obrzuciły Marinę przelotnym spojrzeniem. Żadna z nich nie podała jej ręki.

Lady Luce spojrzała na lady Blaine, nie kryjąc dezaprobaty.

- Dziwne, że nie spotkały się panie do tej pory - stwierdziła - zważywszy, że matka panny Beaumont jest kuzynką pani męża. Zdaje się, że od paru miesięcy nie ma go w kraju?

Młodsza lady Luce przeżyła zaskoczenie i uniosła lornion, żeby uważniej przyjrzeć się Marinie. Panna Beaumont poczuła się jak owad na szpilce, poddawany badaniu w celu wykrycia wad. Dumnie uniosła podbródek, patrząc na lady Blaine.

- To jest ta dziewczyna, którą pani zarekomendowałam, milady - odezwała się lady Blaine.

Miała głos przywodzący na myśl zgrzyt paznokci o tablicę szkolną. Trudno byłoby słuchać jej przez dłuższy czas.

- Mam nadzieję, że ma pani z niej pociechę - kontynuowała lady Blaine, tak jakby Marina była powietrzem. - Musi pani wiedzieć, milady, że poleciłam ją tylko ze względu na ponaglania ze strony pani syna. Nie przyszedł mi do głowy nikt inny, kto mógłby od razu podjąć pracę. Gdybym miała trochę więcej czasu, znalazłabym kogoś odpowiedniejszego.

Lady Luce zmrużyła oczy.

- Wyświadczyła mi pani wielką przysługę - powiedziała. - Uważam, że może pani się czuć usatysfakcjonowana. Dobre uczynki proszę zostawić tym, którym przychodzą one łatwiej. Chodź, Marino. - Oddaliła się, zanim oburzenie lady Blaine znalazło wyraz w słowach.

- Nie zwracaj na nią uwagi - ciągnęła lady Luce. - To prostytutka. Brak jej kindersztuby. Blaine ożenił się z nią dla pieniędzy. W tej rodzinie mężczyźni zawsze żenią się z pieniędzmi, a potem wydają je na kochanki.

Marina musiała przyznać, że starsza pani była niezwykłą kobietą. Mówiła bardzo odważne rzeczy! Jako uboga krewna, Marina musiała uważać na słowa, jednak w towarzystwie lady Luce nie mogła narzekać na nudę.

Lady Luce natychmiast zaczęła wskazywać Marinie innych znamienitych gości i raczyć ją niezliczonymi opowieściami na ich temat. Marina doskonale się bawiła.

- Ta tyczka grochowa - ciągnęła starsza pani, wskazując dziewczynę wachlarzem - to najstarsza córka lady Blaine, Milly czy Tilly, coś w tym rodzaju. Trudno uznać ją za piękność z tą końską twarzą. Taka dziewczyna nigdy nie będzie miała powożenia, zwłaszcza że jej matka upiera się, by ubierać ją na biało.

W połączeniu z tą ziemistą cerą wygląda na chorą. Cóż, lady Blaine ma jeszcze gorszy gust niż Charlotte.

Marina musiała uważać, by nie kiwnąć głową. Jej brat wstydziłby się, słysząc, że siostra może być taka nieżyczliwa, jednak miło było się dowiedzieć, iż kuzynka jest jeszcze mniej atrakcyjna od niej. W przypadku panny Blaine wspomniały posag częściowo rekompensował brak urody.

- Och - westchnęła Marina, widząc parę płynnie wirującą w takt walca. - Kim jest ta piękna jasnowłosa kobieta?

- Która? A, ta - stwierdziła nieco łagodniejszym tonem lady Luce. - To, moje dziecko, jest lady Stratton, Emma, z domu Fitzwilliam. Tańczy walca ze swym mężem. Trudno mi na to patrzeć. Papużki nierozłączki! - Z dezaprobatą potrząsnęła głową.

Tańczący odwrócili się tak, że Marina ujrzała twarz mężczyzny. Mimo iż ten mężczyzna był sporo starszy, bardzo przypominał jej Kita.

- O - wyjąkała Marina. - Czy to...?

- Tak, to brat Kita Strattona, Hugo - odpowiedziała ponurym tonem lady Luce. - Bogaty jak rzadko kto. Emma Fitzwilliam była najlepszą partią sezonu, kiedy się z nią ożenił. Bez wątplenia jej pieniądze pomogły zażegnać skandal.

- Skandal? Nie rozumiem, mi lady.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Jesteś na to zbyt młoda. Jeszcze jeden powód, dla którego należy wystrzegać się Kita Strattona. Zrujnował reputację Emmy Fitzwilliam, ale nie chciał się z nią ożenić. Zostawił to zadanie swojemu bratu. To dlatego spędził za granicą ostatnie pięć lat.

Marina zerknęła na tańczących. Sir Hugo Stratton i jego żona patrzyli na siebie w taki sposób, że Marinie zrobiło się cieplej na sercu. Niezależnie od powodów zawarcia tego małżeństwa Marina była pewna, że ci ludzie się kochają.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła nagle lady Luce. - Nie sposób uniknąć tego człowieka. Wyskakuje jak diabeł z pudełka.

Kit Stratton, który przed chwilą wszedł do sali balowej, torował sobie drogę przez tłum gości. Marina poczuła, że pocałują ją dłonie okryte pożyczonymi rękawiczkami. Dlaczego musiał tu przyjść? Czy ją rozpozna?

Zatrzymał się w pewnej odległości od nich i nisko się skłonił wyniosłej damie w zawoju z piórami. Ich rozmowa była bardzo krótka. Potem, z ledwie skrywanym grymasem na twarzy, wszedł na parkiet, poklepał brata w ramię i bezczelnie zabrał mu partnerkę. Sir Hugo tylko uśmiechnął się w stronę oddalającej się pary i zaczął przechadzać się po sali, przystając na rozmowę. Nie szukał wzrokiem brata. Zauważwszy Marinę i lady Luce, zawahał się na moment, po czym przeszedł dalej.

- Nie ma między nimi wrogości - stwierdziła Marina, nieostrożnie wyrażając swoją opinię.

- Phi! - parsknęła lady Luce. - Jestem pewna, że to wszystko na pokaz. Chodźmy, Marino - powiedziała, kierując się do drzwi. - Nie zamierzam przebywać tu dłużej. Nie przypuszczałam, że ten bal będzie odbywał się w tak nieprzyjemnej atmosferze.

Spojrząwszy po raz ostatni na kolorowy tłum tańczących i wysoką, elegancką sylwetkę Kita Strattona, Marina udała się za chlebodawczynią do wyjścia. Nie spostrzegła, że nie jest jedyną kobietą uważnie przyglądającą się urodziwemu mężczyźnie. Panna Tilly Blaine, ukryta za kolumną, wpatrywała się w Kita Strattona szeroko otwartymi błyszczącymi oczami, jakby nigdy dotąd nie widziała tak pięknego zjawiska.

Marina miała niespokojną noc, a potem trudny dzień. Na próżno starała się spełniać życzenia chlebodawczyni, która przyjmowała gości. Na szczęście nie pojawiła się ani młodsza lady Luce, ani jej nieodłączna przyjaciółka, lady Blaine.

Gdy drzwi salonu zamknęły się za ostatnimi odwiedzającymi, lady Luce zasiadła w ulubionym fotelu i wygładziła perukę.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Zaczynałam myśleć, że te dwie harpie nigdy stąd nie wyjdą.

Marina uśmiechnęła się, ale nie powiedziała ani słowa. Starsza pani uwielbiała potyczki słowne z gośćmi. Problem z dwiema wspomnianymi kobietami polegał na tym, że nie potrafiły inteligentnie ripostować.

- Z czego się śmiejesz, moja panno? - zapytała lady Luce.

Marina odpowiedziała dopiero po chwili namysłu.

- Zastanawiałam się nad definicją harpii, milady. Uczono mnie, że to mityczne, żarłoczne ptaszyska z drapieżnymi pazurami. W pani Varity i jej córce nie było nic mitycznego...

Lady Luce zachichotała. Pani Varity była pulchną kobietą, zupełnie nie nadającą się do zajęcia miejsca w jakimkolwiek micie, chyba że wystąpiłaby tam jako dobrze wypchana poduszka.

- A ich pazury były wyciągnięte na długo przed wejściem do naszego domu - dokończyła niezrażona Marina. - Nie wiem dlaczego. Przecież pani goście spotykają się z bardzo życzliwym przyjęciem.

Lady Luce trzepnęła dłoń Mariny wachlarzem. Była to raczej pieszczota niż uderzenie. Oczy starszej pani błyszczały wesoło.

- Na dziś wystarczy, młoda damo - powiedziała. - Obawiam się, że hoduję żmiję na swym łonie.

- Też się tego obawiam, milady - przyznała Marina z powagą.

- Hm! Nie pozwolę, żebyś broniła tej Varity. Przyszła tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, co stało się u Mechante. Chciała łać krokodyle łyzy nad moją niedolą! - Rozłożyła wachlarz i poruszyła nim kilka razy. - Mam nadzieję, że dałam jej do zrozumienia, co o tym myślę.

- Jestem tego pewna, milady - oznajmiła z pozorną obojętnością Marina. W istocie pani Varity poniosła dotkliwą porażkę na polu bitwy, a lady Luce najwyraźniej rozkoszowała się smakiem zwycięstwa. Marina uznała, że nadeszła odpowiednia pora, by poruszyć drażliwy temat Kita Strattona. - Czy spodziewa się pani wizyty pana Strattona w najbliższych dniach, milady? - zapytała cicho.

- Dlaczego to cię tak interesuje? - Dobry humor starszej pani natychmiast się ulotnił. - Pewnie spodobała ci się jego śliczna buzia.

- Nie, nie! - Marina poczuła, że się czerwieni. - Pytam dlatego, że... Zastanawiałam się, dlaczego szlachetnie urodzony człowiek, wcale już nie taki młody, nie pomyślał, że nie wypada dopominać się o spłatę długu.

- Ty go jeszcze nie znasz! - wykrzyknęła lady Luce i zaśmiała się gorzko. - Kit Stratton nie jest dżentelmenem. Prędzej poderznąłby sobie gardło niż... - Popatrzyła w stronę otwierających się drzwi. - O co znów chodzi, Tibbs?

Ochmistrz ukłonił się sztywno, wyciągając przed siebie tacę.

- Posłaniec przyniósł list, milady. Nie czekał na odpowiedź.

Lady Luce wyciągnęła rękę.

- To list do panny Beaumont, milady - powiedział służący.

Starsza pani z gniewnym fuknięciem opadła na oparcie fotela. Biorąc list z tacy i dziękując służącemu, Marina czuła na sobie przenikliwy wzrok chlebodawczyni. Za chwilę lady Luce o wszystko ją wypyta. Co Marina jej powie? Ubogie damy do towarzystwa, niedawno przybyłe do Londynu, nie otrzymywały listów doręczanych przez posłańca, zwłaszcza jeśli nie miały żadnych znajomych w mieście. Powinna być na to przygotowana.

Zważyła list w dłoni. Był wystarczająco ciężki, by zawierać skrypt dłużny. Zapewne wysłał go Kit Stratton. Koperta została zaadresowana pewną, wprawną ręką. Zdecydowanie nie było to kobiece pismo. Czując rosnące zainteresowanie chlebodawczyni, Marina szybko wsunęła list do kieszeni sukni.

- Możesz otworzyć list, jeśli chcesz, moje dziecko - powiedziała jakby od niechcenia lady Luce. - Pewnie jesteś ciekawa, kto do ciebie pisze.

Marina szybko - zbyt szybko - pokręciła głową.

- Już to wiem, milady - odparła. - Istnieje tylko jedna możliwość, jako że nie mam przyjaciół w Londynie. Mieszka tu pewien duchowny, który być może zostanie patronem mojego brata Harry'ego - wytłumaczyła, starając się, by naprędce wymyślone kłamstwo brzmiało przekonująco. - Być może przypomina sobie pani, że po skończeniu Oksfordu brat zamierza zostać duchownym. Pastor obiecał, że jego żona odszuka mnie w Londynie. Myślę, że to bardzo uprzejme z ich strony, ponieważ nic nie wiedzieli o siostrze Harry'ego. List mogła przysłać tylko żona pastora. - Marina z przekonaniem uśmiechnęła się do starszej pani. Ciekawe, czy uwierzyła w tę mocno nieprawdopodobną historyjkę. Co będzie, jeśli starsza dama poprosi Marinę, by przedstawiła jej pastora?

Lady Luce przez chwilę uważnie przyglądała się Marinie, po czym powiedziała ostro:

- Jesteś tu zatrudniona jako dama do towarzystwa, a nie po to, żeby biegać do jakichś pastorów, którzy chcą na siłę uszczęśliwić innych. Wystarczy, że musimy słuchać ich w niedziele.

Marina zacisnęła wargi, by powstrzymać się od uśmiechu. Lady Luce nie ukrywała niechęci do kleru. Jeśli nie podobało jej się jakieś kazanie, potrafiła zadbać o to, żeby wiedziało o tym całe zgromadzenie. W ubiegłą niedzielę dała w kościele prawdziwy popis. Uśmiechała się potem z satysfakcją, podczas gdy jej syn skręcał się ze wstydu. Marina też była wtedy zakłopotana, jednak, prawdę mówiąc, niestosowne zachowanie lady Luce nie spędzało jej snu z powiek. Przez całą niedzielę i większość poniedziałku zastanawiała się, czy Kit Stratton odpowie na jej list. Teraz nareszcie otrzymała wiadomość.

- W swoim czasie będziesz mogła odwiedzić tego pastora - podsumowała lady Luce. - Ale nie w moim. Zrozumiano?

- Tak, milady - odpowiedziała pokornie Marina.

- Możesz już iść. Przeczytaj list, bo za chwilę wypali ci dziurę w kieszeni. Nie będziesz mi potrzebna aż do kolacji.

Marina nie wierzyła swemu szczęściu. Odniosła wrażenie, że lady Luce nie przyłapała jej na kłamstwie. W dodatku okazała wielką wyrozumiałość.

- Dziękuję, milady. To bardzo uprzejme z pani strony - powiedziała, wstając z krzesła, by wykonać ukłon. - Będę...

Lady Luce ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

- Lepiej już idź, bo gotowam zmienić zdanie - rzuciła cierpkim tonem.

Marina wyszła z pokoju tak szybko, na ile pozwalała jej godność. W korytarzu zauważyła ochmistrza, zaczęła więc powoli wstępować na schody, aż znalazła się poza zasięgiem jego wzroku. Biegiem pokonała pozostałą część stopni i po-

pędziła korytarzem do sypialni, uważając, by w pośpiechu nie trzasnąć drzwiami.

List został zabezpieczony tak, że nie sposób było go otworzyć. Zakłęła pod nosem, starając się rozedrzeć kopertę. W końcu gruby papier ustąpił. List zawierał załącznik. Kit Stratton musiał połknąć haczyk.

W pośpiechu upuściła list na podłogę. Nie szkodzi, przeczytam go za chwilę, pomyślała. Najpierw musiała się upewnić, że znajduje się w posiadaniu skryptu dłużnego lady Luce.

Rozłożyła papier na stoliku. Przeżyła wstrząs. Papier pokryty był tym samym charakterem pisma, co koperta. Dlaczego Stratton napisał do niej dwa listy?

Już po chwili otrzymała odpowiedź. Jeden z listów był zaadresowany nie do Mariny, lecz do lady Luce, a Marina najwyraźniej miała go przeczytać. Tylko tak mogła wytłumaczyć fakt, że nie został zabezpieczony.

Wstrzymując oddech, szybko przebiegła wzrokiem kartkę papieru, po czym wydała cichy okrzyk triumfu. List stanowił dowód darowania długu. Kit Stratton pisał, że zwróci lady Luce skrypt dłużny, kiedy odwiedzi ją pod koniec tygodnia, i że nie będzie domagał się pieniędzy.

Marina zamknęła oczy i przycisnęła list do piersi. Wydawało się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Zastawiła pułapkę, a zwierzyna dała się w nią schwytać. Marinie nie groziło już niebezpieczeństwo utraty pracy.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, oczami wyobraźni widząc mamę, która nareszcie nie musi troszczyć się o byt i rozpromieniona, z wdzięcznością patrzy na córkę. Już za kilka tygodni Marina będzie w stanie wysłać do niewielkiego, spartańskiego urządzonego domu pierwszą wypłatę. To będzie cudowny dzień.

Wszystko zależało jednak od tego, czy uda jej się przechytryć Kita Strattona.

Wciąż musiała brać pod uwagę plany Kita Strattona dotyczące jej osoby. Cieszyła się, że udało jej się pomyślnie zakończyć sprawę długu lady Luce. To był pierwszy, najważniejszy krok.

Pochyliła się, by unieść drugi list pana Strattona. Co też miał jej do powiedzenia?

List był bardzo krótki. Nie zawierał ani formuły powitalnej, ani podpisu.

„Biała wstążka. Jutro. List jest opatrzony późniejszą datą i może zostać unieważniony”.

To nie miało sensu. Co też...? Marina sięgnęła po list, znajdujący się w środku i zmusiła się do przestudiowania go zdanie po zdaniu.

List był opatrzony datą, mającą nadejść za dwa dni, i zaadresowany do lady Luce. Był utrzymany w zwięzłym, oficjalnym tonie. „Milady - głosił - Pani pośrednik nakłonił innie do darowania Pani długu. Złożę Pani wizytę jutro, tak jak zostało ustalone. Wtedy też oddam Pani skrypt dłużny. Christopher Stratton”.

Czytając list w pośpiechu, przeoczyła jeden istotny szczegół - wyraz „jutro”. I datę. List nie był nic wart aż do tego dnia. Została wystrychnięta na dudka.

Okazała się bardzo naiwna i zadufana w sobie, spodziewając się, że uda jej się przechytryć wytrawnego gracza, jakim bez wątpienia był Kit Stratton. Pokonał ją jej własną bronią, uciekając się do podstępu. Domagała się zapłaty z góry, więc jej to zapewnił, czyniąc to jednak tak sprytnie, że miało to nastąpić dopiero po wypełnieniu jej części umowy. Nie mogła teraz się wycofać, chociaż tak podpowiadał jej rozsądek. Jeśli nie spotka się z nim nazajutrz, bez wątpienia Kit natychmiast rozpowie

wszystkim o ich układzie, posługując się listem Mariny jako dowodem. Nie będzie go to nic kosztowało. Nie musiał dbać o reputację. Jednak Marina zostanie uznana za kłamczuchę, oszustkę, a na dodatek kobietę upadłą. Lady Luce natychmiast ją zwolni - nie będzie miała wyboru. Marina zostanie zmuszona do powrotu do Yorkshire bez pensa przy duszy, w dodatku okryje się hańbą w Londynie, a w końcu także i w rodzinnych stronach.

Zostanie wyrzutkiem społeczeństwa. Przyniesie wstyd matce, która straci wszystkich uczniów - żaden ojciec nie pozwoli swemu dziecku przestąpić progu takiego domu. Ciężar utrzymania rodziny spadnie na barki Harry'ego.

Harry! A co stanie się z Harrym? On też prawdopodobnie będzie cierpieł. Być może nawet zostanie zmuszony do opuszczenia Oksfordu... Kto zechce zatrudnić człowieka mającego taką siostrę?

Marina ze złością starła łzę toczącą się po jej policzku. Płacz nie miał sensu. Sama była sobie winna; jakiś czort podkusił ją do wysłania obciążającego listu. W dodatku w swej głupocie go podpisała! Tylko siebie będzie mogła winić za ewentualne cierpienia rodziny. Że też musiała poznać Kita Strattona!

Wygrał. Zwyciężył. Teraz pozostawała już tylko kwestia tego, ile nieszczęść ściągnęła na swą biedną głowę.

Spodziewał się, że nazajutrz Marina wsiądzie do jego powozu. Nie miała wyjścia - musiała się na to zgodzić, by spełnić warunek umowy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marina nie spała tej nocy. Ledwie usłyszała pierwsze odgłosy domowej krzątanimy, wstała i zaczęła przygotowywać się do spotkania z Kitem Strattonem. Czuła się jak skazaniec szykujący się na szafot.

Zdjęła nocną koszulę i dokładnie umyła się zimną wodą, którą przyniosła poprzedniego wieczoru. Chłód powinien był ją ożywić, jednak wcale nie poczuła się lepiej, tylko zaczęła trząść się na całym ciele.

Następnie przejrzała skąpy zapas bielizny, wybierając najmniej pocerowane sztuki. Znow zadygotała. Kit zobaczy jej bieliznę... wszystkie te nędzne łaszki, jednak duma nie pozwoli jej dać się upokorzyć. Stratton musi zrozumieć, że jest damą, osobą równą mu nie majątkiem, lecz stanem.

Poczuła gęsią skórę, spojrzawszy na wspaniałą zieloną suknię na poręczu łóżka. Czyżby naprawdę rozważała możliwość włożenia jej na to spotkanie? Musiała chyba stracić rozum.

Pośpiesznie ubrała się w suknię przywieziona z Yorkshire, prostą, z długimi rękawami i dekoltem tuż przy szyi. Dopiero wtedy przyjrzała się sobie w lustrze. Jej twarz była szara prawie tak samo jak suknia. Burza kasztanowych włosów, spływających kędziorami na ramiona, kontrastowała z bladą skórą, i wyglądała jak peruka. Drżącymi rękami splotła włosy w warkocz i upięła je w schludny węzeł z tyłu głowy. Tak było już lepiej. Po chwili uznała, że wciąż wygląda nieodpo-

wiednio. Wyjęła szpilki i splotła włosy ciasniej. Teraz jej włosów prawie nie będzie widać spod kapelusza.

Obawiała się jednak, że Kit będzie nalegał, by zdjęła nakrycie głowy. A potem będzie musiała zrobić to samo z pozostałymi częściami garderoby...

Połykając łzy, Marina rozejrzała się po ponurym wnętrzu. Powóz trudno było uznać za elegancki. Zapach stęchlizny dowodził, że pojazd długo stał nieużywany w jakiejś wilgotnej szopie. Bezwiednie zmarszczyła nos.

- Przepraszam za ten powóz, panno Beaumont. - Wygodnie rozparty Stratton przyglądał się jej zuchwale. - Nie należy do mnie. Ze względu na pani reputację... - Uniósł brwi, widząc, że Marina aż drgnęła, zaskoczona. - Tak, milady. Ze względu na pani reputację - powtórzył dobitnie - wynająłem pojazd, którego nikt nie rozpozna. Nie o takim myślałem, ale przecież nie spędzi w nim pani wiele czasu, nieprawdaż? - Wychylił się w przód i wsunął rękę pod roletę na oknie. Po chwili wyprostował się i starannie zwinął białą jedwabną wstążkę, wcześniej przywiązaną do drzwiczek powozu. - Nie chciałbym, żeby pani obecność w tym powozie przyciągnęła uwagę kogokolwiek - dodał.

Marina tępo wpatrywała się w niezbyt czystą podłogę.

- Proszę łaskawie zdjąć kapelusz i rękawiczki.

Marina popatrzyła na Kita, przerażona, a potem spełniła prośbę. Trochę czasu zajęło jej uporanie się z wstążkami przy kapeluszu. Nie miała wyboru - zawarła umowę i musiała dotrzymać jej warunków.

- A teraz proszę podać mi rękę. - Mocno chwycił ją swymi długimi palcami. Już po chwili przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach, a potem starał się nakryć jej usta swoimi.

Natychmiast go odepchnęła.

Uniósł głowę i popatrzył Marinie w oczy. Trudno było wyczytać coś z jego twarzy.

- Dobrowolnie, panno Beaumont - zwrócił jej uwagę. - Tak właśnie się umówiliśmy. Zdażyła już pani zapomnieć?

- Dobrowolnie w pańskim łóżku, panie Stratton - odcięła się Marina - a nie w brudnym, śmierdzącym powozie.

Kit roześmiał się.

- *Touche*, panno Beaumont - powiedział z uśmiechem. - Pewnie chciałyby pani usiąść na swoim miejscu?

Nie dając jej szans na odpowiedź, chwycił ją w pasie, uniósł i posadził na dawnym miejscu, tak jakby nic nie ważyła. Potem opadł na siedzenie powozu.

Po raz pierwszy Marina zauważyła u niego szczere rozbawienie. Na chwilę wyraz jego oczu złagodniał. Kit wydał jej się dużo młodszy... i niepokojąco przystojny. Jeśli takie właśnie oblicze prezentował podczas podbojów, nic dziwnego, że wszystkie kobiety mu ulegały. Marina również nie pozostawała obojętna na jego wdzięk. Chciałyby...

Odrzuciła wzrok, zanim opuścił ją rozsądek, i zajęła się wkładaniem kapelusza na ciasno upięte włosy. Mimo że nie miała rękawiczek, jej palce były sztywne.

Kit wychylił się ku niej i uśmiechnął chytrze.

- Mam pani pomóc, milady? - zapytał, wyciągając rękę. - Podobno bardzo sprawnie radzę sobie z damskimi częściami garderoby.

Marina z oburzeniem uderzyła go w dłoń i cofnęła się najdalej, jak tylko mogła. Kit robił to celowo. Chciał wyprowadzić ją z równowagi, nie wiedząc, że wprawia ją w ten stan już samą swą obecnością.

W końcu udało jej się zawiązać wstążki kapelusza. Po chwili wsunęła rękawiczki, złożyła dłonie na kolanach

i usiadła wyprostowana. Postanowiła nie dać po sobie poznać, jak na nią działa.

- Czy wolno mi zapytać, dokąd jedziemy? - odezwała się ledwo dosłyszalnie.

Pokiwał głową. Miała wrażenie, że czyta w jej myślach i przyznaje punkty za opanowanie.

- Zabieram panią do swego domu w Chelsea, milady. Znajduje się z dala od znanych ulic i doskonale nadaje się do... naszych celów. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

- Nie wiedziałam, że przysługuje mi prawo wyboru - odpowiedziała cierpko Marina.

- Bo też i nie przysługuje, ale przecież nie ma niczego złego w prowadzeniu uprzejmej konwersacji, nie sądzi pani? W ten sposób nudna podróż mija szybciej.

Śmiał się z niej! Przez chwilę widziała błysk wesołości w jego oczach, jednak zaraz potem jego twarz znów stała się nieprzeniknioną maską. Z trudem powstrzymała się od trząśnięcia go w tę zadowoloną z siebie, urodziwą twarz. Chętnie dałaby mu do zrozumienia, że jest oburzona jego postępowaniem. Nie miało to jednak sensu. Próbowwała już tej taktyki i przegrała. Ostatnim razem...

Ostatnim razem ją pocałował.

Powóz zwolnił. Kit nieznacznie uniósł roletę, by się zorientować, gdzie się znajdują, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął woalkę.

- Proponuję, żeby ją pani włożyła na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, kogo możemy spotkać. Nie chciałbym, żeby pani reputacja została narażona na szwank tylko dlatego, że nie włożyła pani kapelusza z woalką.

Jak śmiał...? Obwiniął ją o to, co się miało stać. Nabrała znowu ochoty, by go uderzyć, jednak posłusznie udrapowała

woalkę na kapeluszu. Całkowicie zakrywała jej twarz. Nie mogła zostać rozpoznana, nawet przez kogoś, kto dobrze ją znał.

Kit stał już na chodniku i wyciągał do niej rękę, by pomóc jej wysiąść z powozu.

Marina zawahała się. Było coś niepokojącego w tych szczupłych dłoniach... Bała się dotknąć jego palców, nie mogąc przewidzieć własnej reakcji.

- Proszę się pośpieszyć, milady - powiedział ze zniecierpliwieniem. - Załatwmy nasze sprawy. - Popatrzył na nią uważnie. - Chyba że nie chce pani dotrzymać warunków umowy?

Marina wstała, uniosła spódnicę sukni i bez pomocy Kita wysiadła z powozu, a potem podeszła do drzwi, nie obdarzając go ani jednym spojrzeniem. Uniosła kołatkę, która po chwili głucho uderzyła w drzwi.

- Coś mi mówi, że jest pani odważna - wyszeptał Kit do jej ucha.

Marina zadrżała. Czuła na szyi ciepło jego oddechu. Nie było możliwości ucieczki. Dlaczego nikt nie otwierał?

Po chwili, która wydała jej się wiecznością, w drzwiach stanęła drobna gospodyni, z wrogością wypisaną na twarzy. Nawet czarna suknia wydawała się odstraszać gościa. Przez jakiś czas stała, blokując wejście i przyglądając się Marinie zmrużonymi, ciekawskimi oczkami.

- Dziękuję, pani Budge. - Kit wypowiedział te słowa spokojnie, lecz stanowczo. Gospodyni cofnęła się, by umożliwić wejście do domu.

Kit położył rękę na talii Mariny i zaprowadził ją do salonu, w którym spotkali się ostatnim razem. Marina zmuszała się do opanowania; starała się nie zwracać uwagi na ciarki przechodzące po jej skórze i dziwny ciężar w dole brzucha.

Wkrótce będzie miała okazję poznać swe uczucia. Znajdzie się w sypialni Kita... w jego łóżku.

Zamknął drzwi przed nosem gospodyni, uprzednio wydawszy jej polecenie, by nikt im nie przeszkadzał. Zapewne chciał... ale chyba nie tutaj?

- Nie, panno Beaumont - stwierdził lakonicznie Kit. - Nie zamierzam posiąść pani na tym okropnym dywanie w Chelsea. Mam nadzieję, że dostarczy mi pani bardziej wyrafinowanych przeżyć.

Znów czytał w jej myślach.

- Proszę usiąść. Napije się pani czegoś?

Marina przecząco pokręciła głową. Kit zajął miejsce naprzeciw niej i wyciągnął długie nogi w stronę kominka.

- Muszę przyznać, milady, że jestem zaskoczony pani wizytą.

Wyprostowała się w fotelu, ale się nie odezwała.

- Chciała pani wypełnić warunek umowy?

Powolnym ruchem odsunęła woalkę z twarzy i popatrzyła na niego z niemą wyniosłością.

- Oczywiście. Musiałam dotrzymać słowa - odparła spokojnie. - Nawet danego panu.

Siedział nieruchomo, przyglądając jej się uważnie. Była blada i wymizerowana. W mdłym świetle, sączącym się do wnętrza przez niewielkie okna, wydawała się nieatrakcyjna. Wyjątek stanowiły tylko jej ogromne, błyszczące oczy. Wyglądała gorzej niż skazaniec. Jak mogło do tego dojść? Był pewien, że dziewczyna nie dotrzyma słowa. Kobiety miały to we krwi. Jednak ta młoda dama udowodniła mu, że i on jest człowiekiem omylnym. Powinien pozwolić jej odejść. W co też, u licha, się zabawiał?

Wszystko zaczęło się od tej nieszczęsnej umowy. Zgodził się zrezygnować z dwunastu tysięcy funtów i zemsty na lady

Luce. Musiał otrzymać za to jakąś rekompensatę, a w tej młodej kobiecie było coś, co...

Wpatrywał się w nią w milczeniu, zastanawiając się nad swoją perfidią. Czy naprawdę mógł pozwolić na to, żeby niewinna kobieta sprzedała mu swą cnotę w zamian za dwanaście tysięcy funtów? Miał dwadzieścia siedem lat i nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się płacić kobiecie za to, że poszła z nim do łóżka.

Oczywiście uganiał się za kobietami. Czasem trwało to kilka miesięcy, kiedy indziej znów kończyło się na jednym razie. Prawie rok zajęło mu wyrwanie cudnej baronowej z mężowskich ramion. Jego przyjaciele z Wiednia twierdzili, że Katharina jest nie do zdobycia. Rzucili mu wyzwanie. W końcu został zmuszony do udowodnienia, że nawet ta kobieta się w nim zakocha. Jak dojrzała śliwka, czekała na to, by spaść w czyjeś pieszczotliwe dłonie. Trafiła do jego ręki, lecz, prawdę mówiąc, miała wielką ochotę na przygodę... jeśli nie z nim, to z kim innym. Jej pozorna niedostępność skrywała namiętną, pożądliwą naturę. Pasowali do siebie. Kiedy pojechała z mężem do Londynu, ruszył za nimi. Zresztą nadszedł już czas na jego powrót. Chciał ją mieć blisko, widywać się z nią, ilekroć naszła go ochota.

Nie do końca była to prawda. Obecnie nie mógł spotykać się z piękną baronową, kiedy tylko tego zapragnął.

W tej chwili siedziała przed nim panna Beaumont.

Była gotowa się mu oddać. Bez wątpienia uznała, że zawarła pakt z diabłem, lecz postanowiła dotrzymać umowy, gdyż dała słowo. Zdumiewająca kobieta. Gdyby tylko jej wygląd odpowiadał cechom charakteru...

Powinien ją stąd wypuścić. Natychmiast. Miał jednak świadomość, że w takim wypadku stara wiedźma jeszcze raz by zwyciężyła, tak jak przed pięcioma laty.

Nie był w stanie znieść myśli o drugiej porażce. Panna Beaumont będzie musiała dotrzymać warunków umowy.

Nie powinien był zawierać układu, z którego korzystała tylko lady Luce, podczas gdy wszystkie koszty miała ponieść jej nieszczęsna dama do towarzystwa. Tylko mężczyzna ze psuty do szpiku kości mógłby ją posiadać w takiej sytuacji. Czy był takim właśnie człowiekiem?

Panna Beaumont obracała pierścionek na palcu przez rękawiczkę, a raczej starała się to robić z niewielkim skutkiem. Czy w ogóle zdawała sobie sprawę ze swoich poczynań?

Kit wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. W końcu podszedł do okna i zapatrzył się na ulicę. Znow zaczynało padać.

- Panno Beaumont... - zaczął.

Drgnęła, przerażona, i machinalnie uniosła rękę, na której nosiła pierścionek, do warg.

Kit stanął nad nią.

- Panno Beaumont, dotrzymała pani warunków umowy. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego po pani. Szanuję panią za odwagę. - Urwał. - Muszę pani powiedzieć, milady - podjął po chwili - że nie mam teraz ochoty na... załatwianie naszego interesu. Jestem wierny swym kochankom. Tymczasem tak się złożyło, że wczoraj miałem przyjemność... - Pozwalając, by słowa zawisły w powietrzu, przyjrzał się jej uważnie. - Widzę, że dobrze mnie pani rozumie. Jeśli pani pozwoli, odwiezę ją do parku, tak żeby mogła pani wrócić do domu.

- Ja... nie rozumiem. Dług... Umówiliśmy się...

- Dług został spłacony. Jutro może pani doręczyć mój list lady Luce. W piątek złożę jej wizytę i zwrócę skrypt dłużny, tak jak obiecałem. Dług zostanie anulowany.

- Ale...

Kit ujął ją pod łokcie i delikatnie pomógł wstać z krzesła. Czuł, że dziewczyna drży na całym ciele.

- Proszę się niczego nie obawiać, milady. Ja również do-
trzymuję obietnic, może być pani tego pewna.

Sprawiła wrażenie oszołomionej. Patrzyła na niego ogromnymi oczami, a na jej policzkach wykwitły rumieńce, szpecąc wspaniałą cerę.

Powoli zdjęła woalkę z główki kapelusza i zasłoniła twarz.

- Chodźmy, panno Beaumont - powiedział łagodnie. -
Powóz czeka.

Nie odezwała się, gdy wsiedli do powozu i zajęli miejsca. Milczała przez całą drogę powrotną do parku. Co takiego było w tej dziewczynie? Dlaczego zrezygnował dla niej z dwunastu tysięcy funtów?

Zrobił to dla kobiety, która była godną przeciwniczką; dorównywała odwagą mężczyźnie.

Uśmiechnął się do siebie. Zamierzał dopilnować, by nie poniosła uszczerbku na honorze. Zasługiwała na to. Natomiast nie miał ochoty chronić lady Luce. Daruje jej dług, jednak dowie się o tym cały świat. On, Kit Stratton, będzie postrzegany jako człowiek wielkoduszny i wspaniałomyślny. A lady Luce będzie miała wobec niego dług wdzięczności. Ludzie będą się tego po niej spodziewać.

Zostanie upokorzona.

Wprawdzie nie taka miała być jego zemsta, jednak po namyśle doszedł do wniosku, że obecna sytuacja przyniesie mu równie wiele satysfakcji.

Marinie było bardzo zimno. Nie była w stanie opanować drżenia.

Wiózł ją z powrotem do parku. Była w jego domu, na jego łasce, a teraz odwoził ją, nietkniętą. Nie była warta nawet godziny zapomnienia o obecnej kochance!

Popatrzyła na niego spod przymkniętych powiek. Do tej pory nie śmiała na niego spojrzeć, mimo że jej twarz okryta była woalką. Obawiała się, że może wyczytać coś z jej oczu.

Wydawał się pogrążony w rozmyślaniach. Miał skupioną twarz, jakby rozwiązywał jakiś trudny problem. Może zastanawiał się, jak dać szacha królowi albo powstrzymać atak królowej?

Deszcz przestał padać. Nie zauważyła tego wcześniej. W Chelsea słyszała uderzenia kropel o dach i myślała o kolejnym spacerze przez błoto do domu lady Luce. W tej chwili nie przedstawiało się to aż tak źle. Powinna bez trudu dostać się do domu.

Na twarzy Kita pojawił się chytry uśmieszek. Marina od razu zorientowała się, że Stratton syci się smakiem zwycięstwa. Nigdy, nawet przez chwilę, nie wątpiła w jego wygraną. Był urodzonym zwycięzcą szczególnie w pojedynkach z kobietami.

Nieznacznie uniósł roletę szczupłą dłonią, tak jak poprzednio.

- Już dojeżdżamy, panno Beaumont - powiedział. - Mam nadzieję, że bezpiecznie dojdzie pani do domu. Chyba pani rozumie, dlaczego nie chciałbym odprowadzać pani aż do drzwi...

Dlaczego nagle stał się taki miły? Marina miała ochotę krzyknąć. Przecież zaledwie przed godziną chciał zniewolić ją w tym powozie.

- Dziękuję, panie Stratton - powiedziała szybko, nie potrafiąc ukryć narastającej złości. - Doskonale poradzę sobie bez pana... usług.

Zareagował stłumionym śmiechem na jej kaśliwą uwagę. Marina poczuła, że odniosła maleńkie zwycięstwo.

Niestety, nie było jej dane cieszyć się nim długo. Tym razem Kit nie posadził jej sobie na kolanach, tylko usiadł obok niej, uniósł jej woalkę i stłumił okrzyk Mariny brutalnym pocałunkiem.

Wyraził w ten sposób swą władzę, pokazał jej, że należy do niego, że mógłby posunąć się dalej, a ona nie byłaby w stanie mu się oprzeć. W dodatku ze wstydem musiała przyznać, że miał rację. Wiedziała, że powinna z nim walczyć, jednak ogarnęła ją cudowna bezwolność. Nie mogła odepchnąć otaczających ją ramion, gdyż zdradzieckie ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

Zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek.

To Kit w końcu go przerwał.

Powóz zatrzymał się. Marina nie wiedziała, jak długo stali w parku. Znajdowała się w stanie odurzenia po namiętnym pocałunku. Oddychała z trudem, a serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Jak mogła pozwolić, żeby to się stało?

Popatrzyła na Kita, jednak miał przymknięte powieki, a jego twarz nie wyrażała emocji. Oddychał normalnie. Pocałunek, który wywarł na niej tak wielkie wrażenie, pozostawił go obojętnym. Poczowała się upokorzona.

Musiała jak najszybciej się pożegnać.

Jedną ręką opuściła woalkę, a drugą chwyciła klamkę u drzwiczek.

Kit powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Ścieżka znajduje się po drugiej stronie, panno Beaumont - oznajmił spokojnie. - Nie chciałbym, żeby weszła pani prosto do kałuży.

Marina zacisnęła dłonie w pięści. Miała ochotę krzyknąć.

Wstała i minęła go bez słowa. Wolała się nie odzywać, nie wiedząc, czy potrafi nad sobą zapanować.

Kit, który nie był w stanie wstać w ciasnym wnętrzu, ukłonił się.

- Chyba pani rozumie, dlaczego nie mogę pomóc pani wysiąść z powozu - odezwał się uprzejmie. - Ufam, że mi to pani wybaczy.

Marina otworzyła drzwi i z ulgą stanęła na ścieżce Hyde Parku. Odwróciła się w stronę Kita, ledwie widocznego w ciemnym powozie.

- To jedno wybaczę panu z pewnością - powiedziała jadowicie - ale niczego innego. - Z całej siły trzasnęła drzwiami.

Mogłaby przysiąc, że oddalając się w stronę domu, słyszała pełen uznania śmiech dochodzący z powozu.

Nie poradziła sobie z tym mężczyzną. Postanowiła, że nie chce już mieć z nim więcej do czynienia.

Z opuszczoną głową szybko szła w stronę bramy. Dzięki Bogu, w pobliżu nie było nikogo. Zauważyła tylko jakiegoś mężczyznę na koniu, odbywającego poranną przejażdżkę. Doszła do bramy, kiedy jeździec minął ją na gniadej klaczy. Trzymał się z dala, żeby nie opryskać Mariny błotem. Uniosła głowę, by podziękować mu uprzejmym skinieniem.

Boże! Tylko nie to! Miała nadzieję, że się myli.

Zatrzymał rękę ze szpicrutą, którą unosił do kapelusza, a przez jego twarz przemknął wyraz zaskoczenia. Po chwili, nieznacznie potrząsnąwszy głową, odwzajemnił pozdrowienie i wyjechał z parku.

Marina odprowadziła go wzrokiem. Miała wrażenie, że mężczyzna ją rozpoznał. Było to jednak niemożliwe. Nigdy nie zostali sobie przedstawieni, a poza tym... Dotknęła woalki.

Spora część materiału zaczepiła się o główkę kapelusza.

Twarz Mariny była niemal całkowicie odsłonięta od czasu wyjścia z powozu Kita Strattona. Jeździec na gniadej klaczy widział, jak wysiadała; doskonale przypominała sobie ten moment. Musiał celowo podjechać do niej, chcąc z bliska przyjrzeć się kobiecie, która w tak oczywisty sposób łamała konwenanse. Jego zachowanie pozwalało się jej domyślić, że ją rozpoznał, mimo że, jak miała nadzieję, nigdy nie słyszał, jakie nosi imię.

Jak teraz wykorzysta zdobytą informację? Czy obwieści całemu światu, że bardzo wysoka, ubrana na szaro kobieta wcześniej rano wysiadła - sama - z zakrytego powozu? Wystarczy, że opisz ją w ten sposób, by znajomi lady Luce natychmiast podali mu nazwisko.

Marina zadrżała. Znowu poczuła się tak, jakby ktoś przykładał jej do pleców taflę lodu.

Będzie musiała zrezygnować z unikania Kita Strattona. Tylko on mógł teraz obronić ją przed niesławą. Musi jak najszybciej do niego dotrzeć.

Dżentelmenem na gniadej klaczy był nikt inny jak tylko Hugo Stratton.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

To wszystko nie ma sensu, pomyślała Marina, odkładając kapelusz i rękawiczki. Usiadła przy stoliku. Wszystko, co ją spotkało, przypominało serię zagadek, z których każda była trudniejsza od poprzedniej. Najpierw Kit wziął ją w ramiona w powozie, potem nią wzgardził, podając mało przekonujący powód, że zawsze pozostaje wierny aktualnej kochance. W końcu znów natarł na nią w powozie. Widocznie tak wyglądała jego wierność.

Z niewiadomego powodu się nią bawił. Domyślała się, że mężczyźni potrafią być równie przewrotni, jak kobiety. Kit Stratton z pewnością był nieprzewidywalny. W swym domu w Chelsea nie chciał nawet jej dotknąć, natomiast w tym ciemnym, pachnącym stęchlizną powozie...

Tak, nareszcie wszystko zrozumiała. W powozie było tak ciemno, że nie widział jej twarzy i mógł sobie wyobrazić, że całuje kogoś innego, najprawdopodobniej swą kochankę.

Poczuła się wykorzystana. Czy byłoby gorzej, gdyby naprawdę ją posiadał? Zdobyła się na niezwykłą odwagę, a on ją odtrącił w sposób najokropniejszy z możliwych. A co gorsza, upokorzył ją, całując ją tak zniewalająco, że chętnie odwzajemniła pieszczotę, chociaż wcześniej niejednokrotnie ją obraził. Było jej wstyd na samą myśl o tym, co zrobiła, jak się czuła... Sumienie przypominało jej, że dopuściła się grzechu, a mimo to wiedziała, że gdyby tylko trafiła jej się kolejna okazja, chętnie znów by z niej skorzystała...

Nie mogła dopuścić do żadnych okazji.

Przekręciła pierścionek na palcu, starając się przywołać na myśl jakieś przekleństwo, którym mogłaby potraktować Kita, jednak nic odpowiedniego nie przychodziło jej do głowy. Matka zadbała o to, żeby Marina nie poznała żołnierskiego języka. Zresztą, co by jej z tego przyszło? Musiała teraz prosić, wręcz błagać Kita Strattona o zachowanie dyskrecji.

Nie miała odwagi spotkać się z Kitem. Musiała napisać do niego list. Znowu. Tak jak poprzednio, jej przyszłość zależała od reakcji Strattona na jej prośbę.

Wyjęła kartkę papieru i przygotowała się wewnątrz do napisania najtrudniejszego listu w swym życiu.

Emma Stratton położyła rękę na ramieniu Kita, chcąc, by się pochylił i dał się cmoknąć w policzek.

- Miło cię widzieć - powiedziała, zalotnie spoglądając na niego spod długich rzęs.

Kit uśmiechnął się do swej pięknej bratowej.

- Gdyby tak teraz zobaczyli cię plotkarze z towarzystwa, Emmo... - ostrzegł, starając się nadać swemu głosowi groźne brzmienie.

- Co ma znaczyć ta uwaga? - odpowiedziała z oburzeniem, lecz zdradziły ją figlarne błyski w oczach.

Stojący przy oknie wychodzącym na ruchliwą ulicę Hugo pogroził jej palcem.

- Dobrze wiesz, szelmo. Ludzie nigdy nie przestaną wietrzyć skandalu związanego z tobą i Kitem.

Emma rzuciła mężowi wymowne spojrzenie i wdzięcznie usiadła na krześle.

- Ja miałabym być o coś podejrzewana? Szanowana ogólnie matrona, matka trojga dzieci? Wstydź się!

Kit uniósł jej dłoń do warg, nie przestając złośliwie się uśmiechać.

- A kto powiedział, że wszystkie te dzieci są twoje, Hugonie? Jesteśmy bardzo podobni... - Nie dokończył zdania. Nie musiał przypominać Emmie ani jej mężowi, że wiele lat temu Emma została skompromitowana, kiedy pomyliła Kita z Hugonem w ogrodzie o północy.

- Jesteś podły! - zawołała, mocno uderzając go w dłoń wachlarzem.

- A tak całkiem poważnie, Kit - powiedział Hugo, idąc przez dywan z Aubusson w stronę żony, by delikatnie położyć dłoń na jej ramieniu - lepiej nie wspominać o tym, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. To może dać ludziom do myślenia. Wiesz, jak łatwo powstają plotki.

- Chciałbym się dowiedzieć, jak komuś mogłoby to przyjść do głowy, skoro od dnia waszego ślubu przez cały czas przebywałem w Wiedniu. Mogę być podejrzwany o różne związki z damami... - Hugo uniósł brwi, a Emma zachichotała - ale pewnym faktem nie da się zaprzeczyć i...

Emma zakryła uszy dłońmi, lecz zepsuła efekt, wybuchając serdecznym śmiechem. Mężczyźni po chwili jej zawtórowali.

- Nie mogę tego słuchać. Obaj jesteście siebie warci.

- Święta racja, kochanie - przytaknął Hugo. - Chciałbym poruszyć temat bardziej odpowiedni do omówienia w salonie mojej drogiej żony. Usiądź, Kit. Powiedz mi, czy widziałeś młodą damę towarzyszącą lady Luce na balu?

- Czemu o to pytasz?

Hugo uśmiechnął się szeroko.

- Strach cię obleciał, braciszku? Pytam, ponieważ mam wrażenie, że znasz wszystkie damy w Londynie. Musiałeś ją widzieć. Jest dużo wyższa niż inne kobiety, tak że przyciąga wzrok.

- Nie widziałem jej na balu, Hugonie, ale wiem, kto to jest.

- Tak myślałem - stwierdził Hugo, kiwając głową.

- To dama do towarzystwa lady Luce. Nazywa się Beaumont.

- No jasne! - Hugo uderzył otwartą dłońią w udo. - Od razu dostrzegłem podobieństwo.

Emma uniosła brwi.

- Hugo, jesteś nadzwyczaj zagadkowy. O jakim podobieństwie mówisz? Kim jest panna Beaumont?

- Nie jestem pewien, Emmo, ale myślę, że mój przyjaciel, George Langley, był jej wujem. Wiesz, że zginął pod Ciudad Rodrigo, ale mogłem ci nie powiedzieć, że mąż jego siostry, Tom Beaumont, też tam zginął.

- Boże, to straszne! - zawołała Emma. - Mąż i brat!

Kit gwałtownie wstał i podszedł do okna.

Hugo współczująco pokiwał głową. Przez chwilę siedział w milczeniu, wspominając przyjaciół.

Emma położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dlaczego myślisz, że jest z nimi spokrewniona, kochanie? - zapytała łagodnie.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie miały ich nikt, kto znał Toma Beaumonta. Dziewczyna jest do niego bardzo podobna. Wysoka, ta sama budowa, te same rysy twarzy. Ale co ona robi w towarzystwie tej starej harpii?

- Przypuszczam, że jej rodzina gwałtownie zubożała - odezwał się cierpko Kit, zwracając się w stronę pokoju. - Czy wojsko nic nie zrobiło dla wdowy?

- Nie wiem - odparł Hugo, lekko się rumieniąc. - Pamiętaj, że po bitwie miałem... pewne kłopoty.

Kit szybko przytaknął. Nie chciał przypominać bratu, jak to podły dowódca niesłusznie oskarżył go o tchórzostwo.

Wszelkie zarzuty zostały oddalone, jednak brat nie potrafił o nich zapomnieć.

- Nie miałem szansy wsparcia pani Beaumont. Nie wolno mi było nawet do niej napisać - dodał z goryczą Hugo. - A kiedy wróciłem do domu, było już o wiele za późno. Nie wiedziałem nawet, gdzie mam jej szukać. Domyślam się, że mieszka na północy.

Kit znów odwrócił się do okna, czując coraz większy zamęt w głowie. Był bliski znieważenia kobiety, która powinna znajdować się pod opieką jego rodziny. Zaciśnął dłonie w pięści w bezsilnej złości na samego siebie. Panna Beaumont potrzebowała pomocy, a nie napastowania przez mężczyznę, jednak z pewnością niczego by od niego nie przyjęła. Powiedziała przecież... Stwierdziła, że nie jest godny swego brata... A teraz...

Emma z zapałem mówiła coś mężowi.

- ...a ja z pewnością ją przyjmę - dokończyła triumfalnie. - Lady Luce nie będzie miała nic do powiedzenia w tej kwestii.

Hugo roześmiał się.

- To zdarzy się po raz pierwszy, kochanie. Zgodzisz się ze mną, Kit?

- Co? Przepraszam, Hugo, zamyśliłem się. O co pytałeś?

- Nieważne. Rozmawialiśmy z Emmą o pannie Beaumont. Emma jest zdecydowana jej pomóc, ale... muszę przyznać, że mam poważne wątpliwości.

- Tak? - Emma zachnęła się. - A to dlaczego?

- Uwierz mi, kochanie, dopilnuję, żeby ani ona, ani jej rodzina nie musieli żyć w nędzy, ale nie ma sensu, żebyś się w to angażowała. W końcu jest tylko damą do towarzystwa.

- Hugonie! Skąd u ciebie taki ton...?! - Emma urwała, pilnie wpatrując się w twarz męża. - Nigdy nie mów już cze-

goś podobnie nieprzyjemnego i nie okazuj poczucia wyższości. Widzę, że próbujesz coś przede mną ukryć. - Złożyła dłonie na kolanach, popatrzyła na męża i czekała. Usta lekko wygięła we wszystkowiedzącym uśmiešku.

Kit również czekał. Co też Hugo mógł wiedzieć na temat panny Beaumont? Czyżby coś, co mogło jej przynieść ujmę?

- Emmo, proszę cię, żebyś nie przyjmowała panny Beaumont pod swój dach... Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Hugo uniósł brwi, czekając na reakcję żony. Miał poważną, zatroskaną twarz. W końcu Emma niechętnie kiwnęła głową. - Uwierz mi, moja ostrożność nie wzięła się z niczego - ciągnął Hugo. - Powiem tylko, że widziałem ją dzisiaj rano w miejscu, w którym dama nie powinna się pokazywać.

Kit z trudem powstrzymał okrzyk zdziwienia.

- Ale przecież mogła... - zaczęła Emma, usiłując bronić przyszłej podopiecznej.

- Spokojnie, kochanie, spokojnie. Pozwól mi dowiedzieć się czegoś więcej na temat panny Beaumont. Obiecuję, że jeśli odkryję, że miała poważne powody do swoich... działań, sam będę nalegał, żebyś jej pomogła.

- Dobrze - zgodziła się Emma. - Okażę cierpliwość, skoro mnie o to prosisz. Pośpiesz się ze swoimi dociekaniem, kochanie - dodała z zawadiackim uśmiechem - ponieważ bardzo chciałabym poznać tę twoją tajemniczą pannę Beaumont.

Pomimo zatroskania Kit omal się nie roześmiał. Emma była naprawdę niesamowita. Perfekcyjnie odgrywała rolę posłusznej małżonki, tymczasem tak naprawdę...

Hugo z podziwem przyglądał się swej pięknej, upartej żonie.

- Widzisz, jak się tu przestrzega przysięgi małżeńskiej, Kit? Posłuszeństwo mężowi... ha!

Emma szybko wstała i pocałowała go w czoło, zanim zdążył podnieść się z fotela.

- Nie masz się czego obawiać, mężu - zapewniła go ze śmiechem. - Nie złamię przysięgi, w każdym razie nie zrobię tego dzisiaj, ponieważ jestem umówiona z lady Dunsmore i... - popatrzyła na złocony zegar na kominku... - okropnie się spóźnię. - Pośpieszyła do wyjścia. Kit wyprzedził ją, gotowy do otwarcia drzwi. - Do widzenia. Zostawiam cię swemu panu i władcy. Mam nadzieję, że jesteś przyzwyczajony do jego wyniosłego tonu. - Wyszła z pokoju z cichym szelestem muślinowej sukni w cytrynowym kolorze, ozdobionej kokardkami barwy żonkili. Po jej wyjściu salon wydał się pusty.

Hugo wciąż się uśmiechał, kiedy Kit powrócił i usiadł obok niego przy ogromnym kominku.

- Co za dziwny zbieg okoliczności, Hugonie, że ta młoda dama jest córką twojego przyjaciela.

- To nie tak, Kit. To jej wuj, Langley, był moim przyjacielem. Służyliśmy razem w wojsku przez wiele lat. Jej ojciec był o parę lat starszy i dopiero po pewnym czasie został przeniesiony do Dziewięćdziesiątej Piątej Brygady Strzelców, więc nie znałem go zbyt dobrze. Teraz, kiedy się nad wszystkim zastanowiłem, wcale mnie nie dziwi, że rodzina Beaumont gwałtownie zubożała. Beaumont miał skłonności do hazardu i rzadko wygrywał.

- O - zareagował Kit. To tłumaczyło, dlaczego pannie Beaumont tak bardzo zależało, by ochronić swą chlebobawczynię przed przykrymi konsekwencjami uprawiania hazardu.

- Mam wrażenie, że wiesz o pannie Beaumont więcej, niż skłonny jesteś przyznać, Kit. Domyślam się, że nie jest osobą, którą Emma powinna poznać.

- Nie, Hugo - zaprzeczył Kit - nie masz racji. Panna Beaumont jest prawdziwą damą. Dlaczego odniosłeś inne wrażenie?

Hugo podejrzliwie przyjrzał się bratu, jednak Kit był zdecydowany nie ujawniać żadnych szczegółów. Przybrał obojętny wyraz twarzy i czekał, podobnie jak Emma, aż Hugo zacznie mówić.

- Widziałem ją dziś rano w parku. Była zupełnie sama. Szybko wysiadła z powozu z zaciągniętymi roletami, wyraźnie po sprzeczce z osobą siedzącą w środku. Przypuszczam, że jej towarzyszem był mężczyzna. Nie potrafię wymyślić żadnego rozsądnego powodu, dla którego mogła się znaleźć w takiej sytuacji. Kiedy mnie zobaczyła, sprawiała wrażenie przyłapanej na gorącym uczynku.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Pamiętałem ją z balu.

- Widziałeś ją zza woalki?

Hugo rozsiadł się wygodnie i przyjrzał się bratu z ukosa.

- Wolę nie pytać, skąd wiesz, że miała woalkę. Upewniam się, że muszę dowiedzieć się wielu rzeczy na temat panny Beaumont, zanim pozwolę Emmie ją poznać.

Przeklinając się w duchu za brak rozsądku, Kit wstał i podszedł do okna, bojąc się, że za chwilę znów się z czymś wygada. Czy mógł zrobić coś, żeby naprawić sytuację? Jeśli Hugo zacznie wypytywać o pannę Beaumont, powstaną plotki, a on, Kit, będzie ponosił za nie winę. Musiał coś powiedzieć, by zyskać przynajmniej odrobinę czasu.

Odwrócił się od okna.

- Hugonie, rozumiem, że dbasz o reputację Emmy, ale nie musisz się martwić o pannę Beaumont. To prawdziwa dama, a w dodatku cnotliwa.

Hugo nie sprawiał wrażenia przekonanego.

Sprowokowany tym Kit ciągnął:

- Daję ci słowo, że jej nie uwiodłem.

- Ale się z nią spotkałeś - stwierdził z przyganą Hugo. - I to sam na sam.

Do diabła! Hugo znał Kita jak nikt inny. Nie można było go zbyć kłamstwem lub półprawdami.

- Odszukała mnie, żeby mnie prosić o darowanie długu lady Luce - wyznał śmiało.

- Teraz rozumiem. - Hugo przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ogień. - Nic w tym dziwnego... zważywszy upodobania jej ojca. Wiem też, dlaczego trzasnęła drzwiczkami powozu. Musiała być bardzo niezadowolona z odmowy.

- Była wściekła - przyznał Kit, uśmiechając się na wspomnienie jej namiętnych pocałunków oraz późniejszej złości na siebie samą o to, że okazała słabość. Nie było sensu ukrywać udziału w sprawie, jednak nie zamierzał zdradzać Hugonowi wszystkich szczegółów. - Jednakże - ciągnął - po tym, co usłyszałem od ciebie na jej temat, myślę, że powinienem spełnić jej prośbę.

- I darować dwanaście tysięcy funtów? To byłby bardzo szlachetny gest, Kit, szczególnie wzięwszy pod uwagę twoje nastawienie do lady Luce.

- Pod tym względem nic się nie zmieniło. Mam nadzieję, że będzie skręcać się ze złości, zmuszona przyznać, że Kit Stratton wspaniałomyślnie darował jej tak ogromny dług karciany. - Pokiwał głową w zamyśleniu, kątem oka obserwując reakcję brata. Twarz Hugona wypogodziła się. - Kiedy teraz o tym myślę, uważam, że warto zrezygnować z tych dwunastu tysięcy, żeby zobaczyć upokorzenie dumnej lady Luce.

Hugo skinął głową.

- Ponieważ już kiedyś rozmawialiśmy na ten temat i nie udało mi się ciebie przekonać, nie zamierzam się wtrącać. A jeśli chodzi o pannę Beaumont, to chyba powinienem...

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony? - zapytał szybko Kit.

- Oczywiście przyjmuję twoje słowo. A skoro wygląda na to, że widzieliśmy ją tylko ty i ja... No dobrze, Kit. Nie zepsuję reputacji lady bez powodu. Będę milczał.

- Nie powiesz nawet Emmie?

- Zaproponuję, żeby odwiedziła lady Luce.

Kit przeżył szczere zaskoczenie.

- Nie ośmieli się!

Hugo uśmiechnął się.

- Oczywiście, że to zrobi. Emma uzna to za wyzwanie. Spróbuje pogodzić obie rodziny i zaopiekować się panną Beaumont. Bez wątplenia w pół godziny dowie się na temat tej cnotliwej lady do towarzystwa więcej, niż ja zdołałbym w ciągu tygodnia śledztwa. Obawiam się jednak, Kit, że będziesz musiał pogodzić się z koniecznością widywania się z panną Beaumont częściej, niż miałbyś na to ochotę. Chyba że wolisz nie składać wizyt w Fitzwilliam House.

- W żadnym wypadku - odpowiedział natychmiast Kit.
- Jeśli panna Beaumont akurat będzie waszym gościem, kiedy was odwiedzę, będę musiał się przystosować.

Upewniwszy się jeszcze raz, że list do pana Strattona został należycie zapieczętowany, Marina zeszła do bawialni lady Luce. Dobrze wiedziała, co zamierza powiedzieć. Spędziła kolejną bezsenność na zastanawianiu się, czy uda jej się podstęp. Za chwilę miała się o tym przekonać.

Cicho podeszła do okna i stanęła przy fotelu lady Luce. Starsza pani miała zamknięte oczy, ale najprawdopodobniej nie spała. Było na to jeszcze za wcześnie.

- Nie stój tak, dziewczyno - powiedziała, nie unosząc powiek. - Jeszcze dobrze słyszę.

Marina stłumiła nerwowy śmiech. Musi zachowywać się naturalnie. Wyciągając list w stronę lady Luce, powiedziała:

- Przyniesiono list do pani, milady.

Lady Luce uniosła powieki, po czym wyprostowała się, sięgnęła po list i uważnie mu się przyjrzała.

- Nie poznaję tego charakteru pisma - zauważyła, podejrzliwie patrząc na Marinę. - List doręczono tego ranka?

- Nie jestem pewna - odparła Marina, która postanowiła być jak najbliższej prawdy. - Ponieważ nadawca nie zażyczył sobie odpowiedzi, posłaniec nie czekał.

- Hm. - Lady Luce złamała pieczęć i rozpostarła kartkę papieru, po czym sięgnęła po lupe.

Marina wstrzymała oddech.

- A to łajdak! - zawołała lady Luce, rzuciła papier na podłogę i wpiła szponiaste ręce w poręczę fotela. - Jak on śmie?! Raczy sprezentować mi dwanaście tysięcy funtów, ponieważ mój wysłannik go o to poprosił! Podłe kłamstwo! Nigdy nie wysłałabym tam pośrednika, choćby dlatego, żeby nie musiał podawać mu ręki! A potem uprzejmie informuje mnie, że przyjdzie tu jutro, żeby zwrócić mi skrypt dłużny. Raczej po to, by roześmiać mi się prosto w twarz! - Zaczerpnęła tchu, zmęczona tyradą.

- Mogę przeczytać ten list, milady? - zapytała od niechcienia Marina.

- Jeśli koniecznie musisz... - odpowiedziała lady Luce, lekceważąco machając ręką w stronę kartki papieru, leżącej na podłodze.

Marina podniosła list i popatrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Pewnie któryś z pani przyjaciół porozmawiał z panem Strattonem, nie pytając pani o pozwolenie - zasugerowała łagodnym tonem, patrząc, czy chlebodawczyni za chwilę

znów nie wybuchnie gniewem. - Jeśli tak się stało, to ta osoba zaoszczędziła pani mnóstwa kłopotów.

- Co za bezczelność! Jeśli odkryję, kto ośmielił się wtrącić w moje sprawy, to... - Urwała i badawczo przyjrzała się Marinie. - A dlaczego tak bronisz tego pośrednika? He?

- Nie znam pani przyjaciół, milady, więc trudno mi ich bronić. Myślałam tylko, że skoro ten dług stał się powodem sporu... pomiędzy panią a hrabią, to wielkie szczęście, że nie musi pani go spłacić.

- Szczęście? Możesz mi wierzyć, dziewczyno, że to żadne szczęście mieć dług wdzięczności wobec kogoś takiego jak Kit Stratton.

W tej akurat sprawie Marina całkowicie podzielała zdanie lady Luce.

- A jeśli ceną tego ma być to, że ten młody nicpoń będzie mnie tyranizował, to nigdy się nie zgodzę...

Drzwi otworzyły się.

- Hrabia Luce, milady - zaanonsował ochmistrz.

Lady Luce zakłęła szpetnie.

Teraz znalazłam się w opałach, pomyślała Marina.

Hrabia wszedł do salonu matki z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy. Lady Luce z pogardliwym uśmiechem patrzyła, jak pochyla się nad jej dłonią.

- Dzień dobry, mamó - powiedział uprzejmie. - Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

Nie czekając na odpowiedź, zmierzył Marinę spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie spodziewałem się, że jeszcze panią tu zastanę, pan-no... eee...

- Beaumont - podsunęła gniewnie lady Luce. - Chciałabym, żebyś wiedział, Williamie, że panna Beaumont nigdzie się stąd nie ruszy tylko dlatego, że takie masz życzenie. Jest

warta tuzina mdłych dam do towarzystwa, które tak ci się podobają. A poza tym chcę, żeby została.

Marina szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Czyżby lady Luce mówiła prawdę?

- Porozmawiamy o tym później, mamó. Na osobności - dodał hrabia z takim naciskiem, że aż zatrzęsły mu się policzki. Wziął głęboki oddech, zmuszając się do opanowania. - Teraz mamy ważniejsze sprawy do omówienia... Chodzi o twój... kłopot. Wiem, że wątpiłaś w możliwość zdobycia przeze mnie tych pieniędzy w tak krótkim czasie, ale nie miałaś racji. Przynoszę ci promesę pożyczki na sumę dwunastu tysięcy funtów. - Poklepał się po kieszeni. - Przyznaję, że kosztowało mnie to sporo zachodu. Musiałem pojechać do City, by osobiście negocjować warunki umowy... -jego niechęć do takich działań była aż nadto widoczna - ale oczywiście nie miałem wyboru. Mimo że uzyskałem pożyczkę na hipotekę mojej posiadłości, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że moja matka nie dotrzymuje honorowej umowy.

Marina czekała na nieuchronny wybuch gniewu chlebowdawczyni.

Lady Luce popatrzyła na pospolitą twarz syna. Najwyraźniej myślał, że nareszcie zyskał nad nią władzę.

- Zadałeś sobie wiele trudu, Williamie - oznajmiła lodowatym tonem. - Zupełnie niepotrzebnie. Nie zamierzam słuchać twoich pouczeń na temat honoru. Weź te dwanaście tysięcy funtów i zrób z nich dobry użytek... na przykład kup Charlotte nową suknię. Każda będzie lepsza od tego fioletowego okropieństwa, które miała na sobie zeszłego wieczoru.

- Ale przecież jesteś winna...

- Nic nie jestem winna, Williamie - oznajmiła lady Luce, nieznacznie podnosząc głos, by jej sarkazm był dobrze słyszalny. - Nie mam już długu u Kita Strattona. Doskonale po-

trafię prowadzić swoje sprawy finansowe; nie musisz się we wszystko wtrącać. A teraz wybacz mi, proszę... - Uniosła się z fotela i ruszyła do drzwi; spódnice jej sukni falowały buńczucznie, gdy mijała syna - ale panna Beaumont i ja jesteśmy umówione.

- Przecież przyjechałem...

- Życzę ci miłego dnia, Williamie - zakończyła rozmowę lady Luce, nie odwracając się w jego stronę. - Z pewnością trafisz do wyjścia. Chodź, Marino.

Marina nie śmiała spojrzeć w twarz hrabiego. Wyglądał, jakby miał dostać zawału. Trudno się temu dziwić. Lady Luce była gotowa posunąć się bardzo daleko, byle tylko zrobić na złość synowi. Nawet jeśli oznaczało to zaciągnięcie długu wdzięczności u znieawidzonego Kita Strattona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Oczywiście nie były umówione na żadne spotkanie, chociaż lady Luce kazała podstawić powóz i odbyła przejażdżkę dookoła parku, by zademonstrować Williamowi swą władzę. W czasie przejażdżki nieustannie utyskiwała na syna i nie pozostawiła suchej nitki na Kicie Strattonie. Trudno było ocenić, którego z nich bardziej nienawidziła. Marina doszła do wniosku, że zależało to od sytuacji. Lady Luce posłużyła się Strattonem, żeby zrobić na złość synowi, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swego czynu.

Marina wątpiła w to, czy lady Luce będzie w stanie się opanować w obliczu takiej prowokacji, mimo że teraz nie miała już możliwości spłaty długu. Byłoby to nawet całkiem zabawne, gdyby tak żywo nie dotyczyło Mariny. Pozostawał przecież problem sir Hugona Strattona. Marina nie otrzymała odpowiedzi na swój ostatni list do Kita. Być może po prostu zignorował jej prośbę. W końcu nie musiał jej spełniać. Przy ostatnim spotkaniu dała mu do zrozumienia, że nim gardzi... a w każdym razie miała taki zamiar.

Przypomniała sobie śmiech, który usłyszała po zatrzaśnięciu drzwiczek powozu. Tak nie reagował mściwy mężczyzna.

Powinna uzbroić się w cierpliwość i czekać na odpowiedź. Mimo wszystko była pewna, że ją otrzyma. Kit Stratton nie był mężczyzną ignorującym prośby o pomoc, szczególnie ze strony dam.

Nie miała pojęcia, skąd wzięło się u niej to przekonanie.

Nie znała go, wiedziała jedynie, że cieszy się sławą rozpustnika i że żadna z matek nie zostawiłaby swej córki w jego towarzystwie, chociaż ostatnio zyskał ogromny majątek. Lady Luce była przekonana, że Kit pozostanie uwodzicielem do końca swych dni, a skoro tytuł przeszedł na Hugona i jego synów, Kit nie miał obowiązku spłodzenia potomka. Zdaniem lady Luce, był to bardzo szczęśliwy traf, jako że nicpoń taki jak Kit Stratton nie zasługiwał na dziedzica.

Przypomniawszy sobie słowa wuja na temat Hugona Strattona, Marina nie przeżyła zaskoczenia, gdy dowiedziała się, że postanowił zabezpieczyć niefrasobliwego najmłodszego brata. Wuj George twierdził, że Hugo Stratton jest niezwykle prawy i szlachetny, a w dodatku opiekuje się ludźmi mniej hojnie obdarowanymi przez los. Dziwne byłoby więc, gdyby Kit aż tak różnił się od brata.

Jej rozmyślania przerwało gwałtowne pukanie do drzwi i polecenie natychmiastowego udania się do salonu lady Luce, gdyż pojawił się gość.

Marina była pewna, że to nie Kit Stratton. Miał przyjść dopiero nazajutrz rano. Zważywszy wzajemną niechęć między nim a lady Luce, było mało prawdopodobne, by przestąpił próg tego domu wcześniej, niż było to konieczne.

- O, jesteś, moje dziecko - powiedziała lady Luce, kiedy jej dama do towarzystwa zjawiła się w progu. Marina zauważyła, że starsza pani jest wyjątkowo pogodna.

Lady Luce zwróciła się do gościa, częściowo zasłoniętego oparciem sofy.

- Podejdź bliżej - zachęciła. - Chcę przedstawić cię lady Stratton.

Lady Stratton! Żona sir Hugona Strattona - piękna, elegancko ubrana w niebieską aksamitną suknię i kapelus

z piórami, okrywający złociste loki - siedziała we wdzięcznej pozie na adamaszkowej sofie lady Luce.

- Pozwoli pani, że przestawię pannę Beaumont, która od niedawna jest moją damą do towarzystwa - zaczęła oficjalnym tonem lady Luce. - Jest spokrewniona z Blaine'ami, ale jej rodzina pochodzi z Yorkshire. Wydaje mi się, że Londyn trochę ją przeraża po tych pustych wrzosowiskach.

Lady Stratton uśmiechnęła się do Mariny i wyciągnęła rękę.

- Och, wątpię, żeby kurz i hałas onieśmieliły pannę Beaumont - powiedziała. - Jestem bardzo zadowolona, że mogłam panią poznać. - Uścisnęła rękę Mariny gestem, który wydał się Marinie znaczący.

Popatrzyła w najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Dostrzegła w nich jedynie niewinność i cień rozbawienia. Jeśli lady Stratton przybyła tu jako wysłanniczka szwagra - a jaki mógłby być inny powód jej wizyty? - nie zamierzała tego ujawnić. Odwzajemniła uśmiech i serdeczne spojrzenie. Być może...

- Usiądź, dziecko - poprosiła ze zniecierpliwieniem lady Luce. - Nie mogę się skupić, kiedy tak górujesz nad nami.

Lady Stratton roześmiała się.

- Często marzyłam o tym, żeby być wyższą, milady - powiedziała - gdyż mój mąż lubi żartować z mojego niskiego wzrostu. Jego brat jest jeszcze gorszy, ale czego można się spodziewać po takim nicponiu jak Kit?

Lady Luce prychnęła gniewnie.

Marina zdążyła już dobrze się zaznajomić z wymownymi chrząknięciami i parsknięciami swej chlebobawczyni; nauczyła się też bezbłędnie je interpretować. Tym razem lady Luce chciała dać do zrozumienia, że całkowicie zgadza się z opinią gościa.

Lady Stratton z rozbawieniem popatrzyła na panią domu.

- Nasze rodziny rzadko się spotykają, milady - powiedziała z nienaganną uprzejmością. - Dzieje się tak po części dlatego, że spędzamy większość czasu na wsi. Jak pani wie, mój mąż nie przepada za londyńskim towarzystwem. Jednak zatrzymaliśmy się tu na pewien czas, a ja mam prośbę, żeby zaszczyliła nas pani swą obecnością na wieczorku muzycznym, który wydajemy w sobotę. - Widząc wahanie na twarzy lady Luce, lady Stratton wychyliła się w przód. - Proszę powiedzieć, że się pani zgadza. Oczywiście zapraszam też pannę Beaumont.

Lady Luce wciąż nie była zdecydowana, jednak Marina zauważyła, że starsza pani nie pozostaje obojętna na wdzięk i urok eleganckiej damy. Spojrzawszy przenikliwie na urodziwą twarz, zapytała ostro:

- Czy pani szwagier będzie obecny na przyjęciu?

W pokoju rozdzwonił się srebrzysty śmiech lady Stratton.

- Wątpię, milady. Bardzo w to wątpię. Kit rzadko odwiedza salony szanowanych dam, nawet swoich krewnych. Poza tym jego obecność odstraszyłaby większość gości.

Lady Luce nie skrywała rozbawienia. Marina roześmiała się, ośmielona otwartością i poczuciem humoru lady Stratton.

- Tak - podsumowała lady Stratton. - Wiem, że to było okropne z mojej strony, mimo że mówiłam prawdę. Czy spotkała pani mojego szwagra, panno Beaumont?

- Obawiam się, że tak - stwierdziła sucho lady Luce.

- Naprawdę? To ciekawe.

Marina zamknęła oczy, modląc się, by lady Stratton nie chciała zgłębiać tematu. Gdyby się dowiedziała, że Marina odwiedziła dom gry Mechante, natychmiast cofnęłaby zaproszenie.

- Powiedz mi, proszę, panno Beaumont - ciągnęła lady Stratton, ciepło uśmiechając się do Mariny - co sądzisz o moim szwagrze?

- Ja... ja... - Na chwilę zabrakło jej słów. - Jest bardzo przystojny - wyjąkała. - I bardzo wysoki. - Boże! Co się z nią dzieło! Zachowywała się jak podłotek! - To znaczy... jest...

Lady Stratton położyła dłoń na ręku Mariny.

- Jest pani bardzo taktowna, panno Beaumont, i jestem za to pani głęboko wdzięczna, ale proszę się nie krępować. Dobrze zdaję sobie sprawę z licznych wad Kita. Rzeczywiście jest wysoki i przystojny. Znam wiele kobiet, które mdlały na jego widok. To się dzieło przed jego wyjazdem za granicę. Dzisiaj matki zabraniają niewinnym panienkom patrzeć na Kita, w obawie, że samo spojrzenie na jego urodziwą twarz może je sprowadzić na złą drogę.

Marina nie wierzyła własnym uszom.

Lady Luce zachichotała złośliwie.

- Święta racja - powiedziała. - Kit jest zbyt przystojny, a poza tym potrafi owijać sobie kobiety dookoła małego palca. Sama byłam świadkiem niejednej sceny. Uważam go za beczelnego szczeniaka, ale muszę przyznać, że dobrze gra w karty.

Lady Stratton wstała i włożyła rękawiczki z koźlęcej skóry.

- Muszę już iść. Miło mi było z panią porozmawiać, milady. Kit ostrzegał mnie, że jest pani szczerą aż do bólu. Żałuję, że w Londynie jest tak niewiele podobnych osób. Spotkania towarzyskie potrafią być bardzo nudne, nieprawdaż?
- Wyciągnęła dłoń do starszej pani, która pokiwała głową.
- Mam nadzieję, że zobaczymy się w sobotę.

- Tak, milady - odpowiedziała lady Luce, nie patrząc na Marinę. - Jeśli przypadkiem spotkamy tam pani szwagra,

obiecuję, że nie zejdziemy na złą drogę. Kto wie, może nawet uda nam się go zmienić.

Lady Stratton pokręciła głową, uśmiechając się bezradnie.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Cały Londyn wie, że Kit Stratton jest niereformowalny.

Gospodyni Kita w Chelsea nigdy dotąd nie przestąpiła progu wspaniałych domów w zachodniej części Londynu. Nie była też pewna, czy powinna robić to teraz, jednak baronowa wydała jej ścisłe polecenia i bardzo dokładnie określiła nagrodę, którą pani Budge miała otrzymać za ich wypełnienie.

Francuska służąca, która wprowadzała panią Budge tylną klatką schodową, wydawała się bardzo pewna siebie. W przeciwieństwie do niej, pani Budge znała swoje miejsce. Służąca była tylko służącą. Osoba szlachetnie urodzona, taka jak baronowa von Thalberg, zawsze miała prawo dysponowania swymi służącymi i mogła ich zwalniać, kiedy tylko chciała. Nic dziwnego, że nieszczęśni służący musieli dorabiać sobie parę szylingów innymi sposobami. Jak przeżyliby inaczej w tych ciężkich czasach?

Pani Budge uprzejmie dygnęła w stronę pleców baronowej, która była zajęta toaletą. Bardzo zręcznie dokonywała delikatnego makijażu; nie musiała znacząco poprawiać swej niepospolitej urody. Bacznie obserwowała każdy ruch pani Budge w lustrze.

W końcu odwróciła się.

- No więc, Budge - odezwała się z europejskim akcentem - co cię tu sprowadza o tak wczesnej porze? Mam nadzieję, że sprawa warta jest kłopotu, który mi sprawiasz swą wizytą. Jestem już spóźniona na bardzo ważne spotkanie.

Gospodyni Kita nie podobał się niechętny ton, którym podszyty był zmysłowy, niski głos baronowej. Dygnęła.

- Milady - powiedziała z wahaniem - chciała pani dowiedzieć się czegoś o kobietach, które przychodzą do tego domu. Była tam kobieta... chyba dama. Odwiedziła mojego pana w sobotę...

- A dzisiaj mamy piątek - przerwała baronowa. - Przyjście do mnie z tą wiadomością zajęło ci wyjątkowo dużo czasu.

- Przepraszam, milady, ale wtedy nie wydawało mi się to ważne. Młoda dama nie jest zbyt ładna. Pan powiedział, że przysłała w interesach, a ja mu uwierzyłam. Nie widziałam innego powodu spotkania z taką tyczką grochową.

- Zabrał ją na górę?

- Nie, milady, nie. Przyjął ją w salonie na dole. Tylko tam.

- A o czym rozmawiali?

- N-nie wiem, milady. Drzwi są bardzo solidne i nie...

- Oszczędź mi żałosnych wymówek. Co jeszcze wiesz?

- Odjechała sama. Powozem. Potem, zaraz potem, przyszedł list. Myślę, że chyba od niej. W każdym razie po jej wyjściu pan wydał polecenie, żeby natychmiast dostarczono mu korespondencję. Zazwyczaj nie otrzymujemy jego listów.

Baronowa uniosła brwi, wyraźnie poirytowana.

- Potem pan przywiózł ją znowu. W środę rano, bardzo wcześnie.

- I weszli na górę? - zapytała baronowa.

- Nie, milady. Weszli do salonu zaledwie na parę minut, a potem znowu wyszli.

- Razem?

- Tak, milady.

- Aha. A jak się nazywa... ta osoba?

- N-nie wiem, milady, ale znów przysłała list. To dlatego tu przysłałam. Powiedziała pani... powiedziała pani, że będzie mi wdzięczna. Przyniosłam ten list.

- Aha - stwierdziła baronowa, wyciągając białą dłoń.

Pani Budge wyjęła zapieczętowany list z kieszeni i po chwili wahania podała go baronowej.

- Myślałam... że jak pani go przeczyta, będzie można jeszcze raz go zalakować i oddać panu - dorzuciła szybko.

- Pomyśli, że to poczta się spóźniła.

Baronowa nie słuchała. Złamała pieczęć, nie dbając o to, by nie uszkodzić papieru. Szybko przebiegła wzrokiem treść listu i odwróciła się w stronę pani Budge.

- Niestety, list nie został podpisany imieniem i nazwiskiem. Są tylko inicjały - M.B. Zastanawiam się...

Rozczarowana tą wiadomością pani Budge postąpiła krok w kierunku toaletki, wyciągając rękę po list.

- Przykro mi, że nie ma tam nazwiska, milady, ale dostarczyłam pani wszystkie informacje, o które mnie pani prosiła. Gdyby zechciała pani oddać mi ten list, to...

Baronowa uniosła kartkę papieru i starannie podarła ją na małe kawałeczki, po czym zrobiła z nich kulę i rzuciła ją w ogień.

Pani Budge z przerażeniem patrzyła na list chlebobdawcy, skrzęcający się i czerniejący w płomieniach.

- Milady...

- List nie został doręczony. Zaginął na poczcie. Nasza tajemnicza M.B. na próżno będzie czekała na ratunek, którego tak rozpaczliwie potrzebuje. Zasłużyła na to.

Pani Budge nie wiedziała, co oznaczają te tajemnicze słowa. Cóż, do diabła, mogło być w tym liście? Było już za późno na to, by się tego dowiedzieć. Powinna była otworzyć list przed doręczeniem go baronowej.

- Co mam powiedzieć swemu panu? - zapytała słabym głosem.

- Nic. Żaden list nie został doręczony. Czy ktoś oprócz ciebie wie coś na ten temat?

- Nie, milady.
- Bardzo dobrze. Jestem ci wdzięczna, Budge. Zaczekaj.
- Otworzyła szufladkę toaletki i zaczęła w niej grzebać.

Pani Budge czekała, pełna nadziei.

- Masz - powiedziała baronowa, wsuwając gwineę w wyciągniętą dłoń pani Budge.

Gospodyni Kita z zaskoczeniem popatrzyła na monetę. Spodziewała się większego wynagrodzenia za tak cenne informacje, zwłaszcza że przychodząc tutaj, ryzykowała utratę posady.

- Twoja twarz cię zdradza, Budge - powiedziała baronowa. - Byłabym bardziej hojna, gdybyś podała mi jej nazwisko albo szczegóły rozmowy. Mam nadzieję, że powiesz mi o tym następnym razem. - Uniosła srebrny dzwonek i energicznie nim potrząsnęła. - Możesz już iść. Wyjdź tak, żeby nikt cię nie widział. Jeśli dowiesz się, kim jest ta M.B., natychmiast mnie powiadom. Wtedy zostaniesz odpowiednio wynagrodzona.

Pani Budge dygnęła, a potem schowała gwineę do kieszeni. Było już za późno na zastanawianie się, czy dobrze zrobiła, zgadzając się szpiegować chlebobdawcę. Skierowała się do drzwi. Jak cień wyrosła obok niej francuska służąca.

- Zaczekaj! - To słowo baronowej zabrzmiało jak wystrzał.

Pani Budge odwróciła się posłusznie, jednak baronowa nie zwracała na nią uwagi. Podeszła do złotego biurka i zanurzyła pióro w kałamarzu. Gospodyni doszła do wniosku, że baronowa pisze list do pana Strattona i że ten list ma mu zostać doręczony, gdy następnym razem pojawi się w Chelsea. Czekała cierpliwie. Kolejna przysługa oznaczała, a w każdym razie powinna oznaczać, kolejną zapłatę.

Baronowa pisała szybko, nie zastanawiając się zbyt

nad doborem słów. Potem złożyła kartkę papieru i opatrzyła ją zwykłą pieczęcią.

- Doręcz to natychmiast, Budge.

Pani Budge popatrzyła na list. Baronowa nie skorzystała ze swego drogiego papieru listowego. Ten był chropowaty w dotyku. Poza tym...

- Ale ja nie znam tego miejsca, milady - zaprotestowała, nie zastanawiając się nad swoimi słowami. - Jak mam znaleźć tego pana Johnsona?

Baronowa uciszyła ją spojrzeniem.

- To już nie moja sprawa - odpowiedziała jadownicie. - Zaniesiesz list pod wskazany adres i oddasz go osobiście panu Johnsonowi. Nikomu innemu.

Pani Budge pokiwała głową. To zadanie wydawało się bardziej obiecujące niż czekanie, aż pan wyjawi informacje na temat M.B.

- Nie czekaj na odpowiedź. I nic nie mów panu Johnsonowi... Pamiętaj, ani słowa na temat nadawczym tego listu. Nie piśnij też słówka o sobie. Zrozumiano?

Gospodyni znów pokiwała głową. Zamierzała zastosować się do poleceń baronowej, ale jednocześnie postanowiła zrobić, co tylko w jej mocy, by odkryć tożsamość tajemniczego pana Johnsona. Potem będzie mogła sprzedać tę informację, być może nawet swemu panu.

Baronowa wręczyła jej kolejną gwineę. Pani Budge zważyła monetę w dłoni, dając tym do zrozumienia, że uważa wynagrodzenie za niewystarczające.

- Dostaniesz więcej, kiedy list zostanie doręczony.

- Ale skoro mam nie czekać na odpowiedź, to skąd będzie pani wiedziała, że...

Baronowa uśmiechnęła się leniwie. Było w tym coś niepokojącego.

- Nie musisz się o to martwić, Budge. Wkrótce będę tego pewna. O, tak. Bardzo szybko. I, jak przypuszczam, będzie o tym wiedziała także M.B.

- Przyszedł pan Stratton, milady.

Lady Luce, mająca na palcach starannie dobrane, najokazalsze klejnoty, siedziała sztywno w fotelu.

- Wprowadź go, Tibbs.

Odruchowo wstając, Marina poczuła, że uginają się pod nią kolana. Obydwoma rękami chwyciła się oparcia fotela i stała tak dłuższą chwilę, aż uznała, że kryzys minął. Kit Stratton nie może się zorientować, jak na nią działa. Przywołała uprzejmy uśmiech na twarz.

- Pan Stratton, milady - zaanonsował ochmistrz, otwórzysz drzwi.

Kit wszedł do pokoju, sprawiając, że wszystko dookoła wydało się nagle małe w porównaniu z jego władcą posturą. Wytwornie skłonił się lady Luce, a potem nieco mniej uniżenie powitał Marinę.

W odpowiedzi lady Luce nieznacznie skinęła głową, lecz się nie odezwała. Nie zaproponowała żadnego napoju i nie starała się przerwać niezręcznej ciszy, która zapadła w salonie.

- Przyszedłem w sprawie długu, milady, tak jak ustaliliśmy to przed tygodniem. O ile sobie przypominam, chodziło o dwanaście tysięcy funtów.

Chuda szyja lady Luce zaróżowiła się ledwie dostrzegalnie. Na chwilę starsza pani odwróciła wzrok, jednak zaraz się opanowała. Nie powiedziała ani słowa.

Kit Stratton wyjął kartkę papieru z wewnętrznej kieszeni wspaniale skrojonego surduta, rozłożył ją, przyjrzał się jej przez chwilę, po czym położył ją na stoliku obok fotela lady Luce.

- Pani skrypt dłużny, milady - powiedział po prostu.

Lady Luce przyjrzała mu się z widoczną niechęcią.

W milczeniu czekał na jej odpowiedź. Postanowił darować jej dług i najwyraźniej spodziewał się odrobiny skruchy ze strony przeciwniczki.

Lady Luce uniosła skrypt dłużny i zmięta go w kulę pomarszczonymi palcami.

- Mam wobec pana dług wdzięczności - powiedziała, potwierdzając te słowa nieznacznym skinieniem głowy.

Marina chciała, żeby lady Luce dała Kitowi do zrozumienia, że powinien wyjść. Wystarczyło tylko odpowiednio dobrać słowa.

Powiedz coś, błagała w duchu.

Lady Luce milczała.

Stratton omal się nie roześmiał, w każdym razie wydał niezbyt przyjemne parsknięcie.

- Rzeczywiście ma pani dług wdzięczności - rzekł. To nie była groźba, ale...

- Dwanaście tysięcy funtów - powiedziała przez ściśnięte gardło lady Luce.

- W rzeczy samej - przyznał.

- Dobrze zdaje pan sobie sprawę, że nie mam tych pieniędzy. - Lady Luce wyraźnie zmuszała się do wypowiadania słów. Rumieniec zakłopotania zniknął. Była teraz bardzo blada pod ostrym makijażem.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Dobrze zdaję sobie z tego sprawę, milady, ale cieszę się, że sama pani to przyznaje. Nie zamierzam domagać się pieniędzy. Otrzymała pani skrypt dłużny. Dług już nie istnieje.

Marina wyczuła, że lady Luce ma ochotę uderzyć Kita w bezczelnie uśmiechniętą twarz.

Popatrzył na Marinę.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa, milady, i że zdążyła się już pani zadomowić od naszego ostatniego spotkania - Marina wstrzymała oddech - u Mechante.

- Radzi sobie doskonale - rozległ się cierpki głos lady Luce. Starsza pani uniosła się z fotela, wyraźnie poirytowana faktem, że ośmielił się zauważyć jej damę do towarzystwa. - Chcę teraz się dowiedzieć, młody człowieku - ciągnęła - kim był ów pośrednik, o którym ośmielił się pan wspomnieć w swoim liście. Nikomu nie pozwoliłam działać w moim imieniu i zamierzam rozprawić się z tym nadgorliwcem przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Naprawdę? - zapytał.

Marina zadrżała. Miała nadzieję, że Stratton jej nie zdradzi.

- Obawiam się, że to będzie trudne - powiedział Kit - ponieważ nie zamierzam ujawniać jego tożsamości. Muszę mieć jakąś rekompensatę za utratę dwunastu tysięcy funtów.

Lady Luce była tak zaszokowana, że aż otworzyła usta.

Marina z trudem powstrzymała się od śmiechu. Lady Luce nie udało się stanąć w szranki przeciwko Strattonowi. Została zrzuciona z konia przy pierwszej próbie i teraz leżała u stóp przeciwnika.

- Muszę już iść, milady. Nie wątpię, że znów spotkamy się u Mechante.

Lady Luce wciąż nie była w stanie wydobyć głosu.

Popatrzył na Marinę.

- Czy może pani odprowadzić mnie do drzwi, milady?

Marina znieruchomiała, ale lady Luce, która zdążyła już trochę dojść do siebie, gniewnie kiwnęła głową.

- Odprowadź go, dziewczyno. Upewnij się, że sobie poszedł. Ta żałosna rozmowa i tak trwa już za długo. - Podniosła się z fotela i podeszła do okna.

Kit uśmiechnął się i otworzył drzwi przed Mariną.

Miała tylko parę sekund na podziękowanie mu za wstawnictwo u brata i ocalenie jej przed niesławą. Nie było czasu na staranny dobór słów.

- Panie Stratton, dziękuję panu za tak szybką reakcję na mój list. Jestem panu bardzo zobowiązana.

Kit zmarszczył czoło. Miała prawo być mu wdzięczna za zwrot skryptu dłużnego, ale nie za jego reakcję na list, która była daleka od wielkoduszności. Dlaczego panna Beaumont mówiła takie dziwne rzeczy? Oczywiście teraz, gdy oficjalnie darował dług lady Luce, nie miał już żadnej władzy nad jej damą do towarzystwa, ale nie upoważniało jej to do wypominania mu win w tak dwuznaczny sposób.

Popatrzył na nią z wyrzutem. Wyglądała bardzo niewinnie, co niespodziewanie go zirytowało. Umorzył dług ze względu na jej odwagę... i właśnie niewinność. Słowa, które przed chwilą wypowiedziała, trudno było jednak uznać za niewinne.

Nie mógł jednak jej tego wypomnieć w domu lady Luce, mimo że na to zasługiwała.

- Nie mam zwyczaju pozwalania kobietom na to, by pozostawały moimi dłużniczkami - oznajmił, siłąc się na obojętny ton.

Zaczerwieniła się gwałtownie i odwróciła wzrok. Kit zaklął w duchu. Jak mógł palnąć coś tak bezmyślnego? Nawet jej pokrętnie słowa nie usprawiedliwiały jego reakcji. Przy panie Beaumont wyraźnie tracił wyczucie. Zapewne uznała, że nawiązał do postawionego przezeń warunku umowy, i nie miało znaczenia to, że wyraźnie powiedział jej, iż nie ma zamiaru zaciągnąć jej do łóżka. Teraz stało się to tym bardziej nie do pomyślenia, jako że dziewczyna znalazła się pod ochroną jego rodziny. Przecież chyba powinna to rozumieć?

- Nie musi pani się o to obawiać, milady - powiedział

bardziej szorstko, niż zamierzał. - Nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań. Powinna pani dobrze o tym wiedzieć.

Po rumieńcu zostały czerwone plamy na policzkach. Uzmysłowały one Kitowi, że cera panny Beaumont jest nieskazitelna jak skórka dorodnej brzoskwini. Odruchowo uniósł rękę.

Panna Beaumont natychmiast się cofnęła. Palce Kita musnęły powietrze.

- Jest pan bardzo bezpośredni - powiedziała ze wzrokiem utkwionym gdzieś za jego plecami. - Obawiam się, że nie zgadzamy się pod pewnymi względami. Jako dżentelmen powinien pan pozwolić kobiecie na wyciągnięcie własnych wniosków dotyczących długu wdzięczności, nie uważa pan?

Kit zjeżył się.

- Czy...

U podnóża schodów pojawił się ochmistrz. Nie było warunków na kontynuowanie rozmowy. Kit ujął rękę panny Beaumont i uniósł ją jak do pocałunku, jednak zatrzymał się w połowie drogi, celowo wykazując się okrucieństwem.

- Jest pani zbyt łaskawa, milady. Życzę miłego dnia. Ochmistrz mnie odprowadzi. - Skłoniwszy się nieznacznie, nonszalanckim krokiem zszedł po kapelusz i rękawiczki, a potem opuścił dom, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Powiedz garderobianej, żeby przyniosła wieczorową pelerynę, Tibbs. - Ochmistrz skłonił się. - I przygotuj powóz.

- Tak jest, milady.

Marina wstała z krzesła stojącego przy ulubionym fotelu lady Luce.

- Dokąd się wybierasz, panienko?

- Chciałam pójść po kapelusz i pelerynę, skoro zamówiła pani powóz.

Lady Luce zmrużyła oczy.

- Usiądź - rozkazała oschle. - To nie będzie konieczne. Dziś wieczorem nie będziesz mi potrzebna.

- Rozumiem. - Marina nie miała prawa o nic pytać, mimo że zżerała ją ciekawość.

Lady Luce nie dała się zwieść.

- Gratuluję ci powściągliwości. Niestety, potrafię czytać z twojej twarzy. Masz rację, wybieram się do Mechante i zabraniam ci ponownie się tam pokazywać. To nie jest odpowiednie miejsce dla młodej damy.

- Ale tydzień temu...

- Tydzień temu niektórzy musieli tam pójść po naukę - oznajmiła szczerze. - Nie ma sensu rozpamiętywać tego, co się stało. Nawet Williamowi nie zarzucam ciągle tego samego - dodała nieszczerze. Marina zauważyła, że lady Luce bardzo często wypominała synowi stare sprawy.

- Nareszcie jesteś, Gibson - zwróciła się ostro do swej mocno posuniętej w latach służącej, która natychmiast okryła ramiona swej pani peleryną. - Podczas mojej nieobecności zajmij się wraz z panną Beaumont szyciem sukni. Skoro ma być gotowa na jutro, czeka was mnóstwo roboty.

- Dobrze, milady. Zaraz ją przyniosę. - Służąca dygnęła i ruszyła do wyjścia.

- Nie zapomnij o innych poleceniach, które ci wydałam - powiedziała za odchodzącą lady Luce. - Pamiętaj, że chcę zobaczyć zdecydowaną poprawę w tej materii.

Marina niczego nie rozumiała. O co mogło chodzić lady Luce?

Było już za późno, żeby o to pytać. Nadszedł Tibbs, by odprowadzić starszą panią do powozu.

Garderobiana powróciła z pudełkami na przybory do szycia, swoim i Mariny.

- Pozwoliłam sobie to przynieść, panienko. - Zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się, gdy obdarzyła Marinę uśmiechem. - Chciałam oszczędzić kłopotu.

- To bardzo miłe z twojej strony, Gibson - powiedziała Marina. Jej wzrok przyciągnął strój, przewieszony przez ramię służącej. Ta suknia nie mogła należeć do lady Luce, gdyż była zbyt lekka i zwiewna. Miała cudownie delikatną barwę brzoskwini i była przetykana złotą nicią.

Gibson wygodnie rozsiadła się na kanapie, wyraźnie rozkoszując się przywilejem korzystania z bawialni lady Luce.

- Możemy tu przez jakiś czas pracować, panienko, bo jest tu lepsze światło. Potem przejdziemy do pokoju panienki, żeby panienka mogła ją zmierzyć.

- Ta suknia jest dla mnie?

- To lady Luce panience tego nie powiedziała? - Widząc, że Marina kręci głową, uśmiechnęła się krzywo. - Milady

uwielbia robić kawały. - Obejrzała Marinę od stóp do głów przenikliwymi starczymi oczami. - To nie potrwa długo, jeśli będziemy pracować razem. Trzeba jeszcze doszyć rękawy i falbanę u dołu. - Otworzyła przybornik i zaczęła szukać odpowiednich nici. - Gdyby to była suknia w starym stylu, musiałybyśmy szyć ją przez wiele dni. Wiem, że te nowomodne wykroje są zanadto wydekoltowane, ale za to dużo, dużo łatwiejsze do uszycia.

Marina mogła tylko przytaknąć.

- A dla panienki, z panienki figurą, taki prosty krój będzie idealny. Zobaczysz panienka. Na pewno będzie panienka zdziwiona tym, co wyczaruję.

- Dobry wieczór, Kit.

Kit nie był wcale zaskoczony tym, że Mechante powitała go niemal na progu. Miała wyjątkowy dar wyczuwania, kto znajduje się w jej domu gry i gdzie będzie niezbyt mile widziana. Po tym jak ostatnio odrzucił jej zaloty, mógł spodziewać się kolejnego ataku. Nie potrafiła przegrywać.

Zmusił się do uśmiechu.

- Moja droga Mechante - powiedział lekkim, wesołym tonem - Jak to miło być powitany przez panią domu, i to już w progu. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Popatrzyła na niego błyszczącymi zielonymi oczami. Usilnie starała się go sprowokować. Nie musiała udowodniać, że to potrafi.

Uśmiechnął się z wystudiowaną uprzejmością. Nie wznieciła w nim nawet iskierki pożądania. Musiała zdawać sobie z tego sprawę. Zauważył, jak uwodzicielskie błyski w jej oczach ustępują miejsca chłodnej kalkulacji.

- Chcesz dzisiaj zagrać w faraona, Kit? - zapytała nagle.
- Jest tutaj twoja ulubiona przeciwniczka.

Kit uniósł brwi.

- Naprawdę? - Nie musiał pytać, kogo Mechante ma na myśli. - Przyznam, że jestem zaskoczony, zważywszy...

Mechante roześmiała się nieprzyjemnie.

- Zważywszy, że właśnie uwolniła się od zobowiązań z zeszłego tygodnia. To właśnie chciałeś powiedzieć?

Kit nieznacznie pokręcił głową.

- Nie. Nie chciałem powiedzieć niczego w tym stylu. Jeśli chcesz zdobyć informacje na temat moich interesów z lady Luce, musisz skierować to pytanie do niej, a nie do mnie.

Mechante nie ustępowała.

- Ojej, Kit, przecież możesz mi powiedzieć. W końcu ten dług został zaciągnięty w moim domu.

Znów przecząco pokręcił głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Nie. Jeśli lady Luce będzie chciała, bez wątpienia ci o tym powie.

- Dobrze już, dobrze - zgodziła się niechętnie Mechante.

- Jeśli w przyszłości będziesz znów chciał się z nią zmierzyć, nalegam - muszę wiedzieć wszystko. Od tej pory jest to warunek wejścia w moje progi... obowiązujący wyłącznie ciebie, Kit.

Skłonił się.

- Oczywiście wezmę pod uwagę twoje życzenie, chociaż w tej sytuacji nie mogę obiecać, że będę tu przychodził. Tak się składa, że nie mam dziś ochoty grać w faraona. Wystarczy mi pikiet. Zagraasz ze mną?

- Dziękuję, ale nie lubię pikiety. Życzę ci szczęścia. - Dygnawszy, wstąpiła na schody i zniknęła w tłumie hałaśliwie zachowujących się gości w głównej sali.

Kit w zamyśleniu wszedł na piętro i rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Korytarz był pusty. Pokój do gry

w pikietę znajdował się za głównym pomieszczeniem. Popatrzył w stronę drzwi prowadzących do sali, w której grano w faraona. Była zamknięta. Przystanął z dłonią na poręczy schodów. Mógł wejść do środka tylko po to, by zobaczyć, jak toczy się gra. Gdyby spotkał lady Luce, oparłby się pokusie zagrania przeciwko niej. Z pewnością rozpaczliwie chciałaby go pokonać, jednak nie zamierzał ulegać jej zachciankom.

Pierwsza sala była pusta. To dziwne, pomyślał Kit. Wszedł do wewnętrznej sali, w której zajęte były wszystkie miejsca. Lady Luce siedziała naprzeciwko bankiera, nieznanego Kitowi mężczyzny. Sądząc po piętrzącym się przed nią stosie monet, wygrywała. Tym razem nie była „Lady Lose”.

Kit oparł się o ścianę i obserwował grę, która wkrótce miała się zakończyć.

Kiedy odkryto ostatnią kartę, jakiś gracz, siedzący w końcu stołu, pomachał ręką w pijackim geście powitania.

- Kit, chłopie. Dołączysz do nas? Chciałbym zagrać przeciwko tobie. Jesteś bardzo szczodry.

Lady Luce nie odwróciła się, zajęta oglądaniem paznokci.

Kit oparł się o stół i położył rękę na zielonym suknie, tuż przy łokciu lady Luce.

- Dzięki, nie dziś - odpowiedział. Popatrzył na stężałą z napięcia lady Luce. Wyraźnie uparła się, by go ignorować. Nie mógł na to pozwolić.

- Dobry wieczór, milady - powiedział uprzejmie, lecz z pewną dozą nonszalancji. - Widzę, że dziś wiedzie się pani lepiej niż... poprzednio.

Lady Luce nieznacznie uniosła głowę i popatrzyła na niego z ukosa.

- Dobry wieczór, panie Stratton - powiedziała szyderczo. - Rozumiem, że nie chce pan narażać na szwank swojej reputacji przy karcianym stoliku?

- Nie widzę takiej potrzeby, mi lady. Nie muszę niczego udowadniać. Moja reputacja ma się dobrze.

- Czyżby? - zdziwiła się lady Luce, a na jej wargach zaigrał chytry uśmieszek. - Słyszałam... - Urwała, patrząc po kolei na twarze zgromadzonych przy stole, skupiając na sobie ich uwagę. - Słyszałam, że pańska reputacja trochę... ucierpiała w kwestii wierności - dokończyła pośpiesznie.

Co też miała na myśli? Co mogła słyszeć? Ciche pomruki przy stoliku dowodziły, że plotka zdążyła się już rozejść w towarzystwie.

Kit wyprostował się i skłonił afektownie. Lady Luce była bardzo niewdzięczna.

- Myślę, milady, że odpowiednia ilość złota bardzo poprawia reputację. Nie musi się pani o mnie martwić. Życzę pani dobrej nocy. - Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odwrócił się i niespiesznie się oddalił.

Stojąca nieopodal z kieliszkiem szampana w ręku Mechante uśmiechnęła się z satysfakcją.

Kit skinął głową w jej stronę, nie przystając ani na chwilę. Nie chciał, żeby którakolwiek z tych kobiet widziała choćby cień jego słabości.

Jednak pod maską nonszalancji wrzał gniew. Lady Luce zasugerowała, że nie dotrzymał wierności Katharinie. Jak śmiała? Wyglądało na to, że stara wiedźma gotowa była na wszystko, byle tylko go zranić. Posłużyła się wierutnym kłamstwem. Jeśli popełnił jakąkolwiek niewierność w stosunku do baronowej, to w grę mogła wchodzić tylko panna Beaumont. Tak, lady Luce musiała mieć ją na myśli. Pewnie jakimś sposobem dowiedziała się o jego potajemnych spotkaniach z panną Beaumont i zinterpretowała to po swojemu. Trudno było w to uwierzyć, ale nie widział innej możliwości.

Będzie musiał wyciszyć plotki, zanim dowie się o nich Katharina, a potem przekonać lady Luce, żeby...

Nie. To nie lady Luce była tu najbardziej winna. Hugo obiecał, że nikomu nie powie o tych spotkaniach. Oprócz niego nikt nie wiedział o tym, że panna Beaumont odwiedziła Kita. Poza tym istniało już tylko jedno źródło plotki, którą rozpowszechniała lady Luce... sama panna Beaumont.

Jeśli ta kobieta była na tyle naiwna, by zaufać lady Luce, wkrótce pożałuje braku dyskrecji. Kit z przyjemnością uświadomi jej, że wykazała się głupotą.

- Zagra później. I zaśpiewa. Wcale nie jest taka nieśmiała pod tym względem. Myślę, że może nawet dobrze wypaść. Wygląda dzisiaj wyjątkowo dobrze, nie uważasz, Hugonie?

Idąc za wzrokiem żony, Hugo wymamrotał coś, co mogło zostać uznane za potwierdzenie jej słów.

- Coś się w niej zmieniło. Nie potrafię powiedzieć, o co chodzi. Wygląda jakoś... młodziej - stwierdził w końcu.

- Ech, mężczyźni. - Emma roześmiała się. - Oczywiście, że wygląda inaczej. To nowe uczesanie, o wiele korzystniejsze niż ten ciasny węzeł.

- Chyba masz rację, moja droga - zgodził się Hugo. - Wygląda jak przystało na prawdziwą damę. Może chodzi o sposób poruszania. Przyciąga wzrok, mimo że nie może uchodzić za klasyczną piękność. Szkoda, że jest taka wysoka.

Emma pokręciła głową.

- Ja jestem za niska, a ona za wysoka. Trudno cię zadowolić. Ale masz rację. Niewielu mężczyzn dorównuje jej wzrostem i może spojrzeć jej prosto w oczy.

Hugo zachichotał.

- Chciałbym, żeby przyszedł tu mój braciszek Kit.

- Na litość boską, tylko nie to! Jeśli Kit się tu pokaże,

połowa dam zemdleje na jego widok i moja reputacja zostanie poważnie nadszarpnięta.

- Jesteś pewna? - zapytał łagodnie Hugo.

Emma przymknęła oczy i pokiwała głową, jakby nie chciała zgłębiać tematu.

- W takim razie, kochanie, proponuję, żebyś przygotowała się na najgorsze, ponieważ twój szwagier właśnie wszedł.

- Tylko nie to! - Stłumiony okrzyk Emmy był doskonale słyszalny w ciszy, jaka zapadła w ogromnym biało-złotym salonie Fitzwilliam House.

Kit Stratton stał w otwartych drzwiach, rozglądając się po twarzach zebranych, jakby jego nadejście było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Miał na sobie nieskazitelnie czarny strój wieczorowy, ozdobiony jedynie złotą szpilą w wymyślnie zawiązanym fularze. Sprawiał wrażenie znużonego. Nie uśmiechnął się nawet, gdy dostrzegł brata i piękną bratową. Ruszył przez zatłoczoną salę w ich stronę. Goście rozstępowali się, by go przepuścić. Niektóre starsze damy cofnęły się podejrzanie szybko, jakby w obawie, że bliskość Kita je splami. Udawał, że tego nie widzi.

Z gracją uklonił się Emmie i uniósł jej dłoń do warg.

- Moja droga Emmo - powiedział. - Przepraszam, że przyszedłem tak późno. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem?

- Dziwię się, że zdecydowałaś się przyjść na tak nudną imprezę - odparła, gdy uwolnił jej rękę.

- Zwłaszcza że Emma wcale cię nie zaprosiła, braciszku - dodał Hugo cichym tonem przeznaczonym tylko dla uszu żony i brata.

Kit uśmiechnął się.

- Może przedstawiłabyś mnie swoim gościom, Emmo? - Wiedział, że wprawi ją tym w zakłopotanie.

Jednak bratowa podjęła rękawicę rzuconą przez Kita.

- Oczywiście, bardzo chętnie, drogi szwagrze. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - Chodźmy.

Kit zauważył, że Hugo się uśmiecha. Najwyraźniej czuł, że jego żona wygra z Kitem tę potyczkę.

Emma poprowadziła szwagra prosto do lady Luce, ledwie widocznej zza otaczających ją gości. Tym razem, niestety, nie było przy niej panny Beaumont. Był zdecydowany powiedzieć jej, jak bardzo rozżłościł go jej brak dyskrecji. W dodatku bardziej zaszkodziła sobie niż jemu. Mimo wszystko nie życzył sobie, żeby jakakolwiek kobieta bez potrzeby wymieniała jego nazwisko i wtrącała się w jego prywatne życie.

- Milady, przypuszczam, że zna pani mojego szwagra, Kita Strattona?

Lady Luce niechętnie uniosła wzrok.

- Widzę, że postanowił pan wywołać kolejny skandal?

Kit ukłonił się bez słowa.

- Powinien się pan wstydzić - ciągnęła lady Luce. - Potłowa gości pańskiej bratowej nagle przypomniał sobie o umówionych spotkaniach. Zepsuje pan przyjęcie. Wspomni pan moje słowa. Czy nie mam racji, lady Blaine? - zwróciła się do towarzyszącej jej kobiety.

Lady Blaine zmieszana spojrzała na Kita.

- Pozwól, że przedstawię pani Kita Strattona - powiedziała złośliwie lady Luce, którą wyraźnie cieszyło zakłopotanie lady Blaine.

Kit z galanterią ucałował dłoń lady Blaine, po czym uprzejmie się skłonił.

- Czuję się zaszczycony, milady - powiedział spokojnie.

- Panie Stratton - odezwała się lady Blaine lodowatym

tonem. - Milady - zwróciła się do lady Luce - tak się składa, że mam inne umówione spotkanie...

- Bzdury - skomentowała opryskliwie lady Luce. - To jest muzyczny wieczór, a przyjęcie dopiero się zaczęło. Nie może pani wyjść stąd tylko dlatego, że ten młody... nicpoń zjawił się nieproszony.

Kit z trudem zachowywał powagę. Nie śmiał spojrzeć Emmie w oczy. Lady Blaine miała taką minę, jakby w pomieszczeniu coś brzydko pachniało.

- Poza tym - kontynuowała lady Luce - powiedziałaś, że za chwilę wystąpi twoja Tilly. Mam nadzieję, że ma ładny głos. Nie znoszę tych zawodzących dam, które nigdy nie wiedzą, kiedy skończyć. - Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem wspomnianej młodej kobiety. Wszyscy poszli za jej przykładem.

Panna Blaine stała przy instrumencie, ubrana w białą muślinową suknię, niezbyt korzystnie komponującą się z cerą i bardzo szczupłą figurą. Miała szeroko otwarte oczy. Stała nieruchomo i wpatrywała się w Kita. Zbyt wiele razy widział takie spojrzenie u wrażliwych młodych dam.

- Nie jestem pewna, czy da radę wystąpić - powiedziała głośno lady Luce. - Mam wrażenie, że za chwilę zemdleje... albo straci rozum

Lady Blaine gwałtownie zaczerpnęła tchu i ruszyła w stronę córki, ale było już za późno. Wielu gości usłyszało złośliwe uwagi lady Luce i patrzyło teraz w stronę dziewczyny. Przez salę przeszedł cichy pomruk. Za kilka godzin cały Londyn będzie mówił o zadurzeniu panny Blaine. Tylko ona wydawała się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się dookoła, wpatrzona w Kita. Szeroko otworzyła usta w niemym zachwycie.

Matka chwyciła ją za ramiona i delikatnie potrząsnęła. Ci-

cho wypowiedziane słowa wywarły piorunujący efekt na pannie Blaine. Zaczerwieniła się i ze zwieszoną głową pozwoliła matce wyprowadzić się z sali.

Lady Luce chrząknęła wymownie.

- Nie znoszę takich mimoz i zadzierających nosa matek - zauważyła. - Szczególnie tych, którym nigdy nie zdarzyło się przegrać przy karcianym stoliku.

Emma szybko odwróciła wzrok, starając się ukryć rozbawienie.

- Proszę mi wybaczyć, milady - powiedziała - ale muszę znaleźć kogoś na miejsce panny Blaine. Miała teraz zaśpiewać.

- Z powodzeniem może to zrobić Marina - stwierdziła jakby od niechcienia lady Luce, przytrzymując Emmę za ramię. - Na pewno nie przyniesie mi wstydu. Gdzie ona się podziewa?

Marina? Niezwykłe imię. Czyżby lady Luce miała na myśli swą damę do towarzystwa? Kit nie poznał dotąd imienia panny Beaumont, jednak z pewnością zaczynało się ono na „M”.

Emma rozglądała się po sali. Po chwili wskazała w stronę Mariny.

- O, tam, milady. Jeśli pani pozwoli, poproszę ją, żeby nam coś teraz zaśpiewała.

Kit patrzył, jak Emma przeciska się przez tłum, zamieniając po drodze parę zdań. Urodziwa i pełna wdzięku bez wysiłku zyskiwała ludzką przychylność. Hugo mógł uważać się za szczęściarza.

Przystanąła obok wysokiej damy, niemal niewidocznej zza filaru. Była ubrana w zwiewną różowo-żłocistą suknię. Z upiętymi wysoko włosami sprawiała wrażenie jeszcze bardziej postawnej. Po chwili wynurzyła się z cienia i porusza-

jąc się z gracją, spokojnie podeszła do instrumentu. Kit nie mógł oderwać od niej oczu. Wydawała się płynąć przez salę.

Dopiero gdy usiadła do fortepianu, jej twarz znalazła się w kręgu światła. Panna Beaumont nie mogła uchodzić za piękność, było w niej jednak coś, co przyciągało wzrok. Wyglądała...

Kit nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Dostrzegł w panie Beaumont coś, czego nie zauważył wcześniej mimo ogromnego doświadczenia. Było to bardzo dziwne.

A potem zaczęła grać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Panna Beaumont grała pięknie. Fortepian zdawał się śpiewać pod jej palcami. Kit był bardzo poruszony jej występem, chociaż robił wszystko, by ktoś obserwujący go odniósł wrażenie, że potwornie się nudzi. Reputacja panny Beaumont mocno by ucierpiała, gdyby w towarzystwie zorientowano się, że Kit Stratton jest nią zainteresowany.

Utrzymywanie beznamiętnego wyrazu twarzy stało się jeszcze trudniejsze, gdy Marina zaczęła śpiewać, jako że jej głos był jeszcze bardziej porywający niż gra. Kit usiłował sobie przypomnieć, czy kiedy coś do niego mówiła, czyniła to tak melodyjnie, niemal pieśczołwie. Uznał, że nie. Nie znał ani słów, ani melodii pieśni. Śpiewała o pięknie natury, o otwartych, dzikich przestrzeniach, takich jak w jej rodzinnych stronach w Yorkshire, jak przypuszczał, i o radości życia. Miał wrażenie, że czuje zapach wrzosów. Poza tym panna Beaumont wyglądała pięknie, najwyraźniej odmieniona pod wpływem muzyki. Wydawało mu się to nieprawdopodobne. Zupełnie zapomniał o tym, że jeszcze niedawno chciał ją zawstydzić i złać za brak dyskrecji.

Kiedy skończyła się pierwsza pieśń, Emma położyła rękę na ramieniu Kita.

- Jak możesz? Słuchasz tak wspaniałego koncertu, a nawet się nie starasz ukryć znudzenia. Czyżby słoń nadepnał ci na ucho? Czy po prostu jesteś troglodytą?

Kit popatrzył na rozpromienioną twarz Emmy. Nie mógł

wyjawić prawdy nawet bratowej. Dookoła było zbyt wielu ludzi, którzy mogli ich podsłuchać. Jednocześnie nie chciał pleść bzdur i kłamać na temat śpiewu panny Beaumont. To byłoby niegodne dżentelmena.

- Wybacz mi, moja droga - odparł. - Obawiam się, że byłem myślami gdzie indziej. Nie słuchałem. Ale skoro uważasz, że panna... eee... że ta dama śpiewała wspaniale, to oczywiście się z tobą zgodzę. Niegrzecznie byłoby twierdzić co innego.

Emma trzepnęła go wachlarzem w dłoń.

- Niegrzecznie! - zawołała, powstrzymując śmiech. - Ta dama nazywa się Beaumont... zdaje się, że zapomniałeś. A ty naprawdę nie powinieneś przychodzić na wieczorki muzyczne, jeśli nie jesteś przygotowany na słuchanie śpiewu i gry.

Kit skłonił się, udając skruszonego.

Emma nie dała się nabrać.

- Za karę, drogi szwagrze, będziesz mi towarzyszył w słuchaniu drugiej pieśni panny Beaumont. A na końcu poproszę cię o opinię na temat muzyki i jej wykonawczyni.

Kit jęknął teatralnie, jednak nie wykręcił się od zleconego zadania. Niedbale oparł się o kolumnę, udając brak zainteresowania.

Druga pieśń panny Beaumont zasadniczo różniła się od pierwszej. Tym razem Marina zaśpiewała włoską balladę, bardzo modną w Wiedniu, nadając jej jednak zdecydowanie żywsze tempo, tak że znany utwór zmienił się nie do poznania - stał się wesoły, porywający i pełen życia. Kit zastanawiał się, czy panna Beaumont zdaje sobie sprawę z tego, że śpiewając, ujawnia nieznaną dotąd część swojej osobowości. Pod maską powagi i surowości kryła się zupełnie inna osoba, kobieta pełna życia i radości.

Słuchając jak urzeczony, doszedł do wniosku, że musi poznać tę odmienioną pannę Beaumont. Surowa dama do towarzystwa nigdy się nie śmiała. Nadszedł czas, by ją tego nauczyć.

Marina ukłoniła się, dziękując za oklaski. Wiedziała, że wypadła dobrze, mimo że od czasu przybycia do Londynu nie miała okazji do regularnych ćwiczeń. Zaryzykowała z tą pierwszą pieśnią, żywiąc nadzieję, że nikt z towarzystwa nie zapyta o nią, nie chcąc przyznać się do tego, że jej nie rozpoznał. Marina uśmiechnęła się na tę myśl. Była to ulubiona piosenka jej babci, napisana specjalnie dla niej przez Marinę, więc miała prawo wykonywać ją, kiedy tylko chciała.

Natychmiast znalazła się przy niej lady Stratton.

- Panno Beaumont, to było wspaniałe - powiedziała, ścisnąc rękę Mariny. - Wzruszające. Nawet Kit nie pozostał obojętny.

Marina podążyła za wzrokiem pani domu. Kit Stratton wciąż nonszalancko opierał się o kolumnę. Można było powiedzieć o nim wszystko, ale na pewno nie to, że występ go poruszył. Ilekroć Marina spoglądała w jego stronę, a bardzo się starała, by nie czynić tego nieustannie, sprawiał wrażenie znudzonego.

Wątpliwości Mariny musiały być dobrze widoczne, gdyż lady Stratton zapytała bez ogródek:

- Nie wierzysz mi? Chodź, to się przekonasz. - Otoczyła Marinę ramieniem i zaprowadziła ją do Kita. - Powiedziałam pannie Beaumont, że bardzo podobał ci się jej śpiew, ale nie udało mi się jej przekonać.

Stratton popatrzył na bratową spod zmrużonych powiek. Marina wyczuła, że wcale nie jest zadowolony z jej obecności.

- Panno Beaumont - rzekł, skłoniwszy się lekko. - Gratuluję pani występu. Nigdy jeszcze nie słyszałem tego włoskiego utworu wykonywanego w ten sposób. Był bardzo... zabawny.

Marina nie spodziewała się wylewnych pochwał z ust Kita Strattona, jednak teraz żałowała, że w ogóle się wypowiedział. Traktował ją protekcjonalnie. Była mu wdzięczna, że namówił swego brata do milczenia na temat spotkania w parku, nie mogła jednak pozwolić na to, by odnosił się do niej z lekceważeniem. Jeśli wierzyć słowom lady Luce, tak właśnie zachowywał się wobec swoich kobiet, jednak Marina nie zamierzała zostać zaliczona w ich poczet. Stratton powinien to sobie uświadomić.

Emma przedziła odpowiedź Mariny.

- O Boże! Ciotka Wrenne daje mi jakieś znaki. Obawiam się, że może to oznaczać tylko jedno... że dostrzegła jakieś niedociągnięcia w przygotowaniu wieczoru. - Uśmiechnęła się ciepło do Mariny. - Proszę mi wybaczyć, panno Beaumont. Kit zabawi panią rozmową w czasie mojej nieobecności.

Zapanowała cisza. Marina zastanawiała się nad pretekstem, który pozwoliłby jej uwolnić się od towarzystwa Strattona. Nie mogła tak po prostu odejść. Mimo to...

- Czy mogę zapytać o pani pierwszą pieśń, panno Beaumont? Najwyraźniej coś jest nie tak z moją edukacją, bo nie mogę sobie przypomnieć, co to za utwór.

Co mogła mu powiedzieć? Gdyby zwierzyła mu się, że sama ją skomponowała, bez wątplenia poczułby się zobowiązany do skomplementowania jej talentu, zmuszając się do kłamstw. Wyobrażała sobie, jak by się zachował. Zapewne badałby - z tym swoim nieznośnym poczuciem wyższości - czy Marina docenia fakt, że wielki Kit Stratton poświęcił

jej chwilę uwagi i zastanawiał się, czy warto się z nią prze-
spać.

Dlaczego akurat to przyszło jej do głowy?

Zapewne miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki na nią patrzył. Przyglądał jej się bardzo uważnie oczami bardziej niebieskimi, niż to zapamiętała. Niewiele widziała w mroku panującym w powozie. Tutaj, w blasku kilkudziesięciu świec, wszystko wydawało się inne.

Marina bezwiednie uniosła dłoń do warg, jakby przypominając sobie smak pocałunku Kita Strattona. Jak mogła zrobić coś podobnego? Poczowała, że oblewają ją fala gorąca, mimo że jej suknia miała głęboki dekolt. Szybko spłótła dłoń, by nie uczynić żadnego niespodziewanego gestu.

- Dobrze się pani czuje, milady? - spytał uprzejmie Kit, nie zważając na jej milczenie. - W tej sali jest bardzo duszno. Może chciałaby pani zaczerpnąć powietrza?

Czyżby proponował, że wyjdzie z nią na dwór? To niemożliwe. Publiczna zgoda na tete-a-tete z Kitem Strattonem zrujnowałaby ją na dobre.

- Czuję się... całkiem dobrze, dziękuję. - Dzięki Bogu, odzyskała panowanie nad głosem. - Nie muszę wychodzić na powietrze.

- Czyżby? - Uniósł brwi. - Zastanawiam się, czy nie odpowiada pani powietrze, czy towarzystwo, milady.

Marina, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, położyła mu dłoń na rękawie surduta w geście pocieszenia.

Gwałtownie cofnęła rękę i zaczerpnęła tchu. Pod gładką tkaniną wyczuła twarde mięśnie, gorące ciało. Miała wrażenie, że dotknęła nagiej skóry.

Tym razem spłonęła rumieńcem aż po nasadę włosów. Oddychała z trudem.

Oczywiście Kit był spokojny i opanowany. Pal go licho!

Po dłuższej chwili ukłonił się z nienaganną uprzejmością.

- Czy pozwoli mi pani przynieść coś do picia?

- J-jestem trochę spragniona po śpiewaniu - odpowiedziała.

Kiwnął głową.

- Szampan?

Pokręciła głową. Jak zwykle w chwilach zdenerwowania obracała pierścionek na palcu.

- Rozumiem. W takim razie przyniosę lemoniadę. Wrócę za chwilę.

Marina została sama. Przebywanie w towarzystwie Kita Strattona było bardzo niebezpieczne. Nie potrafiła oderwać się od myśli o ciepłe jego ciała i smaku warg. Wbrew sobie chciała, żeby to wszystko zdarzyło się jeszcze raz. Tutaj! To było szaleństwo. Ten mężczyzna przebierał w kochankach jak w uleżałkach, najpiękniejsze kobiety w Europie ścieliły mu się do stóp. Pocałował Marinę tylko po to, by udowodnić sobie, że wszystko mu wolno i że kolejna kobieta nie oprze się jego urokowi.

Podszedł do niej nie Kit, a Hugo Stratton. Wmawiała sobie, że jest z tego zadowolona. Kit Stratton był przystojny, czarujący, ale zimny jak lód. Kobiety szalały na punkcie jego urodziwej twarzy, tak jak zdarzyło się to pannie Blaine. Na szczęście Marinie udało się od tego uchronić.

- Panno Beaumont - zwrócił się do niej serdecznie Hugo, podając jej kielich zimnej lemoniady - proszę mi wybaczyć, że zająłem miejsce brata. Bardzo chciałem porozmawiać z panią tego wieczoru i powiedzieć jej, jak wysoko ceniłem sobie przyjaźń jej wuja, a także ojca, chociaż nie znałem go aż tak dobrze. Po bitwie zamierzałem napisać do pani matki, ale... okazało się to niemożliwe. Proszę mi wierzyć, że jest mi bardzo przykro z tego powodu. Czy wolno mi zapytać,

jak miewa się pani matka? Wiem też, że ma pani młodszego brata...

- To był bardzo interesujący wieczór... mimo nieobecności baronowej. Muszę przyznać, dziecko, że wypadłaś bardzo dobrze. Wszyscy tak mówili.

Marina była pogrążona we własnych myślach, jednak uwaga lady Luce wyrwała ją z zadumy.

- Wszyscy z wyjątkiem pana Strattona - powiedziała ostro, po czym, chcąc ratować sytuację, szybko dodała: - Nie wiem, czemu w ogóle przyszedł na muzyczny wieczór. Sprawiał wrażenie śmiertelnie znudzonego. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby udąć zainteresowanie.

Lady Luce krytycznie przyjrzała się Marinie, ale nie skomentowała jej wypowiedzi. Po chwili zmieniła temat.

- Zauważyłam, że długo rozmawiałaś z sir Hugonem. Jemu na pewno bardzo podobał się twój występ. Słyszałam, jak to mówił.

- Był bardzo uprzejmy, milady. Rozmawiał ze mną o moim ojcu i wuju, który był jego wielkim przyjacielem. Mówił, że bardzo żałuje, iż stracił kontakt z rodziną wuja George'a. Chce napisać do mamy i... och, milady, mówi, że będzie w stanie zapewnić utrzymanie Harry'emu, kiedy tylko zostanie wyświęcony. Nie wyobraża sobie pani, ile to dla nas znaczy. To po prostu cudowne.

Lady Luce uniosła brwi.

- Myślałam, że twój brat dostał już propozycję utrzymania - przypomniała lodowatym tonem - od zaprzyjaźnionego duchownego z Londynu. Jego żona napisała do ciebie list.

Dlaczego tak głupio kłamała? - skarciła się w duchu Marina.

- Ta rodzina wyjechała z Londynu. Nie wspomniałam

o tym, milady? - zaczęła Marina, wyężając umysł w celu spreparowania wiarygodnej historyjki. - A poza tym... nie była to do końca obietnica utrzymania, chociaż... można było mieć nadzieję. Tymczasem propozycja sir Hugona - ciągnęła pewniejszym już tonem - jest bardzo konkretna. Mam pozwolenie sir Hugona napisania o tym do mamy i Harry'ego. Zrobię to, gdy tylko dojedziemy do domu.

Emma z westchnieniem ulgi usiadła w ulubionym fotelu i na chwilę zamknęła oczy.

Hugo uśmiechnął się do niej z czułością.

- Twój wieczorek był bardzo udany, kochanie - powiedział. - Jestem pewien, że gdybyś tylko zechciała, stałabyś się jedną z najlepszych pań domu w towarzystwie.

Emma przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

- Ciotka Augusta jest zupełnie odmiennego zdania. Obwiniała mnie za okropne zachowanie Tilly Blaine. Nalegała, żebym koniecznie zajęła się tą sprawą. Przyznaję, że nie miałam pojęcia, co zrobić, skoro matka dziewczyny była tuż obok.

- Ciotka WARENNE bez wątpienia była zaskoczona pojawieniem się Kita. Miałaś dużo szczęścia, że nie pokazała mu drzwi.

Kit odwrócił się od okna, przez które obserwował powozy w świetle pochodni. Uśmiechnął się.

- Ciotka Emmy przeraża większość mężczyzn, ale odkryłem, że łagodnieje przy bliższym poznaniu.

- Nawet ciotka Augusta nie jest odporna na wdzięk twojego brata, Hugonie. Powinno się go zamknąć. Stanowi zagrożenie dla kobiecego rodu.

Kit skłonił się teatralnie.

- Uznaję to za komplement, moja droga bratowo.

Emma przybrała poważny wyraz twarzy, jednak po chwili się roześmiała.

- Jesteś niemożliwy! - zawołała. - Kit, co mam robić, kiedy dziewczęta w rodzaju Tilly Blaine mdleją na twój widok?

- Zignorować je - odpowiedział szorstko. - Tak jak ja to robię. Po spędzeniu paru minut na zimnej, twardej podłodze, odzyskują rozum.

Emma z rozpaczą pokręciła głową.

- Jesteś bez serca. Pewnego dnia przekonasz się, jak to jest, kiedy podziwiamy kogoś, kto nie odwzajemnia naszych uczuć. Zasłużyłeś sobie na to.

- Skoro nie mam serca, jak sugerujesz, moja droga Emmo, nie będę w stanie doświadczyć podobnych uczuć.

- Nie lubię mężczyzn dzielących włos na czworo.

Hugo uśmiechnął się do brata.

- Lepiej podaj Emmie kieliszek wina, Kit. Uklęknij przy tym, a może wybaczy ci twoje impertynencje.

Kit roześmiał się.

- Wino, koniecznie wino - mruknął, nalewając trzy kieliszki.

Kiedy podszedł do Emmy, popatrzyła na niego, jednak nie przyklękła, tylko skłonił się afektownie, jak dandys. Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem, ale sięgnęła po kieliszek.

- Hugo powinien się już przyzwycząić do tego, że nigdy nie słuchasz jego dobrych rad.

- To nonsens - powiedział stanowczo Kit. - Skorzystałem z jego rady, żeby przyjść na twój wieczorek.

- Co? Hugonie, ty zdrajco!

- Bardzo się cieszę, że przyszedłem. To był wspaniały wieczór. Bardzo podobały mi się niektóre występy... mimo że mam drewniane ucho - rzekł Kit.

Emma posłała mężowi mordercze spojrzenie. Hugo zachowywał się jak chodząca niewinność.

Kit uśmiechnął się chytrze.

- No, szwagierko, nie bądź zła. Hugo tylko starał się przekonać towarzystwo do mojej osoby. Wydaje mi się, że on wierzy, nie wiem dlaczego, że mogę zostać zaakceptowany, jeśli będę się dobrze zachowywał na podobnych przyjęciach.

- Towarzystwo zaakceptuje każdego mężczyznę o odpowiednim pochodzeniu i majątku - stwierdził cynicznie Hugo. - Teraz, kiedy stałeś się dobrą partią, twoje skandaliczne wybryki zostaną uznane za grzechy młodości.

Kit nie odezwał się, chociaż wiedział, że brat ma rację. Niedawno zdobyty majątek wiele zmieniał.

Emma w zamyśleniu popijała wino.

- Zamierzasz spełnić oczekiwania londyńskiej socjety, Kit?

- Jeśli chodzi o żonę?

Emma zarumieniła się.

- Tak. Mówiłeś...

- Mówiłem, że nie mam zamiaru się żenić, a sceny takie jak ta z panną Blaine nie pomagają mi w zmianie stanowiska. Jak normalny człowiek mógłby mieć ochotę zakuć się w kajdany z tak głupiutkim stworzonkiem?

- Pewnie nie oceniałbyś jej tak surowo, gdyby była piękną. To nie jej wina, że jest chuda i pospolita.

- To wszystko prawda, ale nie musi aż tak podkreślać braku urody. Kobieta może być chuda i pospolita, a jednak prezentować się interesująco.

Emma przechyliła głowę.

- Masz na myśli naszą muzykalną pannę Beaumont? Przyznaję ci rację. W tej pięknej sukni i w nowym uczesaniu

wyglądała... no, może nie pięknie, ale... - Szukała odpowiedniego słowa.

- Fascynująco? - odpowiedział cicho Kit.

Emma nie odpowiedziała od razu.

- Tak - stwierdziła po chwili. - Rzeczywiście było w niej coś fascynującego. Szczególnie gdy śpiewała.

Kit nie odezwał się.

- Myślę - wtrącił się Hugo - że panna Beaumont ma różne ukryte talenty. Nie powiedziała tego wprost, ale wygląda mi na to, że jej rodzina popadła w bardzo poważne tarapaty po śmierci ojca. Pani Beaumont musiała przyjąć uczniów. Jest też syn, studiujący w Oksfordzie... jego edukacja musi być bardzo kosztowna. Nic dziwnego, że panna Beaumont przyjęła posadę damy do towarzystwa. Rodzina potrzebuje jej pieniędzy.

- Ale pomożesz im, Hugonie?

- Już to obiecałem, kochanie. Powiedziałem pannie Beaumont, że zapewnię jej bratu utrzymanie, kiedy tylko zostanie wyświęcony. Gdybyś widziała jej wyraz twarzy...

- A jakie przychody mu obiecałeś? - zapytał uprzejmie Kit.

- Oczywiście ze Stratton Magna - odpowiedział Hugo.

- To posiadłość przynosząca największy dochód, a poza tym jedyna wolna, więc...

- Myślę, że się pomyliłeś, braciszku - rzekł cicho Kit. - Możesz być głową rodziny, ale Stratton Magna należy do mnie.

Przez chwilę Hugo sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego.

- Masz rację - przyznał w końcu, zakłopotany, i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Jednak jesteśmy coś winni rodzinie Beaumont. Pozwoliliśmy... to znaczy pozwoliłem, żeby je-

dyna krewna mojego przyjaciela Langleya przez prawie dziesięć lat żyła w nędzy. Zapewnienie Harry'emu przychodów ze Stratton Magna pozwoli jego rodzinie wydostać się z ubóstwa, i to bez nachalnej dobroczynności. Chcesz, żebym cofnął tę propozycję?

Kit popatrzył na brata, potem na Emmę. W jej pięknych oczach malowało się zatroskanie. Uśmiechnął się.

- Nie, Hugo. Nie chcę. Czy zastanowiłeś się jednak, jak zareaguje panna Beaumont, kiedy się dowie, że ma wobec mnie dług wdzięczności?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W drodze do Fitzwilliam House Marina wygodnie oparła się o aksamitne poduszki w powozie lady Stratton. Dama do towarzystwa nieczęsto mogła cieszyć się takim luksusem.

Zamknęła oczy, rozkoszując się chwilą. Lady Stratton i sir Hugo okazali się niezwykle życzliwi dla ubogiej dziewczyny z Yorkshire. Lady Stratton udało się ubłagać lady Luce, by pozwoliła Marinie odwiedzać rano Fitzwilliam House, a poza tym zaprosiła Marinę na dwa kolejne przyjęcia. Początkowo lady Luce trochę się krzywiła, jednak wkrótce przyznała, że nie będzie wtedy potrzebowała swej towarzyszk, gdyż te wieczory spędzi w domach gry, niedostępnych dla dobrze wychowanych młodych panienek.

Marina nie wiedziała, jak lady Stratton udało się tego dokonać, jednak efektem jej działań było to, że życie Mariny w Londynie zaczęło toczyć się trybem odpowiednim dla damy. Dysponowała też odpowiednimi strojami, jako że lady Luce beztrąsko wydała spore pieniądze u krawcowej. Mogła tam do woli wybrzydzać na nieprzyzwoitą współczesną modę, jednak trzeba przyznać, że obstało wała suknie, w których Marina prezentowała się nader korzystnie.

Uśmiechnęła się, popatrzawszy na ciemnoniebieską pełerynę. Bardzo cieszyła ją możliwość noszenia ubrań w żywych barwach, wykonanych z materiałów pierwszorzędного gatunku, chociaż jej krawcowa nie należała do najbardziej wziętych w Londynie. Nie miało to jednak znaczenia. Dla

Mariny to wszystko i tak było jak bajka. Lady Luce posunęła się aż do tego, że zabroniła jej chodzić w szarościach i brązach, więc Marina szybko spakowała wszystkie swoje suknie z Yorkshire, zamierzając oddać je do przytułku. Czuła się z tego powodu trochę winna, mając świadomość tego, jak ciężko pracowała jej matka, by zdobyć pieniądze na te stroje, a poza tym suknie mogły jej się jeszcze przydać, gdyż w przypływie złego humoru lady Luce w każdej chwili mogła nakazać jej powrót do domu.

Westchnęła, przypomniawszy sobie urodziwą twarz Kita Strattona. Widziała, jak wesoło rozmawiał z lady Stratton. Przypominał wtedy normalnego mężczyznę, a nie podłego rozpustnika, którym był w istocie. Powinna nim pogardzać.

Jednak nie była w stanie.

Chciałaby móc potępić go za życie pełne nieprawości i próby wciągnięcia jej w bagno.

Nie potrafiła.

Była współwinna. Spotkała się z nim sam na sam. Odwiedziła go w domu. Czuła słodką bezwolność w jego ramionach...

Kit Stratton ją pocałował. I od tej chwili była zgubiona.

- O, panna Beaumont! - Kit przystanął w drzwiach do pokoju bratowej. - Co za... miła niespodzianka.

Marina niepewnie uniosła się z fotela. Dlaczego Kit musiał pojawić się akurat teraz, jakby wyłonił się z jej marzeń? I dlaczego lady Stratton jeszcze nie przyszła? Nigdy nie pozwalała na siebie czekać.

Czekał, aż Marina się do niego odezwie. Wyraźnie bawiło go jej zmieszanie.

Wyprostowała się.

- Otrzymałam pozwolenie na odwiedzanie lady Stratton rano, kiedy lady Luce mnie nie potrzebuje.

- Panno Beaumont - powiedział Kit swym głębokim, fascynującym głosem, który przyprawiał ją o mrowienie w kończynkach palców - pozwoli pani, że ją ostrzegę, iż spieranie się z Emmą, kiedy coś sobie postanowi, nie ma sensu. Jeśli uznała, że nasza rodzina ma dług wobec pani rodziny, radziłbym po prostu się z tym pogodzić.

- Naprawdę? - zapytała i zamilkła, bojąc się własnej reakcji.

- Naprawdę. - Objął ją spojrzeniem. Odniosła wrażenie, że dopiero teraz zauważył zmianę jej wyglądu.

- Lady Stratton zaproponowała grę na cztery ręce. Nie wspomniała, że spodziewa się gości.

- Bo też się nie spodziewała. Brat męża, panno Beaumont, to nie gość.

Marina nie odezwała się. Kit najwyraźniej miał ochotę trochę się z nią podroczyć.

- Ale tak się składa, że istotnie nie mogła się mnie spodziewać. Przyjechałem tu, żeby zabrać Hugona do hali bokserskiej Jacksona. - Popatrzył na nią uważnie. - Nie krzywi się pani, słysząc o takich upodobaniach? Zapewniam panią, że Emma nie byłaby zadowolona.

Marina popatrzyła mu w oczy.

- Mam brata. Takie rzeczy przestały mnie dziwić już dawno temu.

- Aha, teraz rozumiem.

Czuła się tak, jakby pogłaskał ją po głowie. Nagle ogarnęła ją ochota, żeby go uderzyć albo kopnąć, tak jak w jego domu w Chelsea, kiedy... Dlaczego ciągle powracała myślami do tego wydarzenia?

- Och, bardzo przepraszam, że musiała pani na mnie cze-

kac! - zawołała lady Stratton, wpadając jak burza do salonu.

- Byłam... Kit! Co tu robisz o tej porze?

- Nic ważnego. Wybierałem się do hali Jacksona. Obiecałem, że zarekomenduję przyjaciela. Pomyślałem, że może Hugo chciałby mi towarzyszyć. Minęło już sporo czasu, odkąd toczyliśmy walki.

Lady Stratton skrzywiła się.

- To jest jedna ze smutnych spraw tego świata, panno Beaumont, że kobiety muszą znosić bardzo nieciekawe upodobania swoich mężczyzn. Zupełnie nie rozumiem, co za przyjemność mogą czerpać z faktu, że traktują się nawzajem jak worki treningowe? - Popatrzyła na szwagra. - A ty mi się tu nie uśmiechaj! Idź już sobie! Możesz kontynuować rozmowę z Hugonem.

Skłonił się jej jak najwytworniej.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, droga bratowo. - Zwrócił się do Mariny. - Panno Beaumont, niech mi wolno będzie powiedzieć, że jestem zachwycony tym, iż lady Luce daje pani odrobinę wolnego czasu. Nie wiem tylko, czy dokonuje pani właściwego wyboru, spędzając te chwile w towarzystwie mojej bratowej... - lady Stratton wydała okrzyk oburzenia - ale to nie moja sprawa. Życzę miłego dnia, milady.

Szybko zamknął za sobą drzwi. Książka rzucona przez lady Stratton uderzyła w miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się głowa Kita.

- Co za podlec! - krzyknęła, lecz w jej głosie pobrzmiwały wesołe nuty.

Marina nie wygłosiła żadnej uwagi. Zmusiła się do uśmiechu. Lady Stratton mogła się śmiać z dowcipów brata męża, jednak Marina znała jego skamieniałe serce. Był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Widziała, jak sprytnie doprowa-

dził lady Luce na skraj finansowej ruiny, a potem próbował doprowadzić Marinę...

No właśnie, dokąd?

Hugo pokręcił głową.

- Obawiam się, że nic z tego, Kit. Mam dziś rano spotkanie, którego nie mogę odwołać, ale chętnie skorzystam z następnej okazji. Jackson wyśmiewa mnie, bo nie mam kondycji.

- W takim razie - powiedział Kit - cieszę się, że nie możesz mi towarzyszyć. Co za pożytek miałbym z brata, który nie byłby w stanie stawić mi czoła?

Hugo uśmiechnął się.

- Umówmy się na walkę za tydzień. Wtedy obiecuję, że nie pójdzie ci ze mną łatwo.

Kit wyciągnął rękę.

- Zgoda - powiedział. - Pięć gwinei dla zwycięzcy? - Podali sobie dłonie.

- Kit, chciałbym cię o coś zapytać. - W głosie Hugona pojawiło się raptem wahanie. - Słyszałem... Słyszałeś ostatnio jakieś plotki?

Kit uniósł brwi.

- Musisz wyrazić się jaśniej, Hugo. Cały czas docierają do mnie różne plotki. O co chodzi tym razem?

- O... twoją austriacką przyjaciółkę.

W takim razie nie o Marinę. Co też Hugo mógł usłyszeć na temat Kathariny? Kit głośno westchnął.

- Aha. Nie słyszałem, ale mam nadzieję, że powiesz mi, o co chodzi.

- Nie zrobiłbym tego, ale ona... Nie zasługujesz na to, żeby ta kobieta wystawiała cię na pośmiewisko.

Kit czuł już, co się święci. Wzbierał w nim gniew, przede wszystkim - niesprawiedliwie - na Hugona jako na zwiastu-

na złych wiadomości, a także na Katharinę za to, że była ich przyczyną. Nie dał jednak po sobie poznać, jak bardzo cierpi jego duma.

- Możesz mi wszystko powiedzieć, Hugonie - oznajmił.
- Nie próbuj oszczędzić mi przykrości. Uczucia nie wchodzi tu w grę.

Hugo przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Rozeszły się plotki, że baronowa ma innego kochanka. Nie znam jego imienia, ale o wszystkim słyszałem już od wielu osób. Może to jakaś pomyłka, ale...

- Ale myślisz, że nie.

- To prawda. Zwłaszcza że... Powinieneś zdawać sobie sprawę, że te cholerne brukowce z radością zajmują się twoimi miłosnymi podbojami, a poza tym o baronowej mówi się ostatnio, że lubi schodzić z drogi cnoty.

- Widziałeś to?

- Nie, nie. Ja nie, chociaż inni widzieli. Chcesz, żebym spróbował...?

- Dziękuję. Nie. Jestem ci wdzięczny za informacje. Nie możesz już nic zrobić w tej sprawie. Sam się wszystkim zajmę. Mam nadzieję, że Emma nic o tym nie wie?

- Nie jestem tego pewien - powiedział ostrożnie Hugo - bo jej ciotka Warenne jest zawsze doskonale o wszystkim poinformowana. Myślę, że to tylko kwestia czasu...

- W takim razie uciekam. Wygląda na to, że będę miał dziś kilka... sparingów. Nie zamierzasz życzyć mi szczęścia, Hugonie?

- Myślę, że masz takie doświadczenie, że szczęście nie jest ci potrzebne.

Baronowa wrzała gniewem, aż krew odpłynęła z jej twarzy, jednak nie uniosła głosu.

- I ty masz czelność przychodzić do mnie po zapłatę, Budge? - Jej obcy akcent stawał się coraz wyraźniejszy z każdym wypowiedzianym słowem. Pomachała gazetą. - Po tym? - wysyczała.

Pani Budge struchlała, jednak nie ruszyła się z miejsca.

- Przysięgam, że dokładnie wypełniłam pani polecenie, milady. Minał już prawie tydzień, a pani...

- Dałam ci wyraźne instrukcje, żebyś nie pisnęła ani słowa na temat autora tego listu. Czy zamierzasz zaprzeczyć, że mnie nie posłuchałaś?

- Nie, milady. To znaczy tak... - Pokręciła głową, starając się opanować. - Milady, nie powiedziałam nic na pani temat ani panu Johnsonowi, ani nikomu innemu. Po prostu zniosłam list, który mi pani dała.

Baronowa spojrzała na zadrukowaną stronicę.

- Chcesz mi wmówić, że nie rozmawiałaś z panem Johnsonem?

- Eee... nie, milady, niezupełnie. Przywitaliśmy się, że tak powiem.

- No proszę - podsumowała cierpko baronowa. - Powinam była wiedzieć, że nie wolno ufać angielskiej służącej, szczególnie takiej, która ośmiela się prosić o zapłatę, mimo że mnie zdradziła.

- Milady, przysięgam...

Baronowa wyciągnęła rękę z gazetą w stronę pani Budge.

- W takim razie przeczytaj to. Przeczytaj, a dopiero potem powiesz mi, że nie jesteś winna. O ile się ośmieliisz.

Pani Budge chwyciła gazetę drżącą ręką i przebiegła wzrokiem treść. Nie spodziewała się aż tak gwałtownej napaści ze strony baronowej. Po chwili śmiało popatrzyła jej w oczy.

- Milady, to nie ma nic wspólnego ze mną. Nie wyjawiałam panu Johnsonowi, że pani i mój pan jesteście... A już na

pewno nie powiedziała nic innego o pani. - Słyszac gniewne prychnięcie baronowej, dodała zuchwale: - Jak mogłabym to zrobić, skoro nic nie wiem o pani innych romansach?

- Jak śmiesz! - wybuchnęła baronowa. - Zejdź mi z oczu, zanim każę cię wyrzucić! Wynos się z tego domu!

Pani Budge prawie wybiegła z pokoju, bojąc się, że baronowa spełni groźbę. Nie było jej pisane otrzymanie choćby pensa od tej Austriaczki.

Co teraz mogło się zdarzyć? Baronowa była zdolna do oskarżenia Budge przed panem, który w takiej sytuacji natychmiast ją zwolni. Pani Budge nie mogła sobie pozwolić na utratę posady i zarobków.

Istniał jeszcze jeden sposób zdobycia pieniędzy. Baronowa oskarżyła ją o zdradę i potraktowała tak, jakby pani Budge była winna. W tej sytuacji mogła jej się zrewanżować pięknym za nadobne.

Złoży drugą wizytę dobrze poinformowanemu panu Johnsonowi, ale tym razem nie będzie tak powściągliwa. Następne wydanie plotkarskiej gazetki pana Johnsona sprawi, że wyniosła baronowa dostanie ataku serca... Przynajmniej pani Budge miała taką nadzieję. Poza tym Austriaczka stanie się obiektem plotek na całą resztę sezonu.

Ściągnęła wargi i pokiwała głową z zachwytu nad swą przemyślnością.

A na wypadek gdyby jej podstęp się nie udał, dopilnuje, by kopia interesującej historii pana Johnsona dotarła do ambasady austriackiej, do rąk własnych zacnego barona von Thalberga.

Kit instynktownie skrył się w cieniu. Nie chciał być widziany w sąsiedztwie domu Kathariny. I tak krążyło już zbyt wiele plotek.

Niespodziewanie zauważył ubraną na czarno kobietę, wychodzącą z domu. To była jego własna gospodyni.

Ciekawa historia. Z jakiego powodu pani Budge miałyby odwiedzać Katharinę? Nie polecił jej przecież przekazania żadnej wiadomości. Prawdę mówiąc, nie komunikował się z Katharina od przeszło tygodnia, więc było bardzo możliwe, że Austriaczka chciała mu zrobić na złość, jak sugerował Hugo. Był już najwyższy czas na rozstanie. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że w czasie trwania związku jest zawsze wierny swym kochankom i oczekuje od nich tego samego. Skoro Katharina zlekceważyła jego ostrzeżenie, nie zamierzał zwlekać z zakończeniem romansu.

Przez chwilę rozważał możliwość wejścia do domu barona i udzielenia jej odprawy. Zrobiłby się z tego wielki skandal. Żona dyplomaty przyjmuje jednego z największych rozpustników w Londynie... sama w swoim salonie. Czy mógł się na to zdobyć?

Bez wątpienia. Byłoby go na to stać, gdyby nie skandal, który dotknąłby nie tylko jego, ale również Emmę i Hugona. Nie mógł się tak zachować wobec bliskich. Będzie musiał znaleźć inny sposób na ukaranie obłudnej baronowej. Tchórzliwy mężczyzna załatwiłby sprawę za pomocą listu, jednak Kit nie zamierzał uciekać się do takiego postępowania. Powie jej prosto w oczy, co myśli na temat zdrady i nie pozostawi jej żadnych wątpiwości co do tego, że raz na zawsze została wygnana z jego łóżka.

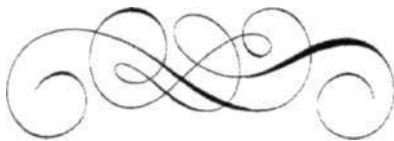
Zauważył, że pani Budge unosi rękę. Przeszła zaledwie parę jardów od drzwi domu Kathariny, a już zatrzymała powóz. Ciekawe! Dokąd się wybierała tak kosztownym środkiem transportu? Bez wątpienia Katharina jej zapłaciła, nie wiedział jednak, jaką usługę wyświadczyła baronowej jego gospodyni. Doszedł do wniosku, że Katharina nie zatrudnia-

łaby pani Budge do przekazania wiadomości nowemu kochankowi. W jej domu aż roiło się od służących, którzy chętnie podjęliby się tego zadania za odpowiednią opłatą. Musiało to być coś, co dla niewiernej baronowej mogła wykonać tylko gospodyni Kita.

Rozejrzył się dookoła, jednak nie dostrzegł żadnego powozu. Zaklął szpetnie. Przechodzący mężczyzna popatrzył na niego ze zdumieniem i odrazą, zawahał się, a potem minął Kita bez słowa.

Kit uśmiechnął się gorzko. Tracił panowanie nad sobą. Powóz z gospodynią zniknął mu z oczu. Nie był w stanie jej śledzić. Mógł odwiedzić przyjaciela, mieszkającego dwa domy za rezydencją Kathariny, który zapewne czekał, aż Kit zabierze go do hali bokserskiej Jacksona i przedstawi temu słynnemu mistrzowi. Czuł coraz większą potrzebę stanięcia do walki w ringu. Musiał wyładować na kimś rozsadzającą go złość.

Zamierzał dopilnować, by pani Budge poniosła karę za swoje postęпки. W odpowiedniej chwili gospodyni zostanie wezwana na trudną dla niej rozmowę.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Nie przyszedł tu, żebyś mnie obrażał - syknęła baronowa, z oburzeniem wstając z fotela.

- Nie, Katharino, przyszedł tutaj, żeby zobaczyć, czy dasz radę przekonać mnie, że w tych plotkach nie było ani odrobiny prawdy. - Popatrzył na nią surowo. - Mam rację?

Nie odpowiedziała. Usiłowała spojrzeć mu w oczy, lecz odwrócił wzrok. Chcąc pokryć zmieszanie, zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Oszczędź mi tych teatralnych zachowań, moja droga. Powinnaś wiedzieć, że nic nie wskórasz. Zaprosiłem cię tutaj tylko po to, żeby osobiście ci powiedzieć, że... nasza przyjaźń dobiegła końca. Dobrze wiesz dlaczego.

Rzuciła mu jadowite spojrzenie i odwróciła się plecami.

- Czy twój mąż wie, że znów przygotowujesz mu rogi?

Obróciła się na pięcie.

- Jak śmiesz mówić coś podobnego! Akurat ty powinnaś milczeć. Zachowujesz się tak, jakby w tym wszystkim nie było twojej winy.

- Moja droga Katharino, zadałem ci bardzo proste pytanie, a zrobiłem to tylko po to, by cię ostrzec. Dawniej byłaś dyskretna, ale wygląda na to, że się zmieniłaś. Jeśli te plotki dotrą do uszu barona i uzna, że powinien bronić swego honoru... co jest całkiem możliwe, ponieważ nie jest ani tak głupi, ani ślepy, jak ci się wydaje, skieruję go do twego obecnego *cher ami*. Nie mam zamiaru dostać o świcie kulki za

Cullena... - Urwał gwałtownie, czekając, aż baronowa spojrzy mu w oczy. - Jestem pewien, że znasz angielski na tyle dobrze, że będziesz potrafiła dobrać właściwe słowo.

Obdarzył ją uśmiechem, w którym nie było cienia wesołości, po czym podszedł do kominka i pociągnął za sznur dzwonka.

- Pani Budge cię odprowadzi. - Złożył ręce na piersi i nie dbale oparł się o kominek, czekając na nadejście gospodyni.

- Proszę odprowadzić mojego gościa, pani Budge - polecił ostro.

Gospodyni dygnęła i stanęła przy drzwiach.

- Zegnam, moja droga. Powinnaś się cieszyć, że zechciałem się z tobą spotkać. Nie zasłużyłaś na to. Kobieta, która wykorzystuje służące do szpiegowania chlebodawców, nie zasługuje na żadne względy.

Baronowa posłała mu spojrzenie pełne nienawiści, po czym wyszła.

- Mam nadzieję, że dobrze jej zapłaciłaś - zawołał za nią, z zadowoleniem patrząc na pobladłą nagle twarz gospodyni - ponieważ na pewno straci posadę!

Lady Luce uśmiechnęła się ponuro.

- Doskonale, doskonale - stwierdziła z satysfakcją. - To wspaniałe, że ta kobieta dostała to, na co zasłużyła.

Marina nie miała pojęcia, o czym mówi jej chlebodawczyni; musiało jednak mieć to coś wspólnego z wiadomościami zamieszczonymi w brukowcu leżącym na jej kolanach.

- Tym razem Kit Stratton przeszedł samego siebie. Nie uwierzyłabym, że stać go na coś takiego. Ta jego austriacka... hm... kochanka będzie wściekła. Zastanawiam się... - uśmiechnęła się szerzej - czy ktoś zdobędzie się na to, by pokazać to jej mężowi. Będziemy mieli wtedy skandal dyplomatyczny. To częste. - Zachichotała, rozkoszując się swoimi wyobrażeniami.

mi. Zauważywszy zdumienie Mariny, podała jej gazetę. - Przeczytaj sobie, jeśli masz ochotę. Ale potem nie okazuj zgorznienia. Taki właśnie jest ten świat. - Pokiwała głową. - Kiedy towarzystwo przestanie o tym mówić, zajmie się rozszyfrowywaniem tożsamości tajemniczej M.B.

M.B.! Marina poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Z trudem rozprostowała gazetkę. Została zdradzona! Skoro jej inicjały opublikowano w brukowcu, lada chwila zostanie zdemaskowana. Okazała naiwność, licząc na pomoc Kita Strattona, i zbyt szybko się pośpieszyła z podziękowaniami za poproszenie brata o dyskrecję. Sir Hugo musiał opowiedzieć o tym, co widział... albo winowajcą był sam Kit Stratton.

Czuła się jak osaczona. Popadnięcie w niesławę było już tylko kwestią czasu.

Ukradkiem spojrzała na lady Luce, która wciąż uśmiechała się z zadowoleniem. Dlaczego? Dała do zrozumienia, że zna tożsamość M.B., więc nie powinna rozmawiać z Mariną w taki dziwny sposób, tylko kazać jej spakować bagaż.

Było w tym wszystkim coś tajemniczego.

Marina pochyliła się nad gazetą.

Tekst był krótki, lecz miążdzący. Pan S. spotkał się z tajemniczą wysoką damą. Redagujący plotkarską gazetkę, powołując się na swych informatorów, wcale nie był tym zaskoczony, jako że „bliska przyjaciółka” owego dżentelmena, wysoko postawiona cudzoziemka, ostatnio szukała pocieszenia gdzie indziej. Tajemnicza dama była znana redaktorowi (jak napisał), nie chciał jednak szkodzić jej reputacji, na tym etapie podając jej imię i nazwisko. Zdradził tylko inicjały: M.B.

Marina popatrzyła na swą pracodawczynię. Wszystko wydawało jej się osnute mgłą, jednak po chwili odzyskała ostrość widzenia. Nie ośmieliła się powiedzieć ani słowa. Była pewna, że głos by się jej załamał.

Lady Luce wydawała się niczego nie dostrzegać. Cieszyła się na myśl o szykującym się skandalu.

- Przez najbliższe dwa dni nie pisnę ani słowa - oznajmiła - bo zamierzam się przekonać, kto jest na tyle bystry, że sam się wszystkiego domyśli. Chcę też się dowiedzieć, jak zareaguje Kit Stratton. Jeśli ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, powinien wrócić do Wiednia, zanim mleko się rozleje. Ale on zawsze był zuchwałym nicponiem. Pewnie sądzi, że ze wszystkiego się wywinie.

Chichocząc, wstała z fotela i ruszyła do drzwi.

- To lepsze niż teatr.

Gdy za lady Luce zamknęły się drzwi, Marina odetchnęła. Musiała wszystko przemyśleć. Co mogła począć w tej sytuacji? Czy powinna ostrzec Strattona? Ale przed czym? Sama nie rozumiała całej sprawy. Poza tym Kit Stratton nie przyjąłby rady od kobiety, a szczególnie od Mariny, którą wyraźnie pogardzał.

Lady Luce musiała myśleć, że mleko rozleje się lada chwila. A Kit Stratton będzie miał się z pyszna. Jeśli Marina miała odrobinę rozsądku, powinna pozostać biernym obserwatorem.

Koń potknął się. Kit odruchowo ściągnął wodze, karcąc się w duchu za brak uwagi. Zapomniał o koniu, nie obserwował też terenu, a przecież w żadnym razie nie chciał, by jego ulubionemu gnadoszowi stała się krzywda.

- Przepraszam cię, Cezar - odezwał się kojącym tonem.
- Dzisiaj twój pan nie zasługuje na ciebie. - Zmusił potężnego ogiera do spokojnego truchtu. Mógł teraz pozwolić sobie na chwilę rozmyślań.

Minęły już dwa dni, odkąd rozstał się z Kathariną. Wcale tego nie żałował. Był nawet zdziwiony tym, jak niewielki

wpływ wywierała na jego życie. Rozkoszował się jej pięknym ciałem - któryż mężczyzna nie czyniłby tego na jego miejscu? -jednak jej nie potrzebował. Był sam bez kochanki, co nie zdarzyło mu się już od bardzo dawna, jednak nie śpieszył się ze znalezieniem sobie nowej.

Prawdę mówiąc, nie pociągała go żadna z kobiet z londyńskiego towarzystwa. Brakowało im urody, dowcipu...

Pokręcił głową. Co się z nim działo? Londyńskie damy nie były gorsze od wiedeńskich. Dlaczego nagle stał się taki wybredny? W Londynie można było wybierać spośród tysięcy kobiet; mężatek, które nie stwarzały żadnego zagrożenia dla męskiej niezależności, a gotowe były dzielić łóżko w zamian za jakąś kosztowną błyskotkę... i okazję złapania najprzystojniejszego uwodziciela. Kit skrzywił się na tę myśl. Dobrze wiedział, co mówi się o nim w towarzystwie.

Zaczął zastanawiać się nad potencjalnymi kandydatkami. Mechante bez wahania zgodziłaby się zostać jego kochanką nawet po tym, jak ją obraził. Kiedyś była znakomita. Musiał też przyznać, że nadal jest piękna. Jednak podobnie jak cała reszta, dbała tylko o siebie. Nie miała żadnych szczególnych atutów. Nie znajdował w niej niczego, co mógłby podziwiać.

To samo mógł powiedzieć o wszystkich pozostałych.

Zmarszczył czoło. Był wyjątek...

Panna Beaumont - jedyna kobieta, która go zaciekawiła. Nie mogła uchodzić za piękność, jednak nie brakowało jej odwagi. Szkoda, że ona również okazała się dwulicowa. Powinien był jej to wypomnieć, choćby na przyjęciu u Emmy. Dlaczego tego nie zrobił?

Był tak oczarowany jej śpiewem, że nie chciał psuć wrażenia. Tak, nie była zbyt urodziwa, ale w prostej, błyszczącej sukni, z wysoko upiętymi kasztanowymi włosami, trąciła w nim czułą strunę. Jaką musiała być kobietą, skoro tworzyła muzy-

kę, niczym Orfeusz? Chciał ją zrozumieć i dowiedzieć się więcej na jej temat. Nie był w stanie robić jej wymówek, mimo że miał do tego pełne prawo.

Czy istotnie je miał?

Usiłował sobie przypomnieć, co powiedziała na podeście schodów u lady Luce. Nie pamiętał słów. Mówiła coś na temat jego listu. Był wtedy pewien, że próbuje go obrazić, ale mógł się mylić. Czasami bardzo trudno zrozumieć kobiety.

Na pewno jednak nie w łóżku, pomyślał z uśmiechem, przypomniawszy sobie wiele zaniedbywanych, urażonych żon, które wiły się i słodko pomrukiwały w jego ramionach. W takich sytuacjach nigdy nie miał z nimi kłopotu.

- Mamo, muszę z tobą porozmawiać.

Lady Luce pytająco uniosła brwi.

- Naprawdę, Williamie? A cóż to za pilna sprawa?

- Mam wiadomości na temat Kita Strattona.

- Świetnie. Słucham.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym na osobności, mamo.

Marina natychmiast wstała.

- Hola! - zawołała lady Luce. - Panna Beaumont jest moją damą do towarzystwa i wie o wiele więcej, niż ci się wydaje, Williamie. Siadaj, Marino. Możesz usłyszeć wszystko, co mój syn ma mi do powiedzenia.

Hrabia sprawiał wrażenie zakłopotanego. Z trudem powściągał gniew. Jego szyja przybrała nieprzyjemną purpurową barwę.

- Dobrze - odpowiedział zduszonym głosem. - Skoro tego sobie życzysz, milady. Ostrzegam, że to, co mam do powiedzenia, nie nadaje się dla uszu dobrze wychowanych młodych dam.

Lady Luce posłała mu wymowne spojrzenie sugerujące, że poglądy syna na to, co powinny, a czego nie powinny wiedzieć młode damy, pozostawiają wiele do życzenia. Nie odezwała się jednak ani słowem, tylko ze zniecierpliwieniem kiwnęła głową.

Odchrząknął.

- Myślę, że wiesz, milady, że pan Stratton ma różne... hm... związki - zaczął dyplomatycznie. Ukradkiem zerknął na Marinę. - Mówi się, że wrócił do Londynu tylko po to, żeby podtrzymać znajomość ze swą austriacką... hm... ko... ze swą Austriaczką, której mąż został tu wysłany służbowo. Z tego, co mi wiadomo, może to być prawda. Pewnie zaciekawici Cię fakt, że Stratton jej się znudził, i chociaż zawsze tak się chełpił tym, że to on kończy swe... miłości, lada chwila otrzyma wymówienie od swojej damy. Moim zdaniem to się zdarzy po raz pierwszy. - Uśmiechnął się do matki. - Byłem pewien, że ucieszą Cię te wiadomości.

- Rzeczywiście ucieszyły mnie, Williamie... kiedy je po raz pierwszy usłyszałam. To było już kilka dni temu. Gdzie się przez ten czas podziewałaś? A może czekasz, aż Charlotte opowie ci o tym, co się dzieje? Przecież wiesz, że ona zawsze o wszystkim dowiaduje się ostatnia.

Hrabia ponownie się zaczerwienił.

- Skoro nie jesteś zainteresowana tym, co mam do powiedzenia, to sobie pójdę.

- Nie gadaj głupot! - skarciła go matka. - Zostań. Teraz ja opowiem ci o Kicie Strattonie.

Marina wstrzymała oddech. Co jeszcze mogła wiedzieć lady Luce? Uśmiechała się nieprzerwanie od chwili, gdy przeczytała pikantną historię w brukowcu. Wyglądało na to, że we wszystko uwierzyła. Była też przekonana, że tylko ona zna tożsamość najnowszej kochanki Kita Strattona, tajemniczkiej M.B. Oczywiście się myliła, ale jak Marina miała jej to

powiedzieć? Czyżby lady Luce naprawdę знаła inną M.B.? Jeśli tak, to nie podzieliła się swą tajemnicą z Mariną. Może zamierzała zrobić to teraz.

- Co? Mamo, przecież...

- Pozwól mi skończyć, Williamie. Jak już wspomniałam, to wszystko nieprawda. Stratton sam zakończył tę znajomość, kiedy tylko zorientował się, że baronowa jest przewrotna i perfidna. To miało miejsce kilka dni temu. Trudno mi go za to winić. Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

Lord Luce milczał, jakby nagle zaniemówił.

- W takim razie dam ci coś do przeczytania. Wydaje mi się, że jeszcze tego nie widziałeś. To lekka lektura. - Wyjęła z kieszeni pomietą gazetkę i podała synowi. - Proponuję, żebyś pokazał to swojej żonie. Razem będziecie mogli się zastanowić nad tym, kim jest M.B.

Syn pośpiesznie zapoznał się z treścią artykułu. Otworzył usta ze zdumienia.

- Przyznasz, że to ciekawe - stwierdziła radośnie lady Luce i cmoknęła z zadowoleniem. - Dam ci radę, Williamie. Nie szukaj tej M.B. zbyt daleko.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To dlatego, że nie chce ci się ruszyć głową, w której i tak mieści się niewiele rozumu. - Patrzyła na niego wyzywająco. Wydawał się zaintrygowany, ale i oburzony. - Zaczyna mnie męczyć to czekanie. Widzę, że prędzej zostanę stąd wyniesiona nogami do przodu, niż ktokolwiek domyśli się, kim ona jest.

Marina pilnie wpatrywała się w czubki swych pantofelków.

- M.B. - powiedziała lady Luce. - To wcale nie powinno być takie trudne, szczególnie dla ciebie, Williamie. Pomyśl tylko... Zastanów się, ile kobiet, które znasz, ma nazwiska zaczynające się na B. A potem pomyśl o rodzinie, która

jest... zaprzyjaźniona z twoją. Tam właśnie znajdziesz M.B. Prawdę mówiąc, byłeś tak blisko tej damy, jak podejrzewa się o to Kita Strattona.

- Co? Mamo...

Lady Luce wstała, wyraźnie poirytowana.

- Czy ty nigdy nie słuchasz tego, co do ciebie mówię, Williamie? Kazałam ci pomyśleć, a nie gadać bzdury. Och, lepiej już sobie idź. Wyjdź stąd, zanim stracę do ciebie resztki cierpliwości.

Cierpliwość była ostatnią cechą, jakiej Marina spodziewałaby się po lady Luce, jednak czuła zbyt wielkie przerażenie, by się śmiać. Lady Luce opisała M.B. tak, że mogła nią być Marina, jednak teraz panna Beaumont była pewna, że nie chodziło o nią. Lord Luce nigdy nie był jej w żaden sposób bliski. Kogo więc lady Luce miała na myśli?

Dobre maniere okazały się silniejsze niż gniew. Hrabia odruchowo wstał w tej samej chwili co matka.

- W takim razie idę sobie, mamo - powiedział, skłoniwszy się z szacunkiem. - Obawiam się, że nie potrafię rozwiązać tej zagadki. Nie przypominam sobie żadnej znajomej, która pozwoliłaby sobie na zszarganie reputacji. Młoda kobieta sam na sam z Kitem Strattonem? To skandaliczne.

Lady Luce pokiwała głową, uśmiechając się złośliwie.

- Taka osoba nie byłaby tolerowana w mojej rodzinie. A jeśli chodzi o twoje aluzje... Jest tylko jedna rodzina, która pasowałaby do twoich danych, a Blaine'owie pozostają poza podejrzeniem...

Lady Luce prychnęła.

- Czyżby? Na przykład ty nie przestajesz się zastanawiać, dlaczego lady Blaine zawsze wygrywa w faraona, kiedy pełni rolę bankiera. Twoi wspaniali Blaine'owie coraz częściej są brani na języki, Williamie.

Blaine'owie? To ich lady Luce miała na myśli? Dlaczego wszystkie problemy Mariny wiązały się z tą rodziną? Poczuli, że robi jej się niedobrze.

Jednak jej reakcja była bardzo łagodna w porównaniu z tym, co stało się z Williamem. Zaczął chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba i gwałtownie poczerwieniał. Marina słyszała o ludziach tkniętych apopleksją i zaczęła się zastanawiać, czy nie grozi to hrabiemu.

Lady Luce ruszyła do drzwi, ignorując kłopoty syna.

- Chodź, Marino - powiedziała. - Mamy pilne zajęcia. Pamiętaj, co ci powiedziałam, Williamie - dodała z udawaną łagodnością. - M.B. Dama, którą ty również trzymałeś w ramionach. Intrygujące, nie uważasz?

Marina nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół niej. Spieszyła się, by usprawiedliwić swe spóźnienie,

- Och, przepraszam - powiedziała szybko, odruchowo wyciągając rękę, by pomóc utrzymać równowagę młodej damie, na którą wpadła. - Ale ze mnie niezdar.

Młoda kobieta uśmiechnęła się, co ożywiło jej pospolitą twarz. Była to najstarsza panna Blaine.

- Nic się nie stało - powiedziała. - Chyba mam przed sobą pannę Beaumont - dodała, niespodziewanie się rumieniąc. - Proszę mi wybaczyć - kontynuowała, wpadając w słowotok - ale ponieważ jest pani jedyną młodą damą dorównującą mi wzrostem, odgadłam, kim pani jest, mimo że nie zostałyśmy sobie przedstawione. Obie byłyśmy na przyjęciu u lady Stratton, ale mama i ja musiałyśmy wyjść, ponieważ... ponieważ...

- Ponieważ źle się pani poczuła - dokończyła Marina, chcąc, by panna Blaine trochę się rozluźniła. - Nic w tym dziwnego. Mnie też było bardzo gorąco. - Popatrzyła na

schody prowadzące do salonu lady Stratton. - Odwiedza pani lady Stratton?

- Tak. Zazwyczaj przyjmuje gości w poniedziałki. Byłyśmy tam w zeszły poniedziałek. Mama uważała, że powinienam przeprosić za... za zrobienie z siebie widowiska, ale lady Stratton nie miała nam tego za złe. Nalegała, żebyśmy przyszły ponownie. Jest bardzo miła i czarująca, nieprawdaz? I taka elegancka. - W głosie panny Blaine pobrzmiwała nuta zazdrości.

- To prawda - przyznała Marina, usiłując ośmielić skrzepowaną dziewczynę. - Była też bardzo miła dla zwykłej damy do towarzystwa.

- A ja myślałam... zrozumiałam, że pani jest... spokrewniona z papą? - W tonie głosu panny Blaine było coś, co pozwoliło Marinie się domyślić, że gdyby była tylko damą do towarzystwa, panna Blaine w ogóle by z nią nie rozmawiała.

- T-tak - odpowiedziała z wahaniem Marina.

- W takim razie będę ci mówiła po imieniu. A ty musisz nazywać mnie Tilly. - Zachichotała nerwowo. - Okropne imię, prawda? Ale ponieważ Mathilda brzmi jeszcze gorzej, obawiam się, że nie mam wyboru. Żałuję, że mama nie nadała mi jakiegoś poetyckiego imienia...

- Tilly! - zagrzmiała lady Blaine z podestu. - Co ty tam robisz? Przecież prosiłam cię, żebyś kazała podstawić powóz. Zrób to natychmiast, jeśli łaska.

- Właśnie miałam to zrobić, mamó, ale spotkałam Marinę i...

- Pannę Beaumont - poprawiła ją lady Blaine, dobitnie akcentując słowa, i popatrzyła na Marinę z wyraźną niechęcią. - Bez wątpienia przyszła tu z jakimś zleceniem od swej chlebobawczyni. Nie powinnyśmy odciągać pani od obo-

wiązków, panno Beaumont. Znajdzie pani lady Stratton w jej salonie. O, tutaj.

Marina popatrzyła na Tilly, lecz dziewczyna szła już korytarzem, by jak najszybciej spełnić polecenie matki. Prawdopodobnie już nigdy nie ośmieli się odezwać do Mariny w obecności lady Blaine. Ta kobieta uwielbiała upokarzać innych, nie wyłączając własnej córki.

Uniósłszy spódnice, Marina powoli wspięła się na schody i znalazła się na podeście obok lady Blaine. Popatrzyła na twarz starszej od siebie kobiety, zauważając w jej oczach niechęć i pogardę.

Pod wpływem impulsu Marina dygnęła.

- To bardzo miłe z twojej strony, kuzynko, ale tak się składa, że znam drogę - powiedziała śmiało, po czym szybko oddaliła się korytarzem, zanim zdumiona wicehrabina zdołała cokolwiek odpowiedzieć.

- Panna Beaumont! - Lady Stratton była sama w pokoju. Wstała z fotela, ledwie otworzyły się drzwi. - Jaka szkoda! Lady Blaine i jej córka wyszły przed chwilą.

Marina wzięła kilka głębokich oddechów i starała się zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. To nie był dobry czas i miejsce na myślenie o...

- Usiądź, proszę. Masz rumieńce. Dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Spóźniłam się i szłam bardzo szybko.

- Nie trzeba było się śpieszyć. Proszę, zdejmij kapelusz. Zadzwoń, żeby przyniesiono herbatę. Na pewno dobrze ci zrobi.

Marina w końcu odkryła tożsamość M.B., o której mówiła lady Luce! Po trzech dniach łamania sobie głowy zagadka sama się rozwiązała.

Zamknęła oczy przerażona. Nie było żadnych wątpliwości. Uwagi lady Luce dotyczyły Blaine'ów, mimo że starsza

pani nigdy nie wymówiła nazwiska. M.B. była członkiem rodziny związanej z jej synem. Lady Luce musiała nawiązywać do bliskiej przyjaźni pomiędzy żoną Williama a lady Blaine. Prawdopodobnie kiedyś William trzymał w ramionach jej małe dziecko, Mathildę. Lady Luce jak zwykle chciała trochę pożartować, mówiąc synowi, że trzymał damę w ramionach. Lubiła zlecać mu zadania przekraczające jego możliwości intelektualne.

Czy Marina podążała właściwym tropem?

Lady Luce była pewna swego odkrycia. Nie cierpiała Blaine'ów tak jak własnego syna. To przecież lady Luce zwróciła uwagę zgromadzonych na to, że Tilly Blaine zadurzyła się w Kicie Strattonie.

Wystarczy jeszcze parę uwag lady Luce albo jakiś artykuł w tej plotkarskiej gazecie, a całe towarzystwo uzna, że Tilly Blaine jest tajemniczą M. B., nową kochanką Kita Strattona. Panna Blaine zostanie zniszczona, wyklęta.

Marina nie mogła pozwolić, by do tego doszło.

Byłoby to wielką niesprawiedliwością. Jedynym błędem tej niewinnej dziewczyny było zdradzenie się z uczuciami żywionymi do najsłynniejszego londyńskiego uwodziciela. A Marina byłaby winna jej krzywd.

Musiała zrobić coś, by ocalić Tilly Blaine, nawet jeśli...

Drzwi otworzyły się. Nie słyszała pukania.

Marina odwróciła się, spodziewając się widoku ochmistrza z tacą.

- Dzień dobry, Emmo - usłyszała znany głos. - Czyżbym przybył za późno, by przywitać twoich gości? Wielka szkoda.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Marina czuła zamęt w głowie. Na widok urodziwej twarzy Kita jej serce zaczęło bić jak oszalałe i poczuła suchość w ustach. Powinna być na niego zła. Jak by nie było, zdradził ją... a przynajmniej jej inicjały. Czy w tej sytuacji to nie on ponosił część winy za hańbę, którą mogła okryć się nieszczęsna Tilly Blaine?

Gdyby tylko nadarzyła się okazja, natychmiast powiedziała mu, co o tym myśli. Wątpiła, czy kiedykolwiek został złajany przez kobietę, jednak w tym przypadku miała do tego pełne prawo. Nie zamierzała pozwolić na to, by jego zuchwały męski urok powstrzymał ją przed szczerą rozmową, tak jak nie pozwalała sobie na pielęgnowanie dręczących ją wspomnień, w których silne ręce Kita delikatnie...

Popatrzyła na niego chłodnym wzrokiem.

Skłonił się nieznacznie.

- Proszę mi wybaczyć, panno Beaumont. Przez chwilę miałem wrażenie, że Emma jest sama. Nie spodziewałem się, że zastanę tu panią o tej porze.

Marina nie odezwała się. Nic dziwnego, że nie zauważył jej obecności; była w końcu tylko biedną, pospolitą damą do towarzystwa.

Lady Stratton podeszła do Kita i wciągnęła go do pokoju.

- Nie oszukasz mnie, drogi szwagrze - powiedziała wesoło. - Dobrze wiem, dlaczego przyszedłeś tu o tej porze.

Specjalnie unikasz moich gości, a do tego ośmielasz się twierdzić, że to wszystko moja wina.

Uśmiechnął się.

- Nie potrafię zaprzeczyć... zwłaszcza że rozpoznałem herb na drzwiczkach odjeżdżającego powozu. Przyznaję, że wybitnie nie odpowiada mi towarzystwo lady Blaine.

- Myślałam, że wicehrabia jest członkiem twojego klubu?

- Owszem, podobnie jak wielu innych mężczyzn, ale to nie oznacza, że szukam jego towarzystwa. Poza tym od mojego powrotu do Anglii cały czas przebywa za granicą. Pewnie odwiedza swoje plantacje.

- Och! - wyrwało się Marinie. Jej niechęć musiała być dobrze wyczuwalna, gdyż Stratton popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. Poczowała, że się czerwieni, była jednak pewna swoich racji. Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach. - Czyżby był pan zdziwiony, że niektórym ludziom nie podoba się wyzysk naszych współbraci? Kościół uczy, że wszyscy jesteśmy braćmi. Nie powinniśmy czynić z nich niewolników.

Stratton przyjrzał się Marinie z wyraźnym zainteresowaniem.

- Widzę, że nieobce są pani teorie Wilberforce'a?

Przytaknęła.

- To bardzo chwalebne - kontynuował - ale handel niewolnikami został zniesiony. Pani bitwa została wygrana.

- Niezupełnie - odpowiedziała żywo. - Nie możemy już przywozić tych nieszczęśników z Afryki, ale na plantacjach wciąż są skuci łańcuchami. A poza tym...

Drzwi otworzyły się i stanął w nich ochmistrz.

- Herbata, nareszcie - powiedziała z wyraźną ulgą lady Stratton. - Napijesz się, Kit?

- Przepraszam, milady - powiedział ochmistrz, stawiając tacę na stoliku - ale sir Hugo prosił, żeby zechciała pani poświęcić mu parę minut w pilnej sprawie. Jest w bibliotece.

- Bardzo dziwne - skomentowała i lekko wzruszyła ramionami, udając się jednak do drzwi. - Panno Beaumont, proszę mi wybaczyć. Czy może pani pełnić honory gospodyni podczas mojej nieobecności?

- Oczywiście.

- Obiecuję, że Kit będzie zachowywał się nienagannie. - Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, które nie wywarło na nim żadnego wrażenia. - Zaraz wracam. Proszę mi wybaczyć. - Szybko wyszła z pokoju.

Marina poczuła, że serce bije jej coraz szybciej. Postanowiła nie zwracać na to uwagi. Kiedy za ochmistrzem zamknęły się drzwi, uniosła srebrny imbryczek i popatrzyła na Kita Strattona najchłodniejszym spojrzeniem, na jakie mogła się zdobyć.

- Ze śmietanką i cukrem, panie Stratton?

- Tak, dziękuję.

Usiadł naprzeciwko niej. Beżowe bryczesy tak ściśle przylegały do ciała, że Marina widziała grę mięśni, gdy rozprostował długie nogi. Wpatrzyła się w cukiernicę, a potem skupiła się na podaniu mu filiżanki z herbatą.

- Dziękuję - powiedział jeszcze raz, biorąc od niej filiżankę silną, szczupłą dłonią. Nie dotknął Mariny, jednak na sekundę straciła opanowanie i zadrżała jej ręka. Gdyby w tej właśnie chwili nie przejął filiżanki, herbata by się wylała.

Chyba tracę rozum, pomyślała. Dlaczego tak pokornie podaję herbatę mężczyźnie, przez którego okryję się niesławą, i który zaszkodzi również Tilly Blaine?

Głęboko zaczerpnęła tchu i złożyła dłonie na kolanach. Jej herbata stała nietknięta na stole.

- Panie Stratton, muszę pana zapytać, czy jest pan świadomy, że w towarzystwie krążą plotki o panu... i o naszych spotkaniach?

Zmrużył oczy.

- Spodziewam się, że wyjaśni mi pani tę sprawę, panno Beaumont - odpowiedział wymijająco.

Tego było już za wiele.

- Nie muszę tego robić, ponieważ to pan je sprowokował. Pytając uniósł brwi.

Marina nie była w stanie opanować wrzącego w niej gniewu.

- Jak pan śmie?! - zaatakowała. - Dał mi pan do zrozumienia, że zrobił to, o co prosiłam. Byłam na tyle nierozsądna, by uważać, że jest pan prawdziwym dżentelmenem i poprosi brata, żeby nikomu nie mówił o tym, co widział. Powinnam była wiedzieć, że nie można panu ufać. Proszę mi powiedzieć, czy to pan wyjawiał wszystko gazetom? Czy tylko opowiedział pan o tym przyjaciółom? Jestem pewna, że musieli się nieźle ubawić.

Kit powoli odstawił filiżankę na stół, po czym odchylił się na oparcie fotela i przyjrzał Marinie spod przymkniętych powiek. Czuła, że nią gardzi, nie zamierzała jednak dać się onieśmielić nędznemu kobieciarzowi. Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy.

- No dobrze, panno Beaumont - odezwał się łagodnie. - Proszę teraz łaskawie wyjaśnić mi, dlaczego pani mnie oskarża. Dodam, że nie mam zwyczaju zdradzać czyjegoś zaufania.

- W takim razie dlaczego zdradził pan moje sekrety?

- Nie zrobiłem tego - odparł zdecydowanym tonem.

Ledwie go słyszała. Była tak wściekła, że słowa same potoczyły się z jej ust.

- Pan i sir Hugo byliście jedynymi osobami, które wiedziały o tym, że byłam w pańskim powozie. Nikt inny nie widział mnie w parku tego ranka. Byłam pewna, że pański brat mnie rozpoznał. W innym wypadku nie napisałabym do pana tego listu. Pozwolił mi pan uwierzyć, że wszystko będzie dobrze, tymczasem...

- Napisała pani do mnie? Kiedy? - Wychylił się w przód; stał się czujny.

- Dobrze pan wie kiedy - odrzekła zgryźliwie. Jak mógł udawać, że nie pamięta?

- Panno Beaumont, nie otrzymałem od pani żadnego listu.

- Ale...

- Żadnego listu - powtórzył stanowczo. - To prawda, że mój brat rozpoznał panią w parku. Zapewniam panią, że nie zdradził tego nikomu, nawet swojej żonie. Uważał, że jest winien pani ojcu i wujowi dbałość o pani dobre imię.

- W takim razie...

- A ja nie rozmawiałem o tym z nikim poza moim bratem. Panno Beaumont, jeśli pani nazwisko pojawiło się w brukowcach, to zapewniam panią, że nie ponoszę za to winy. Przysięgam.

- Och. - Marina westchnęła i ukryła twarz w dłoniach. Zaledwie przed chwilą była gotowa go atakować, a teraz opuściły ją siły. To nie mogła być prawda. - Nie rozumiem - wyszeptała w końcu. - Jeśli ani pan, ani sir Hugo nikomu o tym nie mówili, jak to możliwe, że... - Nie dokończyła zdania. Nie miało znaczenia, kto ponosi winę. Tak czy owak, czekała ją niesława. Nie mogła na niego patrzeć. Nie była w stanie się poruszyć.

Kit delikatnie odciągnął jej dłonie od twarzy i ścisnął je w geście pocieszenia.

- Panno Beaumont - powiedział współczująco - proszę na mnie spojrzeć.

Spełniła jego prośbę dopiero po dłuższym czasie. W jej wielkich oczach kryło się przerażenie, jakby zobaczyła czekający ją los.

- Myśli pani, że Strattonowie panią zdradzili. Przysięgam, że tego nie zrobiliśmy. Z tego, co pani mówi, wynika, że istotnie została pani zdradzona. Proszę powiedzieć mi coś o tym liście. Kiedy go pani wysłała? Kto go doręczył?

Panna Beaumont nieznacznie uniosła podbródek.

- Napisałam do pana zaraz po przyjeździe do domu. Sama zaniósłam list na pocztę.

- Jest pani pewna, że podała właściwy adres?

- Oczywiście. Nie mogłam się pomylić. W końcu właśnie stamtąd wróciłam.

- Skierowała go pani do mnie do Chelsea? - Zauważywszy jej niecierpliwe skinienie, powiedział wolno: - Teraz już rozumiem. Obawiam się, że to był błąd. - Błędem było też to, że zaniósła list na pocztę, a nie skorzystała z usług posłańca, jednak nie zamierzał podzielić się z panną Beaumont swoimi podejrzeniami. Była wystarczająco przygnębiona. Musiał wziąć to pod uwagę i postępować z nią jak najdelikatniej. Miał jednak bardzo mało czasu. Emma mogła wrócić w każdej chwili.

Uśmiechnął się do niej pocieszająco. Nie cofnęła rąk, lecz nie chciał przypisywać temu jakiegokolwiek znaczenia. Nie był nawet pewien, czy panna Beaumont zdaje sobie sprawę, że wciąż je trzymał.

- Nie dostałam pani listu, milady. Czy byłaby pani na tyle uprzejma, żeby powiedzieć mi, co zawierał?

- N-nie pamiętam dokładnie. Napisałam, że myślę, iż pański brat mnie rozpoznał. Chciałam... żeby pan wstawił się za mną u niego, żeby nikomu o tym nie powiedział.

- To wszystko?

- Być może wspomniałam o tym, że wysiadłam z pańskiego powozu... by wyjaśnić, gdzie sir Hugo mnie zobaczył. Nie jestem pewna.

Kit spochmurniał. Sprawa wyglądała coraz gorzej. Pozostało jeszcze jedno pytanie. Musiał je zadać.

- Panno Beaumont, czy podpisała pani swój list?

- Nie - odpowiedziała szybko.

Odetchnął z ulgą.

- Użyłam tylko inicjałów.

List musiał zaginać... a zawierał informacje wystarczające do tego, by zaszkodzić jej reputacji, uznał Kit. Marina - w swej niewinności i naiwności - myślała, że jest bezpieczna, nie podpisując listu pełnym imieniem i nazwiskiem. Do diabła, czy wydawało jej się, że istnieją tysiące kobiet z tymi samymi inicjałami?

- Panno Beaumont...

- Panie Stratton... przepraszam za słowa, które pochopnie wypowiedziałam - wykrztusiła, unikając wzroku Kita. Wyrwała dłonie z jego uścisku i ukryła je w fałdach spódnicy. Spłonęła ognistym rumieńcem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że przez cały czas trzymał ją za rękę.

Znów zwrócił uwagę na jej nieskazitelną cerę. Chciał, żeby Marina na niego spojrzała. Miała piękne oczy.

Powiedziała coś ze wzrokiem wbitym w spódnicę. Mówiła tak cicho, że z trudem rozróżniał słowa.

- Panie Stratton, myślę, że sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Ta gazetka krąży w towarzystwie. Napisano tam, że ma pan nową kochankę, wysoką damę o inicjałach M.B. Wszyscy zastanawiają się teraz, kim jest ta dama.

Kit pokiwał głową. To istotnie brzmiało groźnie - dla panny Beaumont.

- Czy ma pani podstawy, by twierdzić, że została pani zidentyfikowana jako M.B., milady? - zapytał łagodnie.

- Nie! - wykrzyknęła, ponownie chowając twarz w dłoniach. - Nie mam żadnych podstaw.

Kit pomyślał, że panna Beaumont wpada w histerię. Niepotrzebnie. Powinna wiedzieć, że jest bezpieczna, dopóki M.B. pozostaje nierozpoznana.

- Lady Luce jest przekonana, że tą damą jest Tilly Blaine.

Kit popatrzył na nią osłupiały, jakby nie dowierzał własnym uszom. Panna Blaine? Tilly Blaine?

- Naprawdę ma na imię Mathilda, ale wszyscy mówią na nią Tilly, więc nie od razu łączą ją z tymi inicjałami, ale...

Kit zaczął się śmiać. Nie był w stanie nic na to poradzić. To wszystko zakrawało na kpinę. Tilly Blaine! Ta egzaltowana gidia, która gadała jak najęta - tak że nie sposób było wpaść jej w słowo - wyłącznie o poezji.

Panna Beaumont zerwała się na nogi, aż filiżanki na stole zadzwoniły o spodki.

- Jak pan może się śmiać? Nie pomyślał pan o tym, co czeka pannę Blaine? Jest pan...

Kit wstał i spokojnie odstawił stolik, bojąc się, że Marina za chwilę coś straci.

- Moja droga panno Beaumont - powiedział łagodnie - nie mam najmniejszych wątpliwości, że nic z tego nie wyniknie. Kto by uwierzył, że mógłbym...?

- Ty zarozumiały piękniśiu! - wybuchnęła. - Myśli pan tylko o sobie... Uważa pan, że nikt by nie uwierzył, że pan - wielki Kit Stratton - mógłby potajemnie spotykać się z pospolitą dziewczyną w rodzaju Tilly Blaine! Czy mogę panu przypomnieć, że dwa razy spotkał się pan ze mną?

Kit głęboko zaczerpnął tchu. Co też go napadło, żeby powiedzieć coś tak niezręcznego? Kogut piejący na kupie gnoju

miał w sobie więcej pokory niż on. Panna Beaumont nigdy już nie potraktuje go poważnie. Chciał ponownie ująć jej dłoń, ale cofnęła się jak oparzona.

W tym momencie otworzyły się drzwi salonu.

Wróciła Emma.

- Ma pani ochotę na partyjkę faraona, milady?

- Owszem - odpowiedziała lady Luce. - Widzę, Mechante, że bardzo cię niepokoi moja dobra passa. - Pozwoliła, by lokaj zdjął jej ciemną wieczorową pelerynę. - Ciesz się, że nie jestem lady Blaine. Czasami przegrywam. Sama jestem ciekawa, czy dziś dopisze mi szczęście.

Lady Marchant kiwnęła głową.

- Jak pani sobie życzy, milady - powiedziała. - Moje salony zawsze stoją przed panią otworem.

Lady Luce prychnęła i ruszyła w stronę schodów.

- Co pani sądzi o najświeższych plotkach?

- Jakich plotkach? - zapytała szorstko lady Luce, przystając na stopniu.

- Oczywiście tych na temat najnowszej kochanki Kita Strattona, tajemniczej M.B.

Lady Luce zmrużyła oczy.

- Nie wiesz, kto to jest - odparła z satysfakcją. - Musi cię to niepokoić.

- A pani wie? - zapytała z ledwie skrywanym zacięciem lady Marchant.

- Oczywiście - stwierdziła z wyższością lady Luce. Uważnie przyjrzała się Mechante. - Nie zamierzam dzielić się tą informacją. Jeszcze nie teraz.

Lady Marchant zamierzała się odezwać, jednak lady Luce ją uprzedziła.

- Wiem, że nie darzycie się już miłością z Kitem Strattonem.

dem, więc dam ci małą wskazówkę, jako że z pewnością jesteśmy sojusznikami w tej sprawie. Tym razem Stratton posunął się za daleko. Za takie coś może zostać zmuszony do ustatkowania się. Wątpię, żeby go to ucieszyło. - Zaśmiała się nieprzyjemnie. - Ale ja bardzo się ucieszę. Chętnie nawet zapłaciłabym mu za to jego dwanaście tysięcy funtów. Szkoda, że się o tym nie dowie.

Oczy Mechante rozbłysły złośliwie.

- To M.B. jest damą? Panną?

Lady Luce pokiwała głową.

- Myślę, że zatańczymy na jego weselu.

- O, w takim razie to ktoś znany! Wątpię, czy zatańczę na weselu Strattona. Już prędeż na jego grobie.

Lady Luce uniosła brwi.

- Milady - powiedziała lady Marchant - nie udało mi się ustalić, kim jest M. B. Przyznaję, że moi informatorzy zawiedli na całej linii, ale nie próżnowałam. - Ciągnęła poufnym tonem: - Zauważyła pani, jak wzmogły się plotki na temat Kita i tej austriackiej baronowej? Myślę, że jej mężowi coraz trudniej udawać, że nic nie wie o jej przygodach. Co więcej, zadbałam o to, by zagraniczni dyplomaci, a szczególnie ambasador Francji, zrywali sobie boki ze śmiechu, mówiąc o baronie, który nie potrafi zatrzymać żony we własnym łóżku. Duma nie pozwoli baronowi tolerować tego dłużej. Myślę, że są duże szanse na to, że Kit Stratton dostanie kulkę, jeszcze zanim trafi do ołtarza.

- Bzdury! Kit Stratton to doskonały strzelec.

Lady Marchant uśmiechnęła się do starszej pani.

- Przecież nie mówiłam, że to będzie pojedynek, milady. Są inne sposoby...

Lady Luce przerwała jej w pół słowa.

- Istotnie. Dziękuję ci za informacje, Mechante. Będę

z zainteresowaniem śledzić rozwój wypadków. Tak się składa, że wydają wielkie przyjęcie w środowy wieczór. Będą tam wszyscy... dyplomaci, Strattonowie, cała londyńska śmietanka... Zapowiada się doskonała zabawa. Jaka szkoda, że nie mogę cię zaprosić, moja droga, ale jestem pewna, że to rozumiesz...

Marina dotarła właśnie do końca drugiej strony zapisków na temat przygotowań do przyjęcia, które miało się odbyć nazajutrz, kiedy wszedł ochmistrz z listem.

- Przyniósł go posłaniec lady Marchant - oznajmił Tibbs, wyciągając tacę ku lady Luce. - Nie czekał na odpowiedź.

Lady Luce dała mu znak do odejścia. Przez chwilę ważyła list w dłoni.

- Zastanawiam się... - mruknęła, po czym złamała pieczęć.

Marina uważnie obserwowała chlebobawczynię ze swego miejsca. Lady Marchant była potworną intrygantką. Lady Luce powiedziała Marinie, że Mechante uznała Kita za swego wroga. Trudno było znaleźć lepszy sposób na zaszkodzenie Kitowi niż zaatakowanie M.B.

List zawierał załącznik. Lady Luce odłożyła go delikatnie.

Ten kawałek papieru przypominał... O, nie! Tylko nie to! Lady Luce cmoknęła z zadowoleniem.

- Nie spodziewałam się, że mój sojusz z Mechante tak szybko wyda owoce. - Sięgnęła po odłożoną kartkę. - Baronowa dostanie szału. A Blaine'owie... Na pewno cię to ucieszy, Marino, po tym jak ta rodzina potraktowała twoją. Posłuchaj. „Do tej pory nie ujawnialiśmy tożsamości M.B., przez wzgląd na reputację młodej damy. Jednak wiemy już, że ta osoba nie zasługuje na takie względy. Z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że M.B. co najmniej dwukrotnie od wie-

dziła pana S. w jego domu w Chelsea i przebywała tam z nim sama. Z ubolewaniem przyjęliśmy wiadomość o tak daleko idącym rozluźnieniu obyczajów szlachetnie urodzonych panien. Ich rodzice powinni poważnie się zastanowić, czy nie mają sobie nic do zarzucenia..." Owszem, powinni - podsumowała lady Luce, kładąc gazetę na kolanach. Odłożyła lupę. - Ta nowobogacka wicehrabina za bardzo zadziierała nosa. Był już najwyższy czas, żeby jej go przytrzcęć.

Tysiące myśli przebiegały Marinie przez głowę. Ktoś musiał wyjawić informację o jej wizytach w Chelsea. Zapewne był to Kit Stratton. Nie. To niemożliwe. Przecież zdecydowanie temu zaprzeczył. Nie zrobił też tego sir Hugo, który obiecał, że dochowa tajemnicy. Jednak ktoś musiał to zrobić... Gdyby Marina wiedziała, kto to jest, zaraz by...

Nie. Uboga dama do towarzystwa nie mogła nic zrobić. Poza tym było już za późno na jakiegokolwiek działanie. Wystarczyło skojarzyć inicjały z jej nazwiskiem, by doprowadzić ją do upadku. Nie mogła zwlekać, ponieważ...

- Hrabia Luce, milady.

Hrabia wszedł do salonu, z egzemplarzem tego samego brukowca w rękę.

Marina poczuła, że jej serce trzepocze się w piersi jak jesienny liść na wietrze. Straciła wszelką nadzieję. Hrabia jej nie znosił. Kiedy dowie się, co zrobiła, postara się o to, żeby cały świat się o tym dowiedział.

- Mamo, przynoszę najświeższe wiadomości. Obawiam się, że przeżyjesz szok. To prawdziwy skandal...

Lady Luce sięgnęła po własny egzemplarz gazetki i pomachała nim synowi przed nosem.

- Oszczędź sobie trudu, Williamie - odparła z gryźliwie.
- Od dawna wiem o wszystkim.

Hrabia westchnął.

Marina najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Krew tętniła jej w uszach tak, że miała wrażenie, iż za chwilę rozsadzi jej głowę.

- Usiądź i powiedz mi - odezwała się lady Luce, z mizernym skutkiem starając się okazać zainteresowanie - jak Charlotte przyjęła te wiadomości?

- Niczego jej nie powiedziałem. Jest... Zrozum, mamó, Charlotte jest w... odmiennym stanie.

- Co?! Znowu? Na litość boską, Williamie, z trudem utrzymujesz dziesięcioro dzieci, a fundujesz sobie jedenaste. Co ty sobie myślisz?

- Pozwól, że ci przypomnę, iż małżeństwo zostało ustanowione przez Boga po to, byśmy się rozmnażali.

- Ha! Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś zaludnił całą ziemię. Jesteś osłem, Williamie. Czasami zastanawiam się, czy...

- Mamó - przerwał hrabia, mierząc surowym spojrzeniem Marinę, mimowolnego świadka jego upokorzeń - przyszedłem zapytać cię o radę. - Uniósł gazetę. - Mówisz, że wiesz, kim jest M.B. W takim razie musisz również wiedzieć, że spoczywa na mnie obowiązek podjęcia działań w tej sprawie.

Lady Luce uniosła brwi.

- Ktoś to musi zrobić, mamó. Jej ojciec będzie za granicą jeszcze co najmniej przez miesiąc, a jej brat jest jeszcze uczniem. Nie mogę uchylać się od odpowiedzialności. Pamiętaj, że jestem jej ojcem chrzestnym.

Ojciec chrzestny Tilly! Marina przymknęła oczy i pochyliła głowę. Splotła dłonie, by powstrzymać ich drżenie, i machinalnie zaczęła obracać żałobny pierścionek.

- W takim razie doszedłeś do wniosku, że miałam na myśli Tilly Blaine, czy tak, Williamie?

- Chcesz mi powiedzieć, że się mylę?
- Nic ci nie mówię. Sam wyciągaj wnioski. - Lady Luce zacisnęła wargi. - Jednak muszę stwierdzić, że nie zdziwi mnie żaden wybryk ze strony tej rodziny.

Hrabia hardo spojrział na matkę, jednak lady Luce niczego już nie dodała. Marina pomyślała, że jej chlebodawczyni wygląda jak kot, który przed chwilą złapał mysz i czeka na jej próbę ucieczki, by móc ją złapać jeszcze raz. Dlaczego ta starsza pani czerpała przyjemność z dręczenia jedynego syna?

- No dobrze. Nie pozostawiasz mi wyboru, mamó. Natychmiast udam się na rozmowę z lady Blaine. Z pewnością przeżyje szok, ale muszę uzyskać jej zgodę, zanim podejmę... odpowiednie kroki.

Odpowiednie kroki? Co miał na myśli? Co zamierzał zrobić?

Lady Luce wygodnie rozsiadła się w fotelu. W kąciakach jej warg błąkał się chytry uśmieszek. Milczała.

Hrabia poczekał chwilę, po czym powiedział:

- Milady. Życzę miłego dnia.

Skłonił się i wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, lady Luce zaczęła się śmiać.

- Nadęty osioł - powiedziała w końcu, rozprostowując plecy. Uniósłszy lornion, spojrzała na Marinę. - Co się z tobą dzieje, moje dziecko? Jesteś biała jak papier. Chyba nie powiesz mi, że ani odrobinę nie bawi cię ta farsa? Mówiłam, że to będzie lepsze niż teatr. Szkoda, że William przydzielił sobie główną rolę, ponieważ jego umiejętności aktorskie pozostawiają wiele do życzenia. Wątpię, czy będzie wywoływany przed kurtynę.

- Milady - odezwała się ledwie dosłyszalnie Marina. Od-

chrząknęła i spróbowała jeszcze raz. - Milady, czy mogę zapytać, co hrabia miał na myśli, mówiąc o... podjęciu odpowiednich kroków? Nie...

- Rzeczywiście z siebie prowincjuszka. - Lady Luce pokręciła głową z niedowierzaniem. - Nie sądziłam, że Yorkshire znajduje się tak daleko od cywilizowanego świata. Oczywiście zamierza doprowadzić do tego, żeby Kit Stratton ożenił się z tą dziewczyną. A co ty myślałaś?

Marina poczuła ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Nie była w stanie się poruszyć. Kit Stratton zostanie zmuszony do zawarcia małżeństwa bez miłości. To, że Tilly Blaine była nim oczarowana, nie miało żadnego znaczenia. Wkrótce nieszczęsna dziewczyna zorientuje się, że świeżo poślubiony mąż jej nienawidzi. Oboje czekał straszliwy los.

A winę za to wszystko ponosiła Marina.

Zamknęła oczy. Jej gniew na Kita Strattona, pretensje o zbytnią zuchwałość, gdzieś się ulotniły. Widziała teraz jego urodziwą twarz, oczy patrzące na nią ze współczuciem. Czuła na sobie dotyk jego dłoni, delikatny, niosący pocieszenie, mimo że Kit mógł oskarżać ją o zdradę. Jego postęпки nie zasługiwały na dożywotnią karę. Kochająca kobieta powinna się poświęcić, by go uratować. Kobieta, która naprawdę go kochała - a Marina nie była już w stanie dłużej udawać, że nie darzy go uczuciem - powinna wyznać prawdę, nie zważając na konsekwencje.

Boże, jak do tego doszło? Zakochała się w niegodziwym londyńskim uwodzicielu. Siedziała nieruchomo, przygotowując się do walki z samą sobą. Wbrew swej woli zakochała się w Kicie Strattonie. Gdyby to odgadł, z pewnością wykrzystałby przeciwko niej, a tego by nie zniosła.

Lady Luce nie zwracała uwagi na Marinę, zatopiona we własnych myślach.

- Nigdy mu się to nie uda - powiedziała z naciskiem.

Marina została gwałtownie przywrócona do rzeczywistości.

- Kit Stratton nie zgodzi się na związek pod przymusem.

Pięć lat temu udał się na wygnanie, żeby uniknąć ślubu z Emmą Fitzwilliam... która była piękna, a do tego majątna. Bez wątpienia odmówi poślubienia pustej, brzydkiej lalki, takiej jak Tilly Blaine. Zwłaszcza jeśli będzie się tego domagał William. Kit roześmieje mu się w twarz.

- Przecież panna Blaine...

- Bzdura! Zaczynij myśleć, Marino. Wszyscy wiedzą, że kochanki Kita Strattona są jak najszlachetniejsze klejnoty. Skoro Tilly Blaine znalazła się z nim sam na sam, musiała o to zabiegać. Nie mogę powiedzieć, że bym była zaskoczona po tym, jak zrobiła z siebie widowisko u lady Stratton. Sama będzie odpowiedzialna za swój upadek i za to, że William wyjdzie na głupca, którym jest w istocie. Coś mi się wydaje, że cała rodzina Blaine'ów będzie musiała wyjechać za granicę. - Z widocznym zadowoleniem na twarzy pokiwała głową. - Ty i ja będziemy mogły sycić się zemstą, moja panno, a londyńskie towarzystwo nareszcie się ich pozbędzie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Skrzyczała mnie, Hugo. Miałem wrażenie, że rzuci się na mnie z pazurami jak lwica. Szkoda, że musiałem ugasić ten ogień... i to dość bezwzględnie.

Hugo przyjrzał się bratu, ale nie powiedział ani słowa.

- Najwyraźniej uważała, że jestem kompletnie pozbawiony uczuć, ale myśl, że mogłem mieć do czynienia z Tilly Blaine, była tak absurdalna... Niemniej jednak nie powinienem się śmiać. Przyznaję się do winy, ale...

- Bardzo dobrze, Kit, ale czy przeprosiłeś pannę Beaumont?

- Nie miałem okazji. Właśnie wróciła Emma i nie mogłem już nic powiedzieć. Sytuacja...

- Sytuacja była taka, że Emma natychmiast zorientowała się, że pod jej nieobecność coś się stało. Powiedziała mi, że panna Beaumont była przygnębiona. To właśnie dlatego przyszedłem. Dobrze wiesz, że czuję się odpowiedzialny za pannę Beaumont. Muszę cię zapytać, Kit, czy przypadkiem jej nie wykorzystałeś?

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobił. Trzymałem ją za rękę, nic więcej. Była przejęta, ale bardziej martwiła się o pannę Blaine niż o siebie.

- To niezwykła kobieta - zauważył Hugo.

Kit w zamyśleniu skinął głową. Już dawno temu doszedł do tego wniosku. Groziła jej utrata reputacji, jednak bardziej przejmowała się innymi niż sobą. Nigdy dotąd nie spotkał

takiej kobiety. Postanowił, że zrobi wszystko co w jego mocy, żeby ją ochronić. Zdawał sobie sprawę, że ma ograniczone możliwości. Powinien się dowiedzieć, gdzie była i co zrobiła jego gospodyni, jednak tak oburzyło go oszustwo tej kobiety, że zwolnił ją w chwilę po wyjściu baronowej. Nie był w stanie jej teraz odnaleźć.

Ochmistrz Kita zapukał i wszedł do pokoju, przynosząc list na tacy.

- Przepraszam, ale właśnie go doręczono. Posłaniec mówi, że to pilne. Czeka na odpowiedź.

- Dobrze - rzekł Kit, otwierając list. - Zaprowadź go do kuchni. Zadzwoń, kiedy będę gotowy.

- Tak jest. - Ochmistrz wycofał się bezszelestnie.

Hugo usiadł przy kominku.

- Nieźle wytrenowałaś swoich służących.

Kit skrzywił się.

- Może tutaj - stwierdził ponuro - ale, niestety, nie we wszystkich moich domach. Boże!

- Co się stało? - zapytał Hugo, wstając.

- To list od Kathariny... baronowej. Pisz, że jej mąż wszystko wie o jej romansach i że jej grozi.

- Czego ona jeszcze od ciebie chce? Przecież uprzedziłeś ją, że skierujesz jej męża do najnowszego kochanka. Jak on się nazywa? Cullen?

Kit przytaknął.

- Wygląda na to, że tylko ja mogę jej pomóc. Prosi, żebyś się z nią spotkał, ale... - ponownie zajrzał do listu, chcąc się upewnić, że niczego nie przeoczył - nie podaje czasu ani miejsca. Pisz tylko, że nie ma odwagi pojawić się w Chelsea.

- Brzmi podejrzanie.

- Ja też tak uważam - przyznał Kit. - Takie rozpaczliwe

listy nigdy nie robiły na mnie wrażenia. „Nie zawieźdź mnie” - pisze. Co mam o tym sądzić?

- Myślę, że to jakaś nieczysta sprawa. Zignorujesz to?

- Nie. - Usiadł przy biurku. - Na razie - powiedział, przystępując do pisania - wyrażę zgodę. A kiedy ustalą warunki...

- A kiedy ustalą warunki, na pewno nie pójdziesz sam na to spotkanie.

Kit uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Chcesz bronić mojej skóry, braciszku?

Hugo odwzajemnił uśmiech.

- Przypominam sobie, jak mówiłeś, że po to ma się braci.

Kit nie odpowiedział i wrócił do pisania listu. Hugo zajął miejsce w fotelu, pozornie zadowolony.

Ochmistrz zjawił się, gdy Kit osuszał list. To było dziwne. Przecież nie zadzwonił na służbę.

- Zaczęłaś czytać w moich myślach? - zapytał z przekąsem, patrząc na mężczyznę z ukosa.

- Nie, sir - odpowiedział spokojnie ochmistrz. - Przyszedł lord Luce. Chce natychmiast się z panem zobaczyć.

- To wszystko wyjaśnia. - Kit zapieczętował list i podał go ochmistrzowi. - Oddaj go posłańcowi. A teraz... sądzę, że powinienem zaprosić tu mojego gościa.

Lord Luce wpłynął do pokoju jak okręt pod pełnymi żaglami, wypatrujący wroga, by zagrzmieć salwą wystrzałów z dział. Przystanął jednak gwałtownie, zorientowawszy się, że Kit nie jest sam.

- Zapewne zna pan mojego brata, sir Hugona Strattona - odezwał się z wyszukaną uprzejmością Kit.

- Owszem - rzekł hrabia przez zaciśnięte zęby. - Jednak mam sprawę do pana i wolałbym załatwić ją na osobności.

Hugo, który wstał, by skłonić się hrabiemu, spokojnie

usiadł. Kit z trudem powstrzymał uśmiech. Hugo potrafił być niezwykle uparty, a tym razem najwyraźniej uznał, że wizyta lorda Luce wymaga obecności świadka.

- Darzę mojego brata absolutnym zaufaniem - oznajmił Kit. - Możemy o wszystkim rozmawiać w jego obecności. Proszę, niech pan usiądzie. - Wskazał hrabiemu fotel. - Czym mogę panu służyć?

Hrabia nie skorzystał z propozycji. Nie usiadł. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał pęknąć ze złości.

- Może mi pan usłużyć, proponując małżeństwo mojej chrzestnej córce, pannie Mathildzie Blaine! Nie będę poniżał jej ani siebie, podając powody, dla których powinien pan tak postąpić, gdyż doskonale je pan zna.

A więc to tak, pomyślał Kit. Pod nieobecność ojca jej ojciec chrzestny przybył tu, żeby domagać się satysfakcji. Szkoda tylko, że lordowi Luce brakowało należytej godności, by dobrze odegrać rolę skrzywdzonego rodzica.

- Obawiam się, że pan się myli - stwierdził powoli i wyraźnie Kit. - Nie dałem pannie Blaine żadnego powodu, by mogła spodziewać się moich oświadczeń.

- Ty krętaczu! Jesteś wcielonym diabłem, Stratton! A co mają znaczyć dwa spotkania w pańskim domu schadzek w Chelsea? Uważa pan, że to niewystarczający powód, he?

Kit ściągnął wargi.

- Czy panna Blaine wyraźnie powiedziała panu, że tam była? - Zauważywszy wahanie Luce'a, dodał: - Mam wrażenie, że nie.

- Nie musiała. Jej matka jej to zarzuciła, a ona nie zaprzeczyła. Nie mogła zaprzeczyć; przecież widziano was we dwoje, do diabła!

- Wolno mi spytać, kto nas widział?

Hrabia zaczerwienił się.

- Nieważne kto. I tak cała Londyn będzie o tym wiedziała. Dziewczyna będzie skończona, jeśli nie uratuje pan jej honoru. A ja zamierzam dopilnować, żeby pan to zrobił!

Kit złożył ręce za plecami i zaczął wolno przechadzać się przed kominkiem.

- Naprawdę wielka szkoda - powiedział w końcu, kręcąc głową - że nie zgadzamy się w tej kwestii.

- Co?! Ty...

- Nie mam absolutnie żadnych zobowiązań względem panny Blaine. Proszę przekazać tę wiadomość wicehrabinie, wraz z należnymi wyrazami szacunku. Życzę panu miłego dnia.

Kit ruszył do drzwi z zamiarem ich otwarcia. Hugo wstał. Hrabia nie wytrzymał.

- Na miłość boską, dopilnuję, żebyś poniósł za to karę! Wszystkie drzwi w Londynie będą dla ciebie zamknięte! Dla was wszystkich! - Wyszedł z pokoju, gniewnie mamrocząc.

Kit spokojnie zamknął za nim drzwi i wzruszył ramionami.

- Nieprzyjemna sprawa - powiedział. - Przepraszam, że musiałeś być świadkiem tej sceny, Hugonie.

- Co zamierzasz zrobić? Nie wierzę, że pozwolisz na to, żeby ten błazen oczernił cię w całym Londynie.

- Nie tylko mnie, ale nas wszystkich, Hugonie. Jego groźby dotyczyły również ciebie i Emmy.

- Oczywiście porozmawiam na ten temat z Emmą, ale nie lubię gróźb.

- Ja również nie - przyznał Kit. - W tym wypadku chodzi o honor damy.

- Panny Beaumont?

Kit skinął głową.

- Nie mogę obalić zarzutów Luce'a, nie kompromitując przy tym panny Beaumont. To wykluczone.

- A masz jakiś wybór?

- Oczywiście. Nie podejmę żadnych kroków. Nie zamierzam dać się zakuć w małżeńskie kajdany, Hugonie. Nawet gdybym miał na to ochotę, panna Blaine byłaby ostatnią osobą, którą wziąłbym pod uwagę. Niech Luce robi, co chce... jeśli się na to odważy. Nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że dobrowolnie chciałem się spotkać - i to aż dwa razy! - z Tilly Blaine. Luce wystawi się na pośmiewisko.

- To bardzo ryzykowny plan. W dodatku panna Blaine będzie skompromitowana w towarzystwie. Nie pomyślałeś o niej?

- Panna Blaine sama prosiła się o kłopoty, Hugonie. Słyszałeś, co powiedział Luce: dziewczyna miała okazję zaprzeczyć oskarżeniom, ale nie zrobiła tego.

- Obawiam się, że chwytła się każdej szansy, by cię poślubić.

- A więc jest jeszcze głupsza, niż myślałem - zauważył z goryczą Kit. - Byłbym dla niej potwornym mężem, Hugonie.

- To pierwsze sensowne zdanie, jakie wygłosiłeś tego ranka - powiedział Hugo z przelotnym uśmiechem. Ruszył do drzwi. - Obiecujesz, że każesz mnie natychmiast powiadomić, kiedy tylko Luce da ci znać? Albo baronowa? Dobrze. Nie zapomnij, że Emma spodziewa się ciebie dzisiaj po południu. Nie przyjmie żadnych wymówek.

Kit pozostawał w nonszalanckiej pozie, dopóki za bratem nie zamknęły się drzwi. Potem usiadł na krześle przy biurku i wsunął palce w gęste włosy. Pomyślał, że Hugo zachował się nadzwyczaj powściągliwie. Wszystko potwornie się zagmatwało. Najpierw Katharina, a potem ta Blaine. Chyba oszalała! Przecież żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wierzyła w to, że może zmusić mężczyznę do ożenku, oczerniając go na podstawie kłamliwych plotek. Jakiego małżeństwa mogła się spodziewać?

Panna Blaine zapewne zupełnie o tym nie pomyślała. Większości kobiet chodziło tylko o to, by stanąć przed ołtarzem w pięknym ślubnym stroju. Hugo powiedział - i miał rację - że bierne czekanie jest w tym wypadku niebezpieczne. Luce z pewnością nie będzie milczał, a zawsze znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że nie ma dymu bez ognia. Mimo że wszyscy wiedzieli, iż Kit Stratton nie zadawał się z niezamężnymi kobietami, i to w dodatku mało urodziwymi, zaczęła się zastanawiać... i będą plotkować. W końcu Kit zostanie zmuszony do oświadczenia się pannie Blaine.

Będzie musiał wtedy wyjechać za granicę.

Jednak czy w oczach towarzystwa nie będzie oznaczało to przyznania się do winy? Należało też pomyśleć o Hugonie i Emmie. Niesława, którą się okryje, spadnie również na nich.

Gdyby wyjechał z Anglii, szybko zapomniano by o skandalu.

Miał trudny wybór. Mógł uciec. Jeszcze raz. Mógł też zdradzić Marinę Beaumont. To jednak nie wchodziło w rachubę.

Marina zatrzymała się przy schodach. Nie była pewna, czy powinna odwiedzić Fitzwilliam House po utarczce z Kitem Strattonem poprzedniego dnia. Była ogromnie zakłopotana, kiedy lady Stratton weszła do salonu. Starła się ukryć gniew, ale Emma nie dała się zwieść.

Zastanawiała się, co Stratton powiedział potem na temat ich sprzeczki. Może udawał, że nic się nie stało? A może lady Stratton uprzejmie o to nie zapytała?

Marina nie miała skąd się tego dowiedzieć, tak jak nie mogła zlekceważyć prośby o jak najszybsze przybycie do Fitzwilliam House. Lady Stratton przysłała nawet powóz, który miał czekać na Marinę przed domem lady Luce.

Nie żywiła wątpliwości, dlaczego została wezwana. Za-

proszenie wyszło od lady Stratton, jednak na pewno chodziło o Kita Strattona. Wzięła głęboki oddech i wstąpiła na schody. Drzwi otworzyły się, jeszcze zanim zdążyła zakołatać. Wyraźnie na nią czekali. Odruchowo odpowiedziała na powitanie ochmistrza i udała się za nim do salonu lady Stratton. W jej głowie aż kłębiło się od pytań. Co powie Emmie, która była dla niej taka miła? Co zrobi sir Hugo, znający całą prawdę? Lady Luce była pewna, że Kit nie pozwoli się zmusić do zawarcia małżeństwa z Tilly Blaine, ale przecież mogła się mylić.

Marinę uczono, by była szczerą i myślała o innych, jednak w zaistniałej sytuacji te proste prawdy nie miały zastosowania, gdyż nie była w stanie zadośćuczynić jednej stronie, nie raniąc drugiej. Było jej żal Tilly Blaine, ale jedyna możliwość uratowania jej reputacji wiązała się z pogrążeniem Kita. Marina nie była na to przygotowana i nie chodziło tu o miłość, bo tę zdążyła już pogrzebać, tylko o honor.

- Pani Beaumont, milady.

Lady Stratton podeszła do Mariny i ujęła jej dłoń. Sprawiała wrażenie mniej opanowanej niż zwykle. Na szczęście była sama. Marina obawiała się spotkania z braćmi Stratton.

- Dziękuję, że przybyłaś tak szybko, moja droga. Lady Luce nie robiła żadnych trudności?

- Nie, milady. Jest teraz bardzo zajęta planowaniem przyjęcia, a poza tym dziś wieczorem wybiera się na karty. Powiedziała, że nie będę jej potrzebna.

- To dobrze. Nie chciałabym przysparzać jej kłopotów. Usiądź, proszę. Zdejmij kapelusz i czuj się jak u siebie w domu. Zadzwoń, żeby podano herbatę.

Marina spełniła prośbę, zastanawiając się, co ją czeka.

Jej niepewność nie trwała długo. Flegmatyczny ochmistrz wniósł tacę z herbatą, a za nim pojawił się Kit Stratton.

- Panno Beaumont - przywitał ją oficjalnie i się skłonił.

Marina czuła taką suchość w gardle, że nie była w stanie wymówić ani słowa. Pochyliła głowę.

- Panno Beaumont, mam nadzieję, że mi pani wybaczy

- zwróciła się do Mariny lady Stratton, lekko zaróżowiona

- ale znów muszę wyjść i naradzić się z moim mężem. Wiem jednak, że doskonale będzie pani pełnić honory gospodyni.

- Wyszła z pokoju, zanim Marina zdążyła zareagować.

Znów została sama z Kitem Strattonem. Patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Śmietanka i cukier, panie Stratton? - zapytała Marina.

Miała wrażenie, że skrzeczy jak żaba.

- Tak, milady. Nie zmieniłem od wczoraj upodobań.

Nie zamierzał ułatwiać jej zadania, jednak Marina nie mogła mieć o to do niego pretensji. Zapewne najchętniej by ją udusił za to, co zrobiła, jednak jako dżentelmen postanowił ograniczyć się do przygwożdżenia jej zarzutami.

Podawała mu filiżankę. Nie uśmiechnęła się i nie powiedziała ani słowa.

Kit przerwał milczenie.

- Zapewne wie pani, że lord Luce odwiedził mnie dzisiaj? - Zaczekał, aż kiwnie głową, po czym dodał: - Wie pani, o co mu chodziło?

Ponownie przytaknęła. Cóż mogła powiedzieć w tej sytuacji?

- To nam ułatwi rozmowę. - Urwał, starannie umieścić filiżankę na tacy i odwrócił się w fotelu tak, by patrzeć prosto w oczy Mariny. - Muszę się upewnić, panno Beaumont, czy nie zamierza pani w jakikolwiek sposób interweniować w tej sprawie.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Czyżby Kit naprawdę przypuszczał, że Marina będzie spokojnie przyglądać się, jak lord

Luce zmusza go do zawarcia małżeństwa bez miłości? Jak mogła zakochać się w człowieku, który uważał, że jest zdolna do takiej podłości?

Popatrzyła w jego niebieskie oczy i nie odwróciła wzroku. Zamierzała udowodnić, że nie jest tchórzem.

- Panie Stratton - powiedziała cicho, lecz zdecydowanie - jestem biedna, ale nie brakuje mi honoru. Nie byłam w stanie wyjawić prawdy lordowi Luce tego ranka... - wydawało jej się, że widzi błysk w jego oku - ale zamierzam mu o wszystkim powiedzieć przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Nie mam żadnych wątpliwości, że lady Luce zadba o to, by wszyscy przekonali się, że ta skandaliczna plotka jest fałszywa.

Chwycił ją za nadgarstek tak mocno, że aż poczuła ból.

- Panno Beaumont, niech mi wolno będzie powiedzieć, że jest pani szalona. Zamierza pani ogłosić światu, że spotkała się pani z największym londyńskim rozpustnikiem... i to aż dwa razy? Co pani chce przez to osiągnąć? Oczywiście oprócz doszczętnego zrujnowania swojej reputacji. - Mocniej ścisnął jej rękę. - Myśli pani, że tym wyznaniem uchroni pannę Blaine od popadnięcia w niesławę? Już za późno, moja droga dziewczyno. Właśnie publicznie przyznała, że to ona jest M.B.

- Nie! Nie mogła tego...

- Usłyszałem to z ust jej chrzestnego ojca, panno Beaumont. Czy chce pani, żebym zarzucił mu kłamstwo?

- Nie, ale przecież...

- Jestem zadowolony, że chociaż tego mi pani oszczędziła. A teraz - powiedział, przyciągając ją do siebie - proszę mnie posłuchać. Dałem już lordowi Luce moją odpowiedź. Wszystko zostało postanowione. Pani nie szepnie nikomu ani słówka o swoim udziale w całej sprawie... ani lady Luce, ani

nikomu innemu. Pani opowieść niczego by tu nie zmieniła... Jedynie otrzymałaby pani etykietkę kolejnej zawiedzionej kochanki Kita Strattona.

- Ale... - Usiłowała się wyrwać. Nie mogła pozwolić, żeby został zmuszony do zawarcia niechcianego małżeństwa.

Delikatnie przyłożył palec do jej warg.

- Bądź cicho, Marino, i słuchaj, co mam ci do powiedzenia. Czy ty nigdy nie robisz tego, o co się ciebie prosi?

Ten gest zmienił wszystko. Chociaż trzymał jej dłoń w mocnym uścisku, palec muskał jej wargi delikatnie jak skrzydło motyla. Miała ochotę poznać smak skóry Kita. Jej uczucia musiały być wypisane na twarzy, gdyż lekko rozluźnił uścisk, a drugą ręką odsunął zbłąkany kosmyk z jej policzka. Nie dotknął już potem jej ust.

- Niedługo wróci pani do Yorkshire. Myślę, że za jakiś tydzień. Powie pani, że nie musi już dłużej być zatrudniona jako dama do towarzystwa, ponieważ brat będzie miał okazałe dochody. To prawda, chociaż w obecnej sytuacji nie będzie mógł ich czerpać ze Stratton Magna. Gdyby zamieszkała pani w mojej posiadłości, mogłyby wynikać z tego... kłopoty.

- W pańskiej posiadłości? Czy pan również tam mieszka?

- Zamierzam zamienić ten majątek na inny - odpowiedział spokojnie.

W tym momencie wszystkie tęsknoty Mariny ustąpiły miejsca wielkiej potrzebie uderzenia go w tę dumną twarz. Chłodno, precyzyjnie zaplanował życie jej i członków jej rodziny, o nic nie pytając. Poza tym w oczywisty sposób był zdecydowany dać się zaszantażować i zgodzić się na małżeństwo z Tilly Blaine. Głupi, arogancki...

- Rozumiem - powiedziała ze złością. - Mam nadzieję, że wolno mi się już odezwać. To bardzo miłe z pańskiej strony, panie Stratton. - Zerwała się na nogi i uwolniła rękę, wy-

dając przy tym cichy okrzyk bólu. - W takim razie niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie, że nie mam najmniejszego zamiaru przyjmować od pana rozkazów. Tilly Blaine jest głupia, a do tego nieuczciwa, jeśli w ten sposób chce złapać męża. Powiem prawdę wszystkim, którzy będą chcieli jej słuchać. A jeśli to zrujnuje moją reputację... sama sobie będę winna. To ja doprowadziłam do tej sytuacji i jestem przygotowana na poniesienie konsekwencji moich poczynań. A poza tym...

Nie otrzymała szansy na dokończenie wypowiedzi. Kit chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Marino, jesteś najodważniejszą i najbardziej nieźną kobietą, jaką spotkałem.

A potem ją pocałował. Wiedziała, że pragnie jej tym udowodnić, iż jest słaba i nie ma szans mu się przeciwstawić. Dotknięcie jego warg sprawiło, że uśpione marzenia powróciły ze zdwojoną siłą. Pragnęła jego miłości i delikatnych pieścizot. Pragnęła go... mimo wszystko.

Była szalona!

- Nie! - krzyknęła, odpychając go z całej siły, gdy wsunął rękę w jej włosy. - Nie chcę być pionkiem w pańskiej grze, panie Stratton! Nawet zwykła dama do towarzystwa ma sumienie, a ja zamierzam iść za jego głosem. Życzę panu miłego dnia. - Chwyciła kapelusz i wybiegła z pokoju, nie dając Kitowi szansy na odpowiedź.

Chyba po raz pierwszy w życiu Kit poczuł się zagubiony. Przy Marinie Beaumont tracił władzę nad kobietami. Brutalnie ją poskromił, przyprawił o gniew, a potem pocałował tak, jakby miał zamiar ją ukarać. Za co? Za to, że ośmieliła się stawić mu czoło? Że chciała się poświęcić, by uratować go od konieczności związania się węzłem małżeńskim z okropną panną Blaine?

Musiał coś zrobić... gdyż w przeciwnym razie Marina będzie zgubiona. Była wcieleniem cnót, kobietą jedną na tysiąc, a groziło jej ugrzęźnięcie w bagnie tylko dlatego, że starała się bronić Kita. Jego ucieczka nie na wiele by się zdała. Pannę Beaumont mogło uratować jedynie jej własne milczenie, lecz nie zamierzała milczeć.

Opadł na fotel, by raz jeszcze wszystko przemyśleć. Zajęło mu to sporo czasu, jednak w końcu znalazł rozwiązanie. Nie było mu ono w smak.

Małżeństwo.

Sytuacja wymagała, by oświadczył się Tilly Blaine. Kiedy wiadomość o zbliżającym się ślubie rozejdzie się po Londynie, nic już nie będzie w stanie mu zapobiec. Marina zrozumie, że jej wyznania zdadzą się na nic. Musiał tylko zadbać o to, by jak najszybciej rozeszła się wieść o oświadczeniach.

Z rozpaczą pokręcił głową. Jeszcze przed tygodniem nie uwierzyłby, że jest to możliwe. On, Kit Stratton - uwodziciel, który zarzekał się, że żadna kobieta nigdy go nie usidli - zobojętniał na sprawy ożenku. Było mu wszystko jedno, czy zostanie zmuszony do zawarcia małżeństwa, czy też nie.

Podszedł do sekretarzyka Emmy w rogu pokoju. Postanowił przełknąć dumę i zażądać - nie, poprosić - o pilne spotkanie z lordem Luce i zaproponować mu, że ożeni się z Tilly Blaine.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Marina zbiegała w dół, potykając się o własne nogi. Starsza pani zażyczyła sobie jej pilnego stawiennictwa w salonie. Lord Luce ponownie odwiedził matkę, prawdopodobnie po to, by opowiedzieć o swym spotkaniu z Kitem Strattonem. Teraz nadeszła szansa Mariny na przekonanie hrabiego, że myli się co do swej chrześnicy i Kita Strattona. Być może był jeszcze czas, żeby zapobiec ogłoszeniu zaręczyn.

Hrabia okazał niezadowolone z pojawienia się Mariny, jednak tym razem się nie odezwał. Widocznie zdał sobie sprawę, że jego protesty pobudzają tylko wybuchowy temperament matki.

- A więc miałam rację - stwierdziła z satysfakcją lady Luce, nie zwracając uwagi na Marinę.

- Niezupełnie, mamó - odpowiedział hrabia. - To prawda, że młody Stratton zachował się tak, jak przewidywałam, kiedy wczoraj złożyłem mu wizytę. Jednoznacznie uznał, że nie ma żadnych zobowiązań w stosunku do dziewczyny. Przek... Okropny zuchwalec.

Lady Luce sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej.

Marina nie wierzyła własnym uszom. To niemożliwe! Przecież Kit zamierzał ożenić się z Tilly Blaine. Tak właśnie powiedział. Lord Luce chyba źle go zrozumiał...

- Po omówieniu całej sprawy z lady Blaine, postanowiliśmy... postanowiłem dać mu jeszcze trochę czasu, zanim podejmę jakiegokolwiek kroki.

- Ha! Chciałeś raczej powiedzieć, że lady Blaine poprosiła cię, żebyś nic nie mówił. Ona przynajmniej wykazuje odrobinę rozsądku i widzi, że nie ma sensu dać w fanfary na ruinach reputacji córki. Dobrze wie, że i tak za chwilę zaroi się od plotek. Tymczasem ty...

- Tymczasem okazało się, że miałem rację, mi lady - oznajmił. - Młody Stratton napisał do mnie, prosząc o jak najrychlejsze spotkanie. Ma przyjść dzisiaj. Nie wątpię, że postanowił oświadczyć się Tilly. - Uśmiechnął się z wyższością. - Lady Blaine jest zachwycona... Możesz to sobie wyobrazić. Kiedy od niej wychodziłem, pisała do męża, przekazując mu dobre wiadomości i podkreślając, że rodzina ma wielkie szczęście, że trafiła na tak wspaniałego pośrednika jak ja. Powiedziała mi, że żaden ojciec chrzestny nie spisałby się lepiej. Zawsze wiedziałem, że mam zdolności dyplomatyczne, ale...

- Masz tylko zdolność oszukiwania się - zripostowała lady Luce. - Myślisz, że teraz czeka cię owacja ze strony Blaine'ów i ich towarzystwa za to, co dla nich zrobiłeś? Zapewniam cię, że nic takiego się nie stanie.

- Przepraszam, milady - zaczęła Marina, rozpaczliwie starając się zwrócić na siebie uwagę. Była zdecydowana wszystko wyjaśnić.

- Nie teraz, Marino. Rozmawiam z Williamem.

- Ale milady, to bardzo ważne. Pan Stratton został niesłusznie skrzywdzony. Panna Blaine nigdy nie była z nim sama.

Zapadła cisza. Lord Luce stał z wybałuszonymi oczami.

- Co ty mówisz?! - wykrzyknęła lady Luce, odwróciwszy się w stronę Mariny.

- Panna Blaine nie jest M.B. To ja nią jestem.

- To niemożliwe...

- Cicho bądź, Williamie. Marino? Proszę to wyjaśnić.

- To prawda, milady. To ja odwiedziłam pana Strattona w jego domu w Chelsea. Dwa razy.

- Ostrzegałem cię, żebyś nie trzymała pod swoim dachem tej... latawicy, mamó. Powinnaś była...

- Prosiłam cię, żebyś był cicho, Williamie. Jestem pewna, że Marina miała poważne powody, by tak postąpić.

Dopiero wtedy Marina zdała sobie sprawę, że będzie musiała wyjaśnić, dlaczego poszła do Kita Strattona. Jej przerażenie musiało być wypisane na twarzy, ponieważ lady Luce dodała pośpiesznie:

- Później o tym porozmawiamy, moje dziecko. A co do misji Williama. To by było na tyle, jeśli chodzi o twoje wielkie zwycięstwo, co? Teraz nie możesz już liczyć na to, że uda ci się wydać ją za męż. - Marina zupełnie nie wiedziała, dlaczego lady Luce jest taka zadowolona.

- Nonsens - stwierdził hrabia. - Nie wierzę w to, co mówi panna... ta osoba. Nie wierzyłem jej ani przez chwilę. Mamó, zrozum, że Tilly przyznała się do tego, że była ze Strattonem. Sugerujesz, że córka wicehrabiego okłamała własną matkę?

- Powiedz mi, Williamie - odezwała się cicho lady Luce - co dokładnie powiedziała twoja droga Tilly?

Hrabia sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Oczywiście nie byłem przy tym obecny. Lady Blaine powiedziała, że zarzuciła Tilly, że jest M.B., a Tilly... a Tilly nie zaprzeczyła. Więc to musi być prawda.

- Bzdury! Tilly Blaine ma ptasi mózdzek pomimo końskiej twarzy. Założę się o każdą sumę, że nic nie powiedziała. Pewnie stała z gębą rozdziawioną na samą myśl o tym, że mogłaby być sama z Kitem Strattonem. No i...?

Hrabia zaczął przechadzać się po pokoju. Lady Luce posłała porozumiewawcze spojrzenie Marinnie.

Zatrzymał się gwałtownie.

- To nieważne, czy Tilly była z nim, czy nie. Liczy się tylko to, że jest gotów jej się oświadczyć. Jego list nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. - Poklepał się po kieszeni. - Nigdy nie trafi nam się lepsza partia dla Tilly. Ma niezły posag, ale co do reszty... Nie możemy dopuścić do tego, by taka okazja przeszła jej koło nosa. Jej ojciec będzie zachwycony, że złapałem dla niej tak bogatego męża.

Gdyby Marina nie słyszała tych słów, nigdy by nie pomyślała, że szlachetnie urodzony człowiek może być tak nikczemny.

Lady Luce nie posiadała się z oburzenia.

- Jesteś łajdakiem, Williamie. Interesuje cię tylko to, żebyś mógł chełpić się zwycięstwem nad Kitem Strattonem. Zapewniam cię, że do tego nie dopuszczę. Kit Stratton może sobie być rozpustnikiem, ale jest wart dziesięciu takich jak ty.

- Ale przecież nienawidzisz Kita Strattona, mamo!

Hrabia wyraził na głos myśl Mariny. Dlaczego lady Luce stanęła po stronie Kita przeciwko własnemu synowi? Niezależnie od tego, jak bardzo nim pogardzała, łączyły go z nią więzy krwi.

- Nie aż tak bardzo jak ciebie i rodziny mężczyzny, który cię spłodził.

- Co? Przecież mój ojciec dał ci ten dom... i...

- Twój ojciec wyparł się mnie i porzucił. Nie zauważyłeś, jak mało jesteś podobny do przodków na rodzinnych portretach? - Pokręciła głową. - Pewnie nie zauważyłeś. Blaine'owie nigdy nie grzeszyli inteligencją.

Hrabia otworzył usta i opadł na krzesło, jakby uszło z niego powietrze.

- Nie pozwolę, żeby ta przeklęta rodzina jeszcze raz za-

triumfowała nade mną... nawet gdybym miała się w tym celu sprzymierzyć z Kitem Strattonem. Ostrzegam cię, Williamie. Jeśli będziesz starał się doprowadzić do tego małżeństwa, ogłoszę całemu światu, że twoim ojcem był świętej pamięci wicehrabia Blaine.

- W ten sposób wywołasz skandal, który zaszkodzi przede wszystkim tobie - zaprotestował nieśmiało.

- I co z tego? Jestem już stara. Wszyscy, którzy mieli dla mnie znaczenie... mój mąż, nasz syn... dawno już nie żyją. Dlaczego miałabym przejmować się tym, co ludzie o mnie mówią?

- Wciąż jestem twoim synem, mamó - odpowiedział z zaskakującą godnością - a moje dzieci są twoimi wnukami. Chcesz zniszczyć im życie z powodu głupiej zemsty?

- Głupiej? Twój ojciec... Twój prawdziwy ojciec... uwiódł mnie, a potem ściągnął mnie na dno. Moja rodzina zamierzała mnie wydziedziczyć. Umarłabym, gdyby nie lord Luce. Ożenił się ze mną i ocalił moją reputację. A kiedy nasz syn zginął w Indiach, a mój mąż wkrótce po nim, lord Blaine - twój ojciec - pojawił się, żeby cieszyć się z mojego cierpienia. Powiedział, że twój brat był mięczakiem, z rodziny słabeuszy, i że powinnam być zadowolona, że ciebie spłodził prawdziwy mężczyzna. - Popatrzyła na Williama. - Nie jesteś moim synem. Popatrz tylko na siebie, zastanów się nad swoimi skłonnościami do tyranizowania innych i płodzenia dzieci. Jesteś prawdziwym Blaine'em.

- Nie, mamó. Zgodnie z prawem jestem prawowitym hrabią Luce.

- Tytuł powinien być przypisać Rolandowi. On był jedynym prawdziwym Luce.

- Mój brat nie żyje, mamó. Żadna zemsta ci go nie przywróci.

- Wiem, ale Blaine'owie powinni cierpieć, tak jak ja cierpiałam. Ja nie żartuję, Williamie. Jeśli zmusisz Kita Strattona do ożenku z tą smarkulą Blaine'ów, twoją chrześnicą, to ogłoszę wszystko przed ołtarzem.

Wstał.

- Dobrze się zastanów, zanim to zrobisz, mamó. Pamiętaj, że uchodzisz za osobę... niekonwencjonalną. Ludzie postrakują to jak bredzenie wariata...

- Bzdury!

- W każdym razie to, co powiesz, nie będzie miało wpływu na postępowanie lady Blaine. Co ją to obchodzi, że miałaś romans z jej teściem? Dawno już nie żyje, podczas gdy jej córka i groźba utraty reputacji są bardzo realne. Nie łudź się, mamó, że ten podły szantaż może się powieść. - Szybko się uklonił. - Życzę miłego dnia, milady - dodał i wyszedł.

Marina nie wierzyła własnym uszom. To wszystko przypominało jej fabułę gotyckiej powieści. Do tej pory wydawało jej się, że takie rzeczy nie zdarzają się w życiu.

Lady Luce popatrzyła na Marinę.

- Przeżyłaś szok, moje dziecko? - zapytała łagodnie. W jej głosie nie wyczuwało się charakterystycznej zadziorności. - Coś mi się wydaje, że twoja babka mogłaby ci opowiedzieć różne ciekawe rzeczy o członkach swej rodziny i ich podłościach. Mężczyźni z rodu Blaine'ów zawsze źle traktowali kobiety. Oczywiście nie dotyczyło to ich żon i córek... te musiały pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami. Wydaje mi się, że właśnie dlatego twoja babka została wyklęta. Sprzeciwiła się swemu ojcu i bratu. Nie byli w stanie tego tolerować.

- Czy to znaczy... Proszę mi wybaczyć, milady, ale czy właśnie dlatego pozwoliła mi pani tu zostać? Z powodu krzywd wyrządzonych mojej rodzinie przez Blaine'ów?

Lady Luce uśmiechnęła się blado.

- Blaine'owie wyrządzili już dość zła, zarówno twojej, jak i mojej rodzinie. Nie mogę pozwolić na to, by William zaczął postępować tak jak jego ojciec. Już teraz jest despotą. Na pewno byłby też kobieciarzem, gdyby nie brakowało mu pieniędzy i urody.

- Ale przecież jest też pani synem - ośmieliła się zauważyć Marina, spodziewając się gwałtownej reakcji lady Luce.

- Owszem, ale nigdy nie widziałam w nim swoich cech. Wycofuje się rakiem, gdy tylko dochodzi do walki.

- Tym razem zachował się inaczej, milady. Wydawał się... zdecydowany odpłacić pani pięknym za nadobne.

Prychnęła gniewnie.

- Tylko dlatego, że wydaje mu się, że stoi na pewnym gruncie. - Zrobiła pauzę. - Niestety, obawiam się, że tak może być w istocie. Blaine'owie mogą wygrać. Znowu. - Zaciśnęła drobne dłonie w pięści.

- Milady, myślę, że powinnam wyjechać z Londynu.

- Dlaczego? Jesteś mi tu potrzebna.

- Lord Luce na pewno powie lady Blaine o tym, co zrobiłam. Lady Blaine gardzi moją rodziną. Znajdź sposób, żeby towarzystwo uznało mnie za kochankę Kita Strattona, jestem tego pewna, chociaż to nieprawda. Z pewnością nie będzie pani potrzebna dama do towarzystwa o takiej reputacji. Powinnam wyjechać, zanim powstaną plotki. - I zanim zostaną ogłoszone zaręczyny Kita, dodała w duchu.

- Nic podobnego. Zostaniesz tutaj. Lady Blaine nie będzie cię szkalować, bo w przeciwnym razie będzie musiała porzucić wszelką nadzieję na zmuszenie młodego Strattona do małżeństwa z jej córką.

Marina wiedziała, że lady Luce się myli. Lady Blaine nie musiała nikomu mówić, że to Marina jest M.B. Wystarczyło

tylko puścić plotkę, że Marina dała się uwieść Kitowi Strattonowi. Brukowce z radością rozpowszechnią tę skandaliczną wiadomość.

- Poza tym - ciągnęła lady Luce - myślę, że moja groźba trochę ją osadzi. William jest zbyt pewny siebie. Blaine'owie wcale nie chcieliby się dowiedzieć, że świętej pamięci wicehrabia lubił uwodzić niewinne młode damy, po czym je porzucał. Zapamiętaj moje słowa, Marino, nie pozwolę im na odniesienie kolejnego zwycięstwa. - Zabębniła palcami w oparcie fotela. - Wszyscy mają przyjść dziś wieczorem na przyjęcie. Myślę, że nie od rzeczy będzie mała prywatna rozmowa. - Uśmiechnęła się. - A teraz - dodała spokojnie - może zechcesz mi opowiedzieć o prawdziwej M.B. i sprawach łączących ją z tym przystojnym nicponiem?

Marina przyjrzała się sobie w lustrze. Wciąż była zdenerwowana. Gdyby nie pomoc Gibson, nie byłaby w stanie zapiąć sukni, nie mówiąc już o ułożeniu włosów.

Była blada i wyglądała wręcz upiornie, mimo że jej nowa suknia miała żywy różowy kolor. Marinę czekały ciężkie przeżycia. Przeszła korytarzem, a potem zstąpiła ze schodów, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Lady Luce poprosiła, by przyszła do biblioteki na parterze na zaimprovizowaną naradę. Marina nienawidziła tego miejsca. To właśnie w tym pokoju hrabia rozmawiał z nią w dniu jej przyjazdu i wtedy, gdy chciał ją zwolnić. To wszystko wydawało się bardzo odległe w czasie, ponieważ zdarzyło się, zanim pokochała Kita Strattona.

Starła się o nim nie myśleć, jednak nie na wiele się to zdało. Wystarczyło, że usłyszała jego imię, by serce zaczęło bić z całej siły. Prawdopodobnie nigdy już go nie zobaczy. Pomimo tego, co powiedziała lady Luce, Marina z pewno-

ścią zostanie odesłana do Yorkshire. Marzyła jednak o tym, żeby jeszcze raz spojrzeć na Kita, poczuć dotyk jego silnej dłoni...

Przed drzwiami biblioteki stał Tibbs. Skinął głową i wprowadził Marinę do środka.

- Przyszła panna Beaumont - oznajmiła lady Luce. - To dobrze. Możemy zaczynać.

- Nie wiem, z jakiego powodu mam znosić obecność tej kobiety - odezwała się z wyższością lady Blaine, szukając pomocy u lorda Luce. - Proszę mi wybaczyć, milady...

- Przypominam, że jest pani gościem w moim domu. To ja decyduję o tym, kto ma wyjść, a kto zostać.

Marina ukryła zaciśnięte w pięści dłonie w fałdach spódnicy. Ta koszmarna rozmowa nie powinna potrwać długo. Przybyli już pierwsi goście. Gdyby tak mogła coś zrobić...

- Rozumiem, milady - kontynuowała stanowczym tonem lady Luce - że William zreferował pani naszą popołudniową rozmowę?

Lady Blaine wyniośle popatrzyła na starszą panią i nieznacznie kiwnęła głową.

- W takim razie niczego nie owijajmy w bawełnę. Pani i rodzina zamierzacie uciec się do podstępu, żeby złapać bogatego męża dla córki. Chyba nie muszę mówić, że jest to bardzo niehonorowe. Pani córka nie jest ani trochę lepsza od zwykłej ulicznicy.

Lady Blaine nie kryła oburzenia.

- Jak pani może mówić coś podobnego?! Moja córka jest niewinna.

- Pani córka pozwoliła, by cały świat zobaczył, że durzy się w Kicie Strattonie. Nie wiem, czy tak się zachowuje chodząca niewinność.

- Nie widzę w tym nic złego - odpowiedziała ostrym to-

nem wicehrabina, wyraźnie wpadając w złość. - Jest bardzo przystojny i wydał się Tilly bohaterem, mężczyzną jakby żywcem wyjętym z jej ulubionych wierszy. Po prostu zato-
piła się w marzeniach, nic więcej.

- Sądzę, że powinna pani zabrać ją do tych egzotycznych krajów, o których tak marzy - zauważyła złośliwie lady Luce - zamiast zmuszać ją do zawarcia małżeństwa.

- Jej mąż będzie mógł ją tam zawieźć - stwierdziła chłodno lady Blaine. - Oczywiście po ślubie.

Lady Luce pokiwała głową.

- A więc jest pani zdecydowana, milady? No cóż. Tak się składa, że ja też. Jeśli dalej będzie pani obstawać przy swoim, ogłoszę całemu światu, że pani drogi przyjaciel, William, jest nieślubnym dzieckiem świętej pamięci wicehrabiego i starszym bratem pani męża.

Lady Blaine popatrzyła na hrabiego.

- Wszyscy wiedzą, że mój teść miał mnóstwo dzieci z nieprawego łoża. Jeśli zamierza pani dopisać się do listy jego kochanek, to bardzo proszę. W żaden sposób nie dotknie to mojej rodziny ani nie zmieni naszych decyzji. A teraz, jeśli można, chciałabym dołączyć do pani gości. Przybyłam tu w nadziei na grę w faraona. - Lekko pochyliła głowę, okrytą zawojem, po czym wyszła z pokoju.

Hrabia wstał, zamierzając udać się za nią.

- Chwileczkę, Williamie. - Kiedy się odwrócił, lady Luce zapytała: - Rozumiem, że Kit Stratton oświadczył się panie Blaine?

- Tak. Dzisiaj po południu.

- Oświadczyzny zostały przyjęte?

- Oczywiście. Nie zostaną publicznie ogłoszone do czasu powrotu wicehrabiego, który ma nastąpić w najbliższym czasie. Lady Blaine otrzymała dzisiaj od niego list.

- Musi być bardzo zadowolona - podsumowała kwaśno lady Luce.

Syn nie odezwał się. Ukłonił się matce uprzejmie, popatrzył na Marinę, nie kryjąc niesmaku i wyszedł z biblioteki.

- Milady... - zaczęła Marina, delikatnie kładąc dłoń na ramieniu chlebobdawczyni.

Lady Luce uniosła ku niej udręczoną twarz. Sprawiała wrażenie pokonanej.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Kiedyś powiedziała pani... zasugerowała pani, że lady Blaine oszukuje przy grze w faraona. Jest pani tego pewna?

Oczy starszej pani rozbłysły ożywieniem.

- Absolutnie pewna - stwierdziła stanowczo.

- Możemy jeszcze ich przechytryć... jeśli... jeśli jest pani pewna, że naprawdę chce to zrobić.

Lady Luce bez wahania pokiwała głową.

- Absolutnie pewna - powtórzyła.

- W takim razie... Musi mi pani zaufać, milady, i zastosować się do moich wskazówek, chociaż moje postępowanie może się pani wydać dziwne. Nie wiem jeszcze dokładnie, co zrobię... Najpierw muszę rozpoznać teren... ale na pewno będę potrzebowała pani pomocy. Wszystko wyjaśnię później. Na górze.

Lady Luce ruszyła do drzwi. Goście mogli zacząć się zastanawiać, dlaczego dotąd się nie pokazała.

- Będziesz potrzebowała mojej pomocy?

- Lady Blaine zamierza zagrać w faraona. A ja... z pani pomocą, milady, także!

- Dobry wieczór, milady.

- Pan Stratton! - Marina zatrzymała się gwałtownie. Co on robi w domu lady Luce?

Zamierzał ująć jej dłoń, lecz szybko schowała ją za plecami. Nie mogła pozwolić na to, by teraz jej dotknął. Nie wolno jej było nawet o nim myśleć. Musiała skupić się na zadaniu.

Przyjrzał jej się w sposób zdradzający lekkie zdziwienie.

- Zapewniam panią, że nie gryzę. Proszę się nie bać. A poza tym zostałem zaproszony.

- Przepraszam, sir - powiedziała zduszonym głosem.

- Są tutaj też mój brat i jego żona. Wygląda na to, że lady Luce postanowiła zaproponować Strattonom rozejm. Zastanawiam się dlaczego.

Marina nie miała żadnych wątpliwości, że Kit wszystko doskonale rozumie, tylko lubi się droczyć, szczególnie z nią. Postanowiła przywołać go do porządku.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę udać się do pokoju gry w faraona. - Odwróciła się z zamiarem odejścia.

- To ciekawe - stwierdził, ujmując ją pod ramię. - Właśnie się tam wybierałem, więc możemy pójść razem.

- Nie! Ja...

Zdecydowanym gestem nakrył jej dłoń. Nie była w stanie wyzwolić się z tego uścisku.

- Marino - powiedział cicho Kit - jesteś nieznośna... i piękna...

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Po co kłamał?

- A tym razem zrobi pani to, co jej każe. Chodźmy.

Ruszył w stronę pokoju gry, zmuszając ją, by udała się za nim. Nie miała wyboru. Czuła żar, rozchodzący się od ich złączonych dłoni. Marina miała wrażenie, że już nigdy nie dojdzie do siebie.

Powiedział, że jest piękna.

Kit doskonale zdawał sobie sprawę, że postępuje nieodpowiedzialnie. Napomniał się w duchu nawet wtedy, gdy już chwycił ją za rękę.

Być może była to ostatnia okazja, by dotknąć jej miękkiej skóry.

Wkrótce panna Beaumont zniknie z jego życia. Będzie dobrze zabezpieczona na przyszłość - zamierzał o to zadbać - ale nieobecna. Gdyby mieli się spotykać, nie potrafiłby potem stwarzać niezbędnych pozorów.

Kochał ją bardziej niż kiedykolwiek wydawało mu się to możliwe.

Hugo jak zwykle miał rację. Kit, rozpustnik, mężczyzna, który traktował kobiety instrumentalnie, zakochał się w najodważniejszej, najbardziej irytującej, najwspanialszej kobiecie, jaka przyszła na świat. Nie mógł jednak się z nią ożenić. Tak chciał los. Żałował, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Gdyby Marina...

Nie było sensu oddawać się marzeniom. Nigdy już nie będzie mógł zostać jej mężem, skoro hrabia publicznie oskarżył go o uwiedzenie chrześnicy.

Małżeństwo Kita z Mariną uczyniłoby z niej wyrzutka społeczeństwa. Uznano by ją za ladacnicę albo jeszcze gorzej. Mężczyzna mógł nauczyć się radzić sobie z publicznym upokorzeniem i życiem na wygnaniu, jednak dobrze wychowana dama nigdy by do tego nie przywykła.

Tak więc zaręczył się z Tilly Blaine - płochą dzierlatką, żyjącą w świecie poezji i własnych fantazji. Nigdy nie poświęcił jej uwagi, jednak teraz, gdy jej ojciec wróci do domu, będzie musiał jej towarzyszyć na przyjęciach i odgrywać rolę szczęśliwego przyszłego męża. Będzie go to wiele kosztowało, postanowił jednak, że sprosta zadaniu.

Zrobi wszystko, co w jego mocy, pod warunkiem, że Marina Beaumont zniknie z jego życia.

Popatrzył na nią. Unikała jego wzroku, widział jednak, że się zarumieniła, i czuł, że drżą jej palce. Wiedziała! Musiała wiedzieć!

- Dobry wieczór, Kit.

Kit miał ochotę zakląć najszeptniej, jak potrafił. Zaciśnął szczęki i przygotował się na nadchodzące starcie.

- A to jest panna... dama do towarzystwa lady Luce, nieprawdaż? Proszę nam wybaczyć na chwilę. - Baronowa popułałym gestem położyła Kitowi dłoń na ramieniu. Miał ochotę strząsnąć tę rękę, wyrazić swe oburzenie sposobem potraktowania Mariny, było już jednak za późno. Marina odeszła bez słowa. Kątem oka zauważył, że spotkała lady Luce i że coś szeptem omawiały.

- Tylko na tyle cię stać, Kit? Naprawdę nie przypuszczalam...

- Czego chcesz, Katharino? Przyszedłem tu, żeby zagrać w karty, a nie by się z tobą przekomarzać.

- Dlaczego... - Urwała, nagle spłoszona. - Nie mogę teraz rozmawiać - wyszeptała, skinieniem głowy wskazując schody, na których właśnie pojawił się jej mąż. - Później. Coś wymyślę. - Oddaliła się pośpiesznie.

Kit patrzył, jak sztywno wyprostowany baron wstępuje na schody. Był mężczyzną w sile wieku, mimo że przedwcześnie posiwiiał. Szamerowany złotem galowy mundur doskonale prezentował się na jego szczupłej sylwetce. Minał Kita, nie zaszczyciwszy go spojrzeniem. Świadom niezręczności sytuacji Kit lekko się skłonił. Uważał, że zdradzani mężowie zasługują na ukłon, choćby przed rozpoczęciem pojedynku.

Upewniwszy się, że nie idą przed nim baronowa ani ba-

ron, Kit wszedł do pokoju gry w faraona. Pomyślał, że może zasiać do stolika. Gdyby tego wieczoru stracił cały swój majątek, być może Blaine'om odeszłaby ochota wydawania za niego córki.

Bez troski zasiadł do gry.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kit grał już ponad godzinę, ponosząc duże straty. Zupełnie się tym nie przejmował, a nawet był z tego zadowolony, dopóki lady Blaine nie przejęła banku. W tej sytuacji poczuł nagłą potrzebę odniesienia zwycięstwa.

Lady Luce, siedząca po prawej stronie Kita, była dla niego niezwykle uprzejma, jakby nigdy nie toczyli ze sobą sporów. Musiał przyznać, że ta nieprzewidywalna starsza pani doskonale gra w karty. Byłby gotów przysiąc, że śledziła grę równie umiejętnie, jak on.

Miejsce po lewej stronie przez pewien czas pozostawało puste. Marzył o tym, by zajęła je Marina, wiedział jednak, że nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Byłoby to zbyt śmiałe. Siedziała po drugiej stronie stołu, od czasu do czasu kładąc na planszę niewielkie sumy drżącą ręką. Przypuszczał, że lady Luce wyznaczyła jej pulę pieniędzy, która wkrótce miała się wyczerpać, bowiem Marina zbyt często przegrywała.

Pierwsza kolejka dobiegła końca. Lady Blaine wygrała zdecydowanie. Czy aby nie podejrzanie wysoko? Może coś umknęło uwagi Kita? Słyszał plotki...

Lady Blaine nieprzyjemnie uśmiechnęła się do lady Luce siedzącej naprzeciwko.

- Wygląda na to, że dzisiaj szczęście dopisuje bankierowi, milady - powiedziała, zgarniając pieniądze. - Czy spróbuje pani się odegrać?

Ku ogromnemu zaskoczeniu Kita lady Luce odsunęła krzesło i wstała.

- Nie ma sensu na siłę szukać szczęścia - powiedziała z przekąsem. - Proszę się nie martwić. Nie zostawiam pani bez przeciwnika. Marina! Podejdź tu i zajmij moje miejsce. To niemożliwe, żebyś miała dzisiaj mniej szczęścia niż ja.

Marina posłusznie wstała i obeszła stół. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Milady, ale...

Lady Luce położyła jej rękę na ramieniu i zmusiła do zajęcia miejsca.

- Graj - rozkazała, po czym spojrzała wyzywająco na lady Blaine. - Panna Beaumont zajmuje moje miejsce i gra moimi pieniędzmi. Mam nadzieję, że zgodzi się pani na takie rozwiązanie, milady?

Lady Blaine poczerwieniała, kiwnęła jednak głową przyzwalająco. Nie mogła zachować się inaczej w domu lady Luce. Kit z uznaniem przyjrzał się starszej pani. Być może nie była aż tak straszną wiedźmą, jak mu się wydawało.

Marina nawet na niego nie spojrzała. Kit nie był tym wcale zdziwiony, jednak doszedł do wniosku, że nie może pozwolić jej na to, by go ignorowała. Postanowił zmusić ją do jakiejś reakcji, nawet gdyby miała potem zwrócić mu uwagę, by pilnował własnego nosa. Chciał znów zobaczyć gniewne błyski w jej oczach.

Lady Blaine odpakowała nową talię i machinalnie zaczęła ją tasować; cała jej uwaga była skupiona na graczach zgromadzonych wokół stołu. Bez wątplenia miała nadzieję, że puste miejsca zostaną zajęte. Im więcej osób brało udział w grze, tym więcej można było wygrać.

Kit spojrzał z ukosa na Marinę. Była pochłonięta obserwacją swych dłoni, które położyła na zielonym suknie.

- Często gra pani w faraona, panno Beaumont? - zapytał cicho. Kiedy zacznie się gra, trudniej mu będzie nawiązać kontakt. Musiał wykorzystać każdą nadarzącą się okazję. Być może będzie siedziała obok niego tylko przez jedną kolejkę.

Nie spojrzała na niego. Odniósł wrażenie, że w ogóle go nie słyszała albo że nie miała ochoty udzielić mu odpowiedzi. Czyżby istotnie aż tak bardzo ją obraził?

- Rzadko bywałam w towarzystwie, w którym mogłam sobie na to pozwolić - odpowiedziała w końcu ledwo dosłyszalnie.

Lady Blaine, siedząca po drugiej stronie stołu, starała się podsłuchać ich rozmowę.

- Mam nadzieję, że przynajmniej potrafi pani tasować karty, panno Beaumont - stwierdziła z szyderym uśmiechem.

Marina uniosła wzrok i niepewnie wyciągnęła rękę po talię kart.

- Spróbuję, milady, jeśli pani pozwoli.

Lady Blaine nie podała Marinie kart, tylko położyła je na stole, po czym wymownie uśmiechnęła się do jakiegoś mężczyzny.

Ignorując afront, Marina uniosła karty i zaczęła je tasować. Od razu można było się zorientować, że nie jest wytrawnym graczem. W pewnej chwili omal nie upuściła talii.

- Może zechce pan przełożyć talię, kiedy panna Beaumont skończy, panie Stratton? - zapytała zniecierpliwiona lady Blaine.

Kit pokiwał głową, nie będąc pewnym, że będzie umiał zdobyć się na uprzejmą odpowiedź.

- Możemy się przyłączyć? - zapytał z końca sali Hugo.

Kit wstał, by przywitać Emmę. Sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie. Był niemal pewien, że wczorajszego popo-

łudnia Emma celowo zostawiła go sam na sam z Mariną, chociaż nie miał pojęcia, co chciała przez to osiągnąć. Ech, kobiety!

- Chcesz tu usiąść, Emmo? - Wskazał jej miejsce po swojej lewej stronie.

- Nie, dziękuję, wolę usiąść z tyłu, obok Hugona. On ma lepszą pamięć do kart niż ja. Ty nigdy byś mi nie podpowiedział, jak mam obstawiać, Kit, bo lubisz patrzeć na moje porażki - W ustach każdej innej kobiety te słowa brzmiałyby obraźliwie, jednak Emma wypowiadała je z wesołym błyskiem w oku.

- Jak pani sobie życzy, milady. - Uśmiechnąwszy się, Kit odprowadził Emmę, po czym zajął swe miejsce przy stole. Panna Beaumont nie przesunęła się ani o cal, rozpaczliwie starając się dokończyć tasowanie kart.

Czekał cierpliwie, patrząc na jej ręce. Trudno było mu uwierzyć, że może być aż tak niezdarna. Nie pasowało to do gracji, z jaką się poruszała.

- Jeśli już pani skończyła, panno Beaumont... - Głos lady Blaine był pełen jadu.

Marina lekko się zarumieniła i natychmiast znieruchomiała.

- Mogę prosić, panno Beaumont? - Kit wyciągnął rękę po karty.

Nie podnosząc wzroku, położyła mu talię na dłoni. Nie dotknęła go przy tym.

- Dziękuję, milady - powiedział cicho. Szybko przełożył talię kart i przesunął ją w stronę lady Blaine.

- No, nareszcie - powiedziała. - Zaczynałam już myśleć, że nigdy nie rozpoczniemy gry. - Rozejrzała się po twarzach graczy. Było ich teraz siedmioro. - Proszę o stawki, panie i panowie.

Kit machinalnie położył pieniądze. Marina nawet się nie poruszyła.

- Nie chce pani grać, milady? - zapytał cicho, mając nadzieję, że lady Blaine, pełniąca rolę bankiera, nie usłyszy jego słów w panującym gwarze.

Nieznacznie pokręciła głową.

- Jeszcze chwila - powiedziała. Nieporadnie grzebała w niewielkim stosie pieniędzy, które zostawiła lady Luce, po czym położyła banknot na trójce.

Podczas tej gry w sali panował wyjątkowy gwar. Kiedy Emma wygrywała, dawała wyraz swemu zadowoleniu entuzjastycznym okrzykiem. Gdy przegrywała, wydawała głośne jęki. Druga z grających pań poszła za jej przykładem. Jednak Marina zachowywała powściągliwość. Gdy bankier wygrał jej stawkę z trójki, bez słowa położyła w to miejsce kolejny banknot. Dlaczego uporczywie obstawiała trójkę?

Kit zastanawiał się, co Marina robi, gdy przegra po raz trzeci, kiedy poczuł, że ktoś go dotyka. Katharina! Zamierzał wstać, lecz powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie przeszkadzaj sobie w grze - powiedziała, charakterystycznie przeciągając słowa, co kiedyś wydawało mu się urocze. Zająwszy miejsce po jego lewej stronie, otworzyła z trzaskiem torebkę.

Starał się nie patrzeć na baronową. Zapewne szukała pieniędzy, chcąc przyłączyć się do gry. Gdyby miała więcej szacunku dla grających, zrobiłaby to, zanim zajęła miejsce przy stole.

Bankier odkrył kolejną trójkę, jednak tym razem była to *carte anglaise*. Marina wygrała. Kit poczuł wielkie zadowolenie. Pochylił się ku niej, by wyszeptać słowa otuchy.

Poczuł, że ktoś wsuwa mu coś do kieszeni.

Nikt nie zwracał uwagi na Katharinę. Wszyscy byli zbyt pochłonięci grą, która wkrótce miała się skończyć.

Marina przesunęła swą wygraną na trójkę. Kit pomyślał, że dziewczyna nie może być zupełną nowicjuszka. Wiedziała przynajmniej tyle, że może teraz siedmiokrotnie powiększyć swą wygraną. Szkoda, że nie miała pojęcia, iż szanse bankiera są znacznie większe.

Lady Blaine rozejrzała się po twarzach zgromadzonych przy stole, czekając na obstawienie zakładów, po czym odkryła następną kartę i z trzaskiem wyłożyła ją na stół.

- Znowu kłapa - stwierdził z uśmiechem Hugo. - Nie powinienem był słuchać twojej rady, kochanie.

Lady Blaine miała *carte anglaise*. Nikt nie wygrał.

- I tak nigdy mnie nie słuchasz - odcięła się Emma - chyba że szukasz winnego. To nie ja proponowałam, żebyś postawił na piątkę.

- W każdym razie nie będziemy mieli już więcej problemów, na co stawiać - rzekł - bo wydaje mi się, że wydaliśmy już wszystko.

- Jesteś tego pewien? - spytała Emma z ręką zawieszoną nad schematem układu do faraona, narysowanym na suknie.

- No, prawie - odpowiedział z uśmiechem.

- Panie i panowie, proszę o uwagę - odezwała się lady Blaine karcącym tonem rozgniewanej nauczycielki.

Emma wahała się jeszcze przez chwilę, po czym obstawiła szóstkę.

Katharina wstała. Wszyscy mężczyźni, siedzący przy stole uprzejmie się podnieśli. Lady Blaine sprawiała wrażenie wściekłej, że jej przerwano.

Katharina uśmiechnęła się do mężczyzn, ignorując panie.

- Nie jestem dziś w nastroju na faraona - oznajmiła, wydymając wargi. - Proszę mi wybaczyć.

Siadając, Kit dyskretnie dotknął kieszeni. Nie mógł się mylić. Katharina zostawiła mu liścik. Sprytnie to wymyśliła. Jeśli mąż żywiłby wątpliwości, obecni na sali mogli potwierdzić, że Katharina prawie nie rozmawiała ze Strattonem. Musiał przyznać, że postępowała bardzo ostrożnie. Czyżby baron istotnie jej groził? Mówiła, że łatwo wpadał w gniew.

Lady Blaine odkryła ostatnią *carte anglaise*. I tym razem żaden z grających nie wygrał.

Pozostała już tylko jedna karta. Musiała to być trójka, co oznaczało wygraną bankiera. Kitowi zrobiło się żal Mariny. Nie postawiła wysokich sum na swoje trójki, ale wygrała tylko raz.

Lady Blaine odkryła ostatnią kartę. Piątka! Kit nie wierzył własnym oczom. Był pewien, że dobrze zapamiętał karty, mimo iż baronowa na chwilę rozproszyła jego uwagę. Ostatnią kartą zdecydowanie powinna być trójka.

- Wiem, że nie powinnam na tobie polegać, jeśli chodzi o liczenie kart, Hugonie - oznajmiła Emma, uśmiechając się filuternie i żartobliwie trzepnęła męża wachlarzem. - Powiedziałeś mi, że wszystkie piątki zostały już odkryte, ty nicponiu.

- Byłem tego pewien - stwierdził z powagą Hugo. - Widocznie się pomyliłem. Mimo wszystko to nie ma żadnego znaczenia. Nawet gdybyś obstawiła piątkę, przegrałabyś dlatego, że to karta bankiera.

- To prawda - przyznała Emma.

Lady Blaine zaczęła zbierać karty i okazały się gotówki. W roli bankiera jak zwykle spisała się doskonale.

Marina uniosła głowę i popatrzyła w oczy hrabiny. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się lady Luce. Wszyscy mężczyźni wstali.

- Myślałam... - Marina urwała i uniosła brwi. Sprawiała

wrażenie zaskoczonej. - Przepraszam, milady, ale czy na końcu nie powinna pojawić się trójka?

Lady Blaine wytrzeszczyła oczy.

Wszyscy grający znieruchomieli.

Lady Luce stanęła za krzesłem Mariny i położyła jej rękę na ramieniu, dając jej tym znak, by nie wstawała.

- Co powiedziałaś, dziecko?

Marina odwróciła się przez ramię.

- Ja... m-musiałam się pomylić. To niemożliwe... Wydawało mi się, że zostały odkryte tylko trzy trójki, ale...

- Oczywiście, że się pomyliłaś, Marino. Nic w tym dziwnego, zważywszy, jak niewiele wiesz na temat kart. Mimo wszystko... - zrobiła pauzę i popatrzyła na wicehrabinę spod zmrużonych powiek - ostatnio zbyt często zdarzały się przypadki oszustw w grze w faraona, szczególnie w czasie prywatnych przyjęć. Wiem, że niektóre panie domu nie życzą sobie, by grano w faraona pod ich dachem. Nie mogę pozwolić na to, żeby zawisło nade mną jakiegokolwiek podejrzenie. - Władczym gestem wyciągnęła rękę. - Proszę dać mi karty, milady.

Lady Blaine nie poruszyła się.

- Bardzo proszę, milady - powtórzyła lady Luce, tym razem nieco głośniej. - Chyba nie chce pani zostać uznana za bankiera, który oszukuje, by wygrać? - dodała znacząco.

Kit pochylił się i spojrzał na podłogę, tak żeby nikt nie widział jego twarzy. Wiedział, że Marina jest bystra, ale to posunięcie było majstersztykiem. Niestety, wiązało się ze sporym ryzykiem.

Lady Blaine nie miała wyboru. Podała talię kart. Miała popielatą twarz i drżały jej ręce.

- Dziękuję - skwitowała krótko lady Luce. Podeszła do końca stołu i zaczęła odkrywać karty. Gracze stanęli kołem i patrzyli. Nikt nie odezwał się słowem.

Karty przemówiły same. Brakowało trójki i siódemki, były za to dwie dodatkowe karty - piątka i dziesiątka.

Lady Blaine spłonęła ognistym rumieńcem.

- Ta talia musiała być źle skompletowana. Ja nie...

Lady Luce wybrała piątki i dziesiątki, by porównać je z resztą talii.

- Obawiam się, że to nieprawda - stwierdziła ponuro, unosząc dwie karty. - Te karty nie pochodzą z nowej talii. Są lekko zniszczone. I wydaje mi się - uniosła jedną z nich w stronę kandelabru - że ta karta jest nakłuta.

Przez salę przeszedł jęk. Tylko Kit i Marina zachowali spokój.

Marina trzymała się na uboczu, starając się pozostać niezauważona. Unikała wzroku Kita.

Lady Luce nie posiadała się z oburzenia.

- Nie mogę uwierzyć, że ośmieliła się pani zrobić coś takiego, będąc gościem w moim domu - natarła na skamieniałą z przerażenia wicehrabinę. - Będę pani wdzięczna, jeśli natychmiast stąd wyjdzie. Chyba pani rozumie, że nie zamierzam utrzymywać stosunków z panią ani z kimkolwiek z pani rodziny. Spodziewam się, że szanujący się członkowie towarzystwa zachowają się podobnie.

Lady Blaine wstała, mimo że zaraz potem musiała oprzeć się o krzesło. Miała winę wypisaną na twarzy. Zdecydowała się jednak wyrazić protest.

- To musiała być pomyłka. Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić. Może pani wybrać najgorszą ewentualność i wierzyć, w co tylko pani chce, ale moi przyjaciele nie pójną za pani przykładem. - Ruszyła do drzwi, starając się trzymać prosto. Nawet nie spojrzała na stos pieniędzy, leżący na stole.

Lady Luce rozejrzała się po twarzach gości.

- Nawet nie wiedzą państwo, jak mi przykro - powiedziała.

Kit zorientował się, że jej głos wyraża żal, ale i z trudem skrywaną radość. Czy to możliwe...? Czyżby o wszystkim wiedziała? Ale jak mogła być pewna... ?

Tego wszystkiego musiała dokonać Marina. Trójka została usunięta. A Marina obstawiała jedynie trójki.

Istniały tylko dwie możliwości. Albo Marina zamierzała zdemaskować oszustwo lady Blaine, albo sama podłożyła karty, by złapać lady Blaine w pułapkę. W obu przypadkach musiała wykazać się nie lada odwagą.

Lady Luce ze smutkiem pokręciła głową.

- Oczywiście słyszałam różne plotki... Wiedziałam, że zbyt często wygrywa, kiedy jest bankierem, ale nigdy bym nie przypuszczała... - Westchnęła. - Prawda wyszła na jaw.

- Podeszła do stołu i stanęła za krzesłem bankiera. - Co mam z tym wszystkim zrobić? - zapytała, wskazując stos gotówki. - Pewnie chcieliby państwo odzyskać te pieniądze?

- W żadnym razie - stwierdził stanowczo Hugo. - Przegraliśmy je. I tak byśmy je stracili. Może ma pani jakiś ulubiony cel dobroczynny? Szpital dla sierot albo coś w tym rodzaju?

- Mam lepszy pomysł - wpadł mu w słowo Kit, skrywający rosnącą złość pod maską rozbawienia. - Moglibyśmy przekazać tę kwotę na rzecz zniesienia niewolnictwa. Jak by nie było, mąż lady Blaine lada dzień wróci ze swych plantacji. Jestem pewien, że zaaprobuje ten gest.

W końcu udało mu się zwrócić na siebie uwagę Mariny. Przeszyła go morderczym spojrzeniem.

- Doskonały pomysł! - zawołała lady Luce i roześmiała się głośno. - Zobaczmy, co na ten temat napiszą brukowce!

Uwagi Kita nie uszło triumfalne spojrzenie, jakim lady Luce obdarzyła Marinę. Potwierdziły się jego najgorsze obawy. Miał wrażenie, że gniew go zadławi.

Wicehrabina Blaine bez wątpienia była oszustką. Lecz Marina Beaumont zaryzykowała wszystko, by to publicznie udowodnić.

- Moja droga, przeszłaś samą siebie - powiedziała z uznaniem lady Luce, gdy tylko znalazły się poza zasięgiem uszu gości.

Marina pokręciła głową. Podmieniła trójkę, ale nie siódemkę. Nie dodała też znaczonej karty. Lady Blaine musiała to zrobić po przetasowaniu kart. Marina nie wiedziała, dlaczego ta kobieta podjęła takie ryzyko... Podmieniała karty tak umiejętnie, że nikt nie miał szansy na wygraną, chyba że miała kaprys na to pozwolić. Gdyby nie te brakujące karty, nigdy nie odkryto by jej oszustw, ale już jedna nieprawidłowa karta wystarczyłaby do zdemaskowania lady Blaine. Okazało się, że Marina w ogóle nie musiała maczać w tym palców...

- Doskonale radzisz sobie z kartami, dziecinko. Nikt niczego nie podejrzewał. Ta kobieta już nie będzie w stanie się podnieść.

- Kit Stratton się domyślił.

Lady Luce natychmiast spoważniała.

- Jak mógł się domyślić? Przecież nic nie powiedział, kiedy tasowałaś karty.

- Nie, milady. Mimo to jestem pewna, że on wie. Poznałam to po oczach. - Nigdy nie zapomni tego wzroku, w którym kryło się zaskoczenie i głęboki niesmak. Domyślił się, że jest oszustką. Jak teraz będzie mogła spojrzeć mu w twarz?

- To możliwe - przyznała szorstko lady Luce - ale on nie wykorzysta tego przeciwko tobie. Dlaczego miałby to zrobić? Wszyscy uznali winę lady Blaine, a jej popadnięcie

w niesławę zwolni go z obietnicy poślubienia tej podstępnej córki. Kit może sobie być rozpustnikiem, ale to prawdziwy dżentelmen, a żaden dżentelmen nie musi żenić się z dzieckiem oszustki, której udowodniono winę. Powinien cię błogosławić!

- Ale co stanie się z panną Blaine? Ona nie jest niczemu winna. Będzie skończona, kiedy Kit ją odtraçi.

- Nic podobnego, moja droga - powiedziała lady Luce, poklepując Marinę po ramieniu - jako że zaręczyny nie zostały publicznie ogłoszone. Poza tym pamiętaj, że Tilly Blaine kłamała, chcąc usidlić Kita Strattona. Przecież wiedziała, że nigdy nie była z nim sam na sam, a powiedziała matce co innego.

- Ale Tilly...

- Nie, Marino. Przestań jej bronić. Nawet jeśli jej pierwsza reakcja została źle zrozumiana... w co pozwalam sobie wątpić, miała dwa pełne dni, żeby powiedzieć prawdę, ale tego nie zrobiła. Nieodrodna córka Blaine'ów!

Marina nie oponowała dłużej. Lady Luce miała rację. Lady Blaine i lord Luce spiskowali z zamiarem usidlenia Kita Strattona, a Tilly nie zrobiła nic, by ich powstrzymać. Miała szczęście, że zaręczyny nie zostały jeszcze ogłoszone. Okryje się niesławą tylko z powodu matki.

- Chciałabym trochę odpocząć, jeśli pani pozwoli, milady.

- Oczywiście, że nie pozwolę! Co ty sobie myślisz? Musisz zostać, a wszyscy mają się przekonać, że doskonale się bawisz. Powinnaś też rozegrać ze dwie partyjki kart.

- Nie jestem w stanie - wyjąkała Marina, przerażona nie na żarty.

- Ależ jesteś, jesteś. Oczywiście nie w faraona... Nie pozwolę już dzisiaj na tę grę, ale partyjka pikiety byłaby jak

najbardziej stosowna. - Popatrzyła na Marinę ostrzegawczym wzrokiem. - Tylko nie graj za dobrze - dodała cicho.

To nie będzie trudne, pomyślała Marina, jako że z emocji kręciło jej się w głowie.

- Chodź, znajdę ci przeciwnika - powiedziała hrabina, prowadząc Marinę w stronę sir Hugona i lady Stratton. - Usiłuję przekonać tę moją dziewczynę, żeby nie przejmowała się tak bardzo niefortunnym incydentem z lady Blaine, ale nie może o tym zapomnieć. Potrzebuje rozrywki, na przykład dobrze by jej zrobiła partyjka pikiety. Umie pan grać, sir Hugonie? - zapytała prosto z mostu.

- Tak - odpowiedział niepewnie.

- Umie, umie - wtrąciła lady Stratton - ale obiecał, że będzie mi towarzyszył przy kolacji. Myślę jednak, że Kit z przyjemnością podejmie się tego zadania. - Odwróciła się i dała znak szwagrowi.

Nie! Tylko nie to! Marina miała ochotę uciec, lecz nogi były jak z ołowiu.

Kit skłonił się z nienaganną elegancją. Kiedy bratowa przedłożyła mu prośbę lady Luce, nie okazał żadnych emocji.

- Z przyjemnością z panią zagram, milady - powiedział, podając ramię Marinie.

Lady Luce rozpromieniła się.

Marina czuła rosnące zakłopotanie. To nie powinno się zdarzyć.

Po chwili usiedli przy stoliku, a Kit otworzył talię kart do pikiety.

- Chyba rozumie pani - powiedział tonem niewiniątka - dlaczego wolę potasować tę talię własnoręcznie.

Już blisko pół godziny grali w milczeniu. Marina przegrywała prawie każde rozdanie. Dostawała słabe karty, a na do-

datek jeszcze źle nimi grała. Zal było patrzeć na jej poczynania.

Kit wciąż kipiał gniewem. Bał się, że gdyby Marina się odezwała, zakończyłoby się to wybuchem. Opanował się z najwyższym trudem. Miał ochotę chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć. Dopuszczała się nieuczciwości, żeby przyłapać oszusta. Co też ją opętało, żeby tak zaryzykować?

Zacisnął szczęki aż do bólu i wyłożył kartę. Marina nie była w stanie dołożyć do koloru. To przechyliło szalę.

- Jeśli chce pani grać w pikietę - powiedział ostro - powinna pani najpierw poznać reguły gry. Poproszę o trefla, o ile go pani posiada. Ja jestem tego pewien.

Marina popatrzyła na niego swoimi ogromnymi oczami. Były pełne winy.

Jego gniew natychmiast się ulotnił.

- Marino - powiedział łagodnie - mam ochotę zbić cię na kwaśne jabłko. Jak mogłaś zrobić coś takiego? Ty...

Odłożyła karty na stół.

- To, co robię, jest moją sprawą. A skoro nie jestem godną przeciwniczką, nie chcę dłużej zawracać panu głowy. Ile jestem panu winna?

Współczucie ustąpiło miejsca wzburzeniu. Najwyraźniej myślała, że ją potępia za to, co zrobiła. Jeśli nawet był tego bliski, to tylko z powodu niebezpieczeństwa, na jakie się narażała. Miał ochotę ją chronić, lecz ilekroć próbował się do niej zbliżyć, natychmiast się jeżyła.

- Nie jest mi pani nic winna - odpowiedział, po czym natychmiast dodał: - Nie ustaliliśmy stawek na początku gry. Skoro jednak uznała pani swą porażkę, powinienem coś za to otrzymać. Czy zechce pani wybrać się jutro ze mną na przejażdżkę?

- Nie - odpowiedziała cicho, lecz stanowczo.

- Dlaczego?

Miał wrażenie, że skurczyła się na krześle. Musiał zaskoczyć ją swym pytaniem. Czyżby uważała, że tak łatwo się go pozbędzie?

Położyła ręce na stole i wbiła w nie wzrok.

- Zapomina pan, kim jestem. Jestem damą do towarzystwa, służącą. Wiem, gdzie jest moje miejsce... Z pewnością nie w powozie mężczyzny. - Wstała i spokojnie wyszła z sali. Nawet pokonana, zachowała maniery księżnej.

Rzeczywiście, pomyślał Kit, twoje miejsce jest nie w moim powozie, tylko w moim łóżku. I tam się znajdziesz, moja słodka Marino, choćbym miał cię do tego zmusić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Wydawało mi się, że pół godziny temu słyszałam powóz. Kto to był?

- To powóz lady Stratton, milady - odpowiedziała Marina, unikając wzroku lady Luce.

- Nie zajrzała tutaj?

- Nie... nie było jej w powozie, milady.

Lady Luce pytająco spojrzała na Marinę.

- Lady... ja... Przysłała wiadomość... zaprosiła mnie do Fitzwilliam House. Odmówiłam.

- Co? Dlaczego...?

- Milady, nie mogę pozostawać w tak bliskich stosunkach z lady Stratton. Ona jest wielką damą, podobnie jak pani, a ja jestem nikim.

- Powinam była się domyślić - stwierdziła starsza pani - że po twoim wyczynie poprzedniego wieczoru lady Stratton będzie chciała okazać ci wdzięczność.

- Ależ lady Stratton nie wie...

- I w żadnym razie nie jesteś nikim. Pochodzisz z rodziny Blaine'ów. - Urwała i pozwoliła sobie na zduszony chichot. - To mi się nie udało - przyznała ze skruchą. - Nie powinienam podkreślać twoich związków z tą rodziną. Plotki krążą już jak szalone. Lady Blaine mogła sobie żywić złudzenia co do swoich „przyjaciół”, ale ci opuszczają ją całymi stadami. - Nie potrafiła powstrzymać parsknięcia. - A coś mi mówi, że szykuje się kolejne wydanie gazetki.

- Ale jak to możliwe? Nie było czasu...
- Zawsze jest czas, Marino, jeśli tylko dobrze się go wykorzystuje.

Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej. Lada chwila cały Londyn o wszystkim się dowie. W dodatku lady Luce robiła, co tylko w jej mocy, żeby tak się stało. Marina nie mogła znieść tego dłużej. Kit został uratowany kosztem jej spokoju. Tęskniła do niego, wiedząc, że nie wolno jej się z nim zobaczyć. Słynny uwodziciel miał zamiar pozostać w Londynie... więc ona musiała wyjechać.

Wszedł ochmistrz.

- Lady Stratton czeka w powozie, milady. Przekazuje pozdrowienia i uprzejmie pyta, czy panna Beaumont może towarzyszyć jej w popołudniowej przejażdżce.

- Nie - wyszeptała Marina.

- Oczywiście - stwierdziła stanowczo lady Luce. - Przyńś swój kapelusz i pelerynę, Marino. Pośpiesz się. Lady Stratton nie powinna zbyt długo na ciebie czekać.

- Jesteś bardzo blada, moja droga. Dobrze się czujesz?

- Jestem... trochę zmęczona, milady, to wszystko - skłamała Marina. - Przyjęcie skończyło się bardzo późno.

- A ty, oczywiście, musiałaś czekać na wyjście ostatniego gościa. Wiem, że rola damy do towarzystwa nie należy do łatwych, i podejrzewam, że lady Luce jest wymagającą chlebobdawczynią.

- Nie, milady, myli się pani! - zaprotestowała Marina. - Lady Luce jest dla mnie bardzo łaskawa... i... i...

Lady Stratton poklepała dłoń Mariny.

- Proszę mi wybaczyć. To nie było ładne z mojej strony, tym bardziej że lady Luce tak wspaniałomyślnie pozwoliła ci poświęcić mi czas. Jak to się stało, że zmieniła zdanie?

- To... Nie chodziło o brak pozwolenia ze strony lady Luce, milady. Ja... pomyślałam, że będę jej potrzebna, więc sama...

- To bardzo chwalebne, moja droga, ale dobrze, że tu jesteś. Prawda, że to piękny dzień na przejażdżkę po parku?

Marina z wdzięcznością skinęła głową.

- Muszę ci powiedzieć - kontynuowała lady Stratton, zniżając głos - że ten wczorajszy skandal bardzo nam pomógł. Kit zaręczył się z najstarszą córką lady Blaine... Muszę tu zaznaczyć, że jego bliscy nie byli z tego zadowoleni... a w obecnej sytuacji sprawa tego małżeństwa upadła. Kit nie może wejść do tej rodziny. Przecież nikt nie poda im ręki, a poza tym... No, ale przecież wiesz o wszystkim. Czy lord Luce jest ojcem chrzestnym panny Blaine?

- Tak - powiedziała Marina.

- Zapewne wiesz, do jakich metod uciekł się, by usidlić Kita. Bardzo szanuję wdowę, panno Beaumont, ale trudno mi ciepło myśleć o jej synu. Nie zachował się jak dżentelmen.

Marina nie miała niczego do dodania. Wszystko, co powiedziała lady Stratton, było prawdą.

- Hugo powiedział mi, że Blaine'owie wyjadą za granicę zaraz po powrocie wicehrabiego. Myślę, że biedak przeżyje szok.

Marina poczuła się winna. Nie zastanawiała się nad osobą wicehrabiego; miała na uwadze jedynie dobro Kita. Okazała się podła, nikczemna.

- Nie powiem, żeby mnie to martwiło - ciągnęła lady Stratton. - Lord Blaine jest starym draniem, podobnym do swego świętej pamięci ojca. Zbił majątek na plantacjach trzciny cukrowej, uciekając się do różnych metod, a teraz wszelkimi sposobami stara się powiększyć fortunę. Włos się jeży na głowie od niektórych opowieści na ten temat. Kit

uważa... Ale pewnie nudzi cię moja paplanina. Powiedz mi, czy dobrze się bawiłaś na przyjęciu? Oczywiście po zakończeniu gry w faraona.

- Niewiele pamiętam, milady. Wcześniej było tyle zamieszania. .. Gdybym nie zapytała o tę brakującą kartę...

- Gdybyś nie zapytała o tę kartę, lady Blaine nie została by zdemaskowana jako oszustka, a ja wciąż martwiłabym się, że Tilly Blaine zostanie moją szwagierką. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczna.

Marina poczuła, że się rumieni.

- Wygląda na to, że Tilly Blaine jest jedyną osobą w tej rodzinie, która wszystko przyjmuje za spokojem. Jest tak zachwycona możliwością podróży po Europie, że nie martwi się niesławą matki. Dziwna dziewczyna. Ma głowę tak nabitą poezją, że brakuje miejsca na zdrowy rozsądek.

Było już późno, kiedy Marina wróciła do domu lady Luce. Pomyślała, że musi szybko przebrać się do kolacji. Lady Luce nie znosiła niepunktualności.

Zdjęła suknię i spryskała twarz wodą; nie miała czasu na dalsze zabiegi. Jej włosy... Fryzura pozostawiała wiele do życzenia, kosmyki wymknęły się z upiętego wężła. Powinna...

- Mogę w czymś pomóc, panno Marino? - Służąca lady Luce nadeszła niemal bezszelestnie.

- Gibson! - powitała ją z ulgą Marina. Stara garderobiana niezwykle zręcznie upinała włosy. - Dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Jestem potwornie spóźniona. Możesz pomóc mi coś zrobić z fryzurą?

- Proszę się o nic nie martwić, panienko. Jaśnie pani poprosiła, żebym panience pomogła, bo przeciągnęło się pani spotkanie z lady Stratton. Proszę usiąść, to potrwa tylko chwilkę.

Marina spełniła prośbę i jak urzeczona patrzyła na Gibson, która dokonywała cudów z niesfornymi kędziorami.

- Gibson, jesteś prawdziwą czarodziejką - stwierdziła z uznaniem.

Garderobiana lekko się zarumieniła.

- Co też pani opowiada, panienko. Musimy znaleźć jakąś wieczorową suknię. Może włoży panienka tę z zielonego jedwabiu?

- Dobrze... Gibson, może wiesz, jakie są plany lady Luce na dzisiejszy wieczór? Czy będziemy gdzie wychodzić?

- Tak mi się wydaje, panienko. Jaśnie pani nie powiedziała tego wyraźnie, ale ma na sobie jedną z najelegantszych sukni.

- W takim razie rzeczywiście włożę tę z zielonego jedwabiu - zgodziła się Marina - i odpowiednie pantofelki.

Kiedy rozbrzmiał gong na kolację, Marina spokojnie zstępowała ze schodów, jakby nigdy się nie śpieszyła.

Lady Luce nie dała się zwieść. Zmierzyła Marinę spojrzeniem od stóp do głów, po czym z zadowoleniem skinęła głową.

- Muszę przyznać, że jest ci wyjątkowo ładnie w tej sukni - powiedziała. - Może ma trochę za duży dekolt, ale przynajmniej nie jest taka przezroczysta jak większość strojów, które noszą dziś młode dziewczyny. - Przeszła do jadalni i usiadła na swoim miejscu. - Szkoda, że nie będziesz dziś miała okazji się zaprezentować.

Wyglądało na to, że nie czekało ich wyjście. Marina poczuła rozczarowanie, za które natychmiast zganiła się w myślach. Nie miała prawa spodziewać się wieczornych rozrywek.

- Wybieram się na przyjęcie karciane. Sama - oznajmiła stanowczo lady Luce. - Po wczorajszym występie budziła-bys zbyt wielkie zainteresowanie

Marina musiała przyznać, że lady Luce ma rację.

Podczas kolacji starsza pani gadała jak najęta. Marina była jej za to wdzięczna, ponieważ wolała milczeć. Ciągłe powracała myślami do Kita Strattona, chociaż robiła wszystko, by wymazać jego obraz z pamięci. Nie musi już żenić się z Tilly Blaine...

Nie miała prawa się tym interesować. Kit Stratton powinien zniknąć z jej życia. Jej bezmyślne postępowanie doprowadziło do przykrych konsekwencji, jednak dzięki sztuczkom karcianym, których nauczył ją ojciec... i sporej dozie szczęścia, udało jej się naprawić wyrządzone krzywdy, przynajmniej jeśli chodziło o Kita. A Blaine'owie... Musiała nauczyć się żyć z tym, co zrobiła. Szczerze wyznania lady Stratton w powozie dowodziły, że ta rodzina zasłużyła sobie na swój los. Marina odniosła nawet wrażenie, że Tilly Blaine niezwykle szybko wyleczyła się ze swej miłości do Kita. Zapewne wkrótce zakocha się w jakimś włoskim poecie.

- Jeśli jesteś już gotowa, Marino... - Lady Luce wstała od stołu.

Marina zerwała się na nogi.

- Przepraszam, milady, ale się zamyśliłam.

- Hm... - mruknęła lady Luce, kierując się do salonu.

- Przepraszam, milady. Właśnie nadeszła wiadomość dla pani.

Starsza pani zareagowała na słowa ochmistrza dopiero wtedy, gdy znalazła się na podeście schodów.

- Przynies ją tutaj - powiedziała ostro. - Nie potrafisz czytać z tej odległości.

Marina z trudem powstrzymała śmiech. Lady Luce znów była w doskonałej formie.

Wiadomość pochodziła od lady Marchant.

- Nie bądź taka przygnębiona, Marino. To prawdziwa pe-

rełka. Zapewniam cię, że ci się spodoba. - Lady Luce usiadła w swoim fotelu i popatrzyła na karafkę.

Marina już dawno temu nauczyła się bezbłędnie odczytywać sygnały dawane jej przez lady Luce. Napełniła kieliszek i postawiła go na stoliku, tuż przy dłoni starszej pani, po czym usiadła na stołku.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. - Lady Luce rozpostarła list lady Marchant i uniosła lornion, by ponownie przeczytać wiadomość. - Tak, to wspaniale. Wygląda na to, że młody Kit Stratton już niedługo będzie najprzystojniejszym uwoźdźcą w Londynie.

- On też wyjeżdża za granicę? - Marina przeżyła zaskoczenie. Lady Luce nie wspomniała jej o takiej ewentualności.

- O, nie. To byłoby za proste. - Sięgnęła po kieliszek, upiła łyżeczkę i uśmiechnęła się z przyjemnością. - Mogłam przebaczyć ci, moje dziecko, że wtrąciłaś się w moje sprawy w związku z długiem wobec młodego Strattona, ale nigdy nie wybaczę mu zuchwałości, jaką okazał, kiedy oddawał mi skrypt dłużny. Arogancki szczeniak... - Spochmurniawszy, popatrzyła na Marinę. - Po tym jak cię potraktował, sądzę, że będziesz zadowolona z tego, że dostanie nauczki.

Marinie ścisnęło się serce. Z każdym słowem lady Luce coraz trudniej było jej oddychać.

- C-co pani ma na myśli, milady? - wyszeptała.

- Oczywiście zemstę rogakacza. Wygląda na to, że mąż baronowej nie zamierza dłużej udawać, że nic się nie dzieje. Zadbał o to, nie wątpię, że z ochoczą pomocą Mechante, by troszkę oszpecić śliczną buzię Kita.

Przerażenie i oburzenie dodały Marinie sił. Zerwała się na nogi.

- Musi pani go powstrzymać! - zawołała.

- Dlaczego? Nikt nie zamierza zamordować naszego Strattona w Green Park. Myślę, że to będzie jakaś mała bójka... parę cięć i sińców, nic więcej. Kit niedługo potem dojdzie do siebie.

- Ależ, milady, nie może pani...

- Przestań przejmować się drobiazgami, Marino. Masz zdecydowanie za miękkie serce. - Wstała i wyszła z salonu.

Marina została sama. Mogła liczyć tylko na siebie. Nie miała czasu na zmianę ubrania, gdyż atak mógł nastąpić w każdej chwili. Nie wiedziała, gdzie może znaleźć Kita.

Chyba tylko w Green Park.

- Nie pójdziesz sam, Kit.

Kit uniósł brwi. Hugo zachowywał się jak uparty starszy brat.

- Zgadzasz się?

- Tak, skoro nalegasz.

- To dobrze - stwierdził Hugo. - Wybierasz się na potajemne spotkanie z baronową, przynajmniej ona tak to nazwała w swoim liście, ale coś mi się tu nie podoba. Skoro tak jej zależało, żebyś przyszedł sam, będę twoim... stangretem.

Kit roześmiał się.

Hugo położył mu dłoń na ramieniu.

- Będziesz miał okazję się przekonać, braciszku, że powożę równie dobrze, jak ty... i lepiej niż mój stangret. Nikt nie zwróci na mnie uwagi, zwłaszcza że włożę zwykłą ciemną pelerynę.

Kit pokiwał głową. Wiedział, że Hugo ma rację.

- Ubiorę się podobnie - stwierdził. - Nie ma sensu wystawiać się baronowi na cel, jeśli zamierza użyć pistoletu. Myślisz, że on chce mnie zastrzelić, Hugonie?

- To możliwe. Musimy być na to przygotowani. - Zrobił

pauzę. - Chyba że chcesz zupełnie zapomnieć o tym spotkaniu. Zawsze przecież możemy iść do klubu.

- Wiesz, że to niemożliwe. Musimy się przekonać, co się święci. Jeśli nie stawię się na to spotkanie, znajdą inną okazję do ataku. A następnym razem mogę nie zostać ostrzeżony. No i nie będzie przy mnie obrońcy w postaci oddanego mi stangreta.

- Twój stangret, z pistoletem, przyjedzie po ciebie za godzinę. Poszukaj odpowiedniej peleryny, braciszku. Tylko wybierz jakąś przyzwoitą. Jeśli mam wieźć twoje ciało do domu, niech przynajmniej będzie elegancko ubrane.

W panującym mroku ścieliły się cienie. Green Park wydawał się tętnić życiem, jednak być może takie wrażenie stwarzał wiatr, szeleszczący w drzewach.

Zanim Hugo zdążył zejść z kozła, Kit znalazł małego urwisa, który zgodził się popilnować koni za szylinga. Bracia mieli nadzieję, że przynajmniej jeden z nich wróci, żeby zapłacić chłopakowi.

- Nie widzę nikogo - powiedział cicho Hugo. - Jeśli tu są, musieli dobrze się ukryć. Masz pistolet?

Kit poklepał się po kieszeni.

- I laskę. Katharina poprosiła, żebym szedł ścieżką wśród krzewów. Ma wyjść mi naprzeciw, kiedy się upewni, że jestem sam.

- Powiedziała, które wejście masz wybrać?

- Nie. A dlaczego miałoby to mieć znaczenie?

- Bo to stwarza nam przewagę. Wyruszysz stąd, a ja będę szedł z drugiej strony. Nie będą wiedzieli, który z nas to Kit.

- Nie, Hugo. To moja sprawa. Nie chcę, żebyś znalazł się na linii strzału barona. Pójdę sam. Możesz przyjść mi z po-

mocą, jeśli będę tego potrzebował. Zorientujesz się, kiedy nadejdzie ten moment.

Hugo nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Mówię poważnie, Hugonie - stwierdził ponuro Kit. - Chcę, żebyś wrócił do Emmy cały i zdrowy.

Hugo zamyślił się.

- Przynajmniej daj mi czas na wejście drugą bramą. Jeśli uda mi się przemknąć wśród krzewów, będę mógł szybciej znaleźć się przy tobie.

Kit uznał, że propozycja brata nie jest pozbawiona sensu, mimo to wciąż się wahał. Jeśli Hugonowi coś się stanie, zostawi wdowę z trojgiem dzieci, podczas gdy na Kita nikt nie czekał. Marina go odtrąciła.

- Kit? Co mówisz? Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- No, dobrze, rób, jak chcesz, skoro musisz. Dam ci dwie minuty, a potem ruszę ścieżką. - Wyciągnął rękę. - Niech Bóg ma cię w opiece.

Hugo położył rękę na dłoni brata; drugą poklepał go po ramieniu.

- Zaskoczmy ich, Kit - powiedział - Wellington byłby z nas dumny. Z Bogiem!

Udał się w stronę powozu i odległej bramy. Kit patrzył, odliczając sekundy. Gdy minęły dwie minuty, włożył rękę do kieszeni, chwycił kolbę pistoletu i ruszył okrytą mrokiem ścieżką, energicznie wymachując laską.

Hugo absolutnie nie miał zamiaru kryć się w krzakach i czekać, aż Kit zostanie zaatakowany albo zabity. Trzymając kapelusz w ręku, pobiegł do końca parku, gdzie ścieżka dochodziła do ulicy. Tam przystanął dla złapania tchu i włożył kapelusz, przechylając go zawadiacko, tak jak zawsze czynił to Kit.

W gęstniejącym mroku nikt nie byłby w stanie ich rozróżnić. Odbezpieczył pistolet. Trzymał go w ręce, luźno zwisającej wzdłuż ciała, tak że broń ginęła w fałdach peleryny. Powoli ruszył przed siebie.

Zachowywał się jak przed rozpoczęciem pojedynku.

Przeszedł najwyżej pięćdziesiąt jardów, kiedy usłyszał szelest w krzakach po lewej stronie. Szybko popatrzył na ścieżkę, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność. Nie zauważył Kita. Pomyślał, że brat na pewno zaraz się pojawi.

Ruszył przed siebie.

- To Stratton! - dobiegł go męski głos z krzaków.

Odruchowo się uchylił, jednak nie padł żaden strzał. Z krzaków wyłoniło się trzech zwalistych osiłków. Zagrodzili mu drogę. W rękach trzymali pałki.

- A więc to tak - stwierdził ponuro. W przeciwieństwie do Kita nie miał laski.

Kątem oka dostrzegł jakąś kolorową plamę wśród drzew. Boże, była tam kobieta!

- Za tobą! - rozległ się kobiecy krzyk z drugiej strony.

Hugo uchylił się. Pałka czwartego mężczyzny minęła jego głowę dosłownie o włos.

Jakaś kobieta pisnęła. Po chwili rozległ się krzyk innej kobiety.

Hugo nie zwrócił na to uwagi. Napastnik zaatakował go z taką siłą, że niemal zgiął się przy tym wpool, odsłaniając szyję. Hugo uderzył go pistoletem, który po chwili wypadł mu z ręki. Odwrócił się, by bez broni stawić czoło pozostałej trójce.

Kit wyrósł jak spod ziemi. Posługując się laską jak szablą, skupił na sobie uwagę dwóch atakujących. Kolejny stał samotnie naprzeciwko Hugona.

Kit uśmiechnął się do brata.

- Myślę, że siły się wyrównały, panowie - powiedział spokojnie. - Trzech na dwóch.

Jeden z osiłków szybko obejrzał się za siebie. Popełnił błąd. Kit mocno uderzył go w nadgarstek. Mężczyzna zawył z bólu, upuścił pałkę i chwycił się za rękę.

- Złamałeś mi rękę! - krzyknął.

- Pewnie tak - potwierdził Kit, podchodząc do ostatniego napastnika. - Sprawdzimy, z czego ty jesteś ulepiony - rzucił złowrogo.

Mężczyzna zawahał się.

Kit cofnął się nieznacznie i popatrzył na Hugona, który mocował się ze swym rywalem. Kit natarł na przeciwnika.

Mężczyzna zrobił unik.

Kit obrócił się, by sparować cios.

Znów rozległ się krzyk kobiety. Kit popatrzył w jej stronę.

Mężczyzna, którego Hugo powalił na ziemię, wstał i trzymał teraz jakąś młodą damę za szyję.

Tą damą była Marina.

Kit poczuł, jak ogarnia go morderczy szal. W chwilę później zagłębił swą laskę, jak szablę, w brzuchu przeciwnika. Mężczyzna bez słowa osunął się na ziemię.

- Ostrożnie, Kit - wydyszał Hugo, przytrzymując swego przeciwnika.

Głos brata natychmiast ostudził Kita. Skupiony znieruchomiał.

Dwaj mężczyźni zostali obezwładnieni. Hugo wyraźnie wygrywał z trzecim. Jednak czwarty mężczyzna trzymał Marinę.

- Puście nas - wystękał - albo poderżnę jej gardło. Nie żartuję.

Kit odrzucił laskę i postąpił dwa kroki, wsuwając rękę do kieszeni.

- Puść ją, bo cię zabiję.

Mężczyzna się nie poruszył, jednak w słabym świetle zamigotało ostrze noża. Kit usłyszał zduszony jęk.

- Puść ją - powtórzył, wyciągając pistolet z kieszeni. - Nawet z tej odległości trafię cię w łeb, zanim zdążysz drgnąć. Puść ją.

Hugo obezwładnił swego przeciwnika.

- Nie bądź głupi! - krzyknął w stronę zbira. - To strzelec wyborowy. Zabije cię!

Mężczyzna stał niezdecydowany.

Ciszę rozdarł kolejny krzyk.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Marina usiłowała odwrócić głowę. Kątem oka dostrzegła w krzakach kobietę starającą uwolnić się od mężczyzny, który najprawdopodobniej trzymał ją za włosy.

- Dość tego - zagroził porywacz Mariny, przykładając jej nóż do gardła. - Jak się ruszysz jeszcze raz, to cię dziabnę.

Marina zeszywniała.

Nie czuła lęku, mimo że zdawała sobie sprawę, iż może zginąć. Niebezpieczeństwo wyostrzyło jej zmysły. Czuła odór niemytego ciała porywacza, jego przyśpieszony, cuchnący oddech. Nóż dotykający jej gardła nie pozwolił jej zapomnieć o śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Kilka jardów dalej, mimo zapadającego zmierzchu, rozpoznała potężną sylwetkę Kita gotowego do strzału. Postąpił kolejny krok w jej stronę.

- Dość! - zawołał porywacz Mariny. - Jeszcze krok, a ją zabiję.

Kit zatrzymał się. Powoli uniósł pistolet.

Porywacz Mariny schował się za nią. Teraz to ona stała się celem. Wstrzymała oddech. Była pewna, że Kit użyje broni tylko wtedy, gdy będzie pewny, że nie chybi. Kochała go, więc musiała mu ufać.

- Radzę odłożyć broń - powiedział ktoś ukryty w krzakach.

Marina nie mogła spojrzeć w tamtą stronę. To był męski głos z dobrze słyszalnym obcym akcentem.

Kit nie odrywał oczu od Mariny. Pistolet nawet nie drgnął w jego ręku.

- Nie, baronie - rzekł ponuro. - Dobrze pan wie, co o mnie mówią. Proszę powiedzieć swojemu człowiekowi, że zrobię to, co powiedziałem. Zabiję go, jeśli jej nie uwolni.

- Tak jak ja zabiję pana - rzekł baron, wychodząc na ścieżkę. Marina widziała go teraz. Lewą ręką trzymał żonę za ramię. Kiedy szarpnął ją tak, że znalazła się za nim, jęknęła.

W prawej ręce trzymał niewielki srebrny pistolet, wycelowany w Kita.

Nie! Krzyk uwiązał Marinie w gardle. Nie wolno jej rozpraszać Kita. Musiała coś zrobić... ale co? Nie dysponowała bronią. Nie mogła nawet kopnąć przeciwnika, gdyż wybiegła z domu w zielonych jedwabnych pantofelkach, które znajdowały się teraz w opłakanym stanie. Miała prawie bose stopy.

Usłyszała, że przyśpieszony oddech mężczyzny trochę się uspokoił. Zaczynał czuć się bezpiecznie, osłaniany bronią barona. Ręka, w której trzymał nóż, nieznacznie się rozluźniła.

To musiało nastąpić teraz.

Głęboko zaczerpnęła tchu i z całej siły wbiła łokieć w żebra mężczyzny.

Zgiął się wpół z głuchym stęknieniem. Nie miała teraz noża przy szyi. Rzuciła się w stronę Hugona, schodząc z linii strzału.

Kit nie poruszył się. Jego pistolet wciąż był wycelowany w porywacza, który powoli się prostował.

- Nic ci nie zrobił, Marino? - zapytał schrypniętym głosem.

- Nie, nie. - Dlaczego się o nią martwił? Powinien bronić się przed baronem. - Uważaj, Kit! - zawołała.

Uśmiechnął się w ciemności. Nie odwracając się w stronę barona, powiedział spokojnie:

- Jeśli chciał mnie pan zabić, powinien był pan to już zrobić. Baron przyciągnął żonę. Zakwiliła z bólu.

- Proszę sobie nie wyobrażać, że kiwnę choćby palcem w obronie pańskiej żony - stwierdził oschle Kit. - Nasz romans dawno już się zakończył. Uważam, że powinien pan szukać satysfakcji u jej nowego kochanka.

Marina zamknęła oczy, przerażona. Baron nie mógł puścić płazem takiej zniewagi. Musiał zastrzelić Kita.

Po dłuższej chwili baron powiedział wolno i dobitnie:

- Niech ci mężczyźni odejdą, Stratton. To sprawa między nami.

Kit popatrzył na Hugona, który pokiwał głową i puścił swego jeńca. Mężczyzna pokuśtykał tam, gdzie leżał jego współnik, unieszkodliwiony przez Kita, i wywłókł go w ciemność. Porywacz Mariny i mężczyzna ze złamanym ramieniem wzięli nogi za pas.

- I jak tu mówić o bandyckim honorze? - skonstatował Kit, powoli odwracając się w stronę barona.

- Mamy sytuację patową, Stratton.

Marina ruszyła przed siebie. Gdyby tak udało jej się wejść między nich...

Hugo złapał ją, zanim zdążyła przejść choćby jard, objął ją ramieniem i mocno przytrzymał.

- Nie, Marino - wyszeptał. - Nie wtrącaj się. Zostaw to Kitowi. - Gdy nie przestawała się szarpać, roześmiał się cicho. - Zaufaj mu, moja droga. Obiecuję ci, że do ciebie wróci.

Marina znieruchomiła zaskoczona. Zabrzmiało to tak, jakby...

- Możemy rozegrać to tutaj? Czy woli pan spotkać się ze mną na honorowym polu, jak dżentelmen? - Ton głosu barona jawnie dowodził, że nie uważa Kita za dżentelmena.

- Jak pan woli - nie zwlekał z odpowiedzią Kit. - Nie będzie to miało żadnego wpływu na wynik.

Baron szybko powiedział coś po niemiecku. Jego żona jęknęła.

- Powiedziałem prawdę - rzekł Kit. - Nie jestem już kochankiem pańskiej żony. Ale nim byłem. Ma pan pełne prawo mnie zabić.

- Chce pan powiedzieć, Stratton, że pan nie ma takiego prawa w stosunku do mnie?

Kit milczał.

Dopiero wtedy Marina wszystko zrozumiała. Gdyby spotkali się w pojedynku, Kit nie strzeliłby do barona, tylko stałby, dumny i zuchwały, pozwalając skrzywdzonemu mężowi na zemstę. Tak właśnie wyobrażał sobie sprawiedliwość.

Baron również musiał zrozumieć przesłanie Kita, gdyż opuścił broń.

- Nie podoba mi się pomysł popełnienia morderstwa z zimną krwią - oznajmił.

Kit wskazał głową w stronę, w którą zniknęli napastnicy.

- Czyżby? - zapytał lodowatym tonem.

- Nie zabiliby pana - odparł rzeczowo baron. - Ale stałby się pan trochę mniej atrakcyjny dla dam. To wszystko. - Nie rozluźnił żelaznego uścisku, w jakim trzymał ramię żony. - Katharina chętnie pana tu zwabiła. Powiedziała, że pragnie zobaczyć, jak dostaje pan to, na co zasłużył. Uznałem, że może to okazać się pouczające... dla was obojga. - Popatrzył na żonę. Po jej zbiegających policzkach płynęły łzy. - Tak, tak. Myślę, że już wystarczy. - Otoczył ją ramieniem, jednak nie był to miłosny gest. - Pójdziemy - stwierdził. - Gratuluję panu, Stratton, i pańskiemu bratu. Nie spodziewałem się, że komukolwiek uda się przeciwstawić tej groźnej czwórce.

- Skłonił się sztywno, po żołniersku. - Jestem pewien, że rozumie pan, iż nie będziemy już z sobą rozmawiać.

Kit odwzajemnił ukłon barona, ten jednak odwrócił się z zamiarem odejścia. Po chwili oboje z żoną zniknęli z pola widzenia.

Marina wyprostowała się i dopiero wtedy Hugo ją uwolnił. Przedtem jednak poczuła lekki uścisk pocieszenia.

- To była zacięta walka - uznał Hugo.

- Owszem - przyznał Kit.

Marina byłaby gotowa przysiąc, że unikał wzroku brata.

- A jeśli chodzi o ciebie, kobieto - zwrócił się do niej Kit - to chciałbym się dowiedzieć, co ty wyprawiasz? - Chwycił ją za ramiona tak jak kiedyś, lecz tym razem nią nie potrząsał, tylko przyjrzał się jej uważnie. - Jesteś najbardziej nieznośną, nieposłuszną, szaloną...

Hugo wymownie chrząknął.

- Idź doglądnąć koni. Muszę powiedzieć, że słabo spisujesz się jako stangret - skarcił go Kit.

Hugo wybuchnął śmiechem.

- Już się robi - powiedział, kłaniając się tetralnie. - Według woli jaśnie pana.

- Marino. - Kit odgarnął jej włosy z twarzy. - Marino - powtórzył z czułością. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Jak mam sobie dać z tobą radę?

Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Chyba chodziło mu o...

Chwycił ją w ramiona i zaczął całować jej twarz tuż przy linii włosów, by potem obsypać pocałunkami jej czoło, oczy... Jęknęła z zachwyty.

Cofnął się.

- Marina? Boże, co ja robię! Jesteś ranna. I zmarznięta. Masz. - Okrył ją własną peleryną i chwycił za ramiona. -

Twoja szyja... niech no spojrzę. - Niezwykle delikatnie uniósł podbródek Mariny, by obejrzeć miejsce zetknięcia skóry z nożem. - A niech to...! Nic nie widzę! - Ścisnął ją mocniej. - Chodź. W powozie jest światło.

Stąpnęła na coś ostrego; krzyknęła z bólu.

- Boże! - krzyknął. - Twoje stopy! - Chwycił ją na ręce, nie zwracając uwagi na nieśmiałe próby protestu i wyniósł ją z parku. Hugo siedział już na koźle, a uśmiechnięty chłopak trzymał konie za uzdy.

Hugo zeskoczył, by otworzyć drzwiczki powozu.

- Próba uprowadzenia? - zażartował.

Kit uśmiechnął się.

- Jedź do Fitzwilliam House - polecił. - Bardzo wolno.

Kit zignorował protesty Mariny, która twierdziła, że została ledwie draśnięta. Delikatnie obwiodł palcem czerwoną linię na jej szyi. Zauważył kroplę krwi. Zaklął pod nosem. Powinien był zabić tego rzezimieszka!

- Co tam zobaczyłeś? - zapytała Marina.

- Krwawisz - odpowiedział szorstko. - Zaciał cię...

- To moja wina - odpowiedziała, kładąc mu rękę na dłoni. - Poczułam ukłucie noża, kiedy chciałam się wyrwać. To nic groźnego.

- Mógł cię zabić, ty moja cudna wariatko.

Marina uśmiechnęła się nieśmiało. Zaczynała lubić jego zniewagi.

- A twoje biedne stopy...

- To też moja wina. Powinnam była zmienić pantofelki na buty do wyjścia, ale bałam się... że mogę przyjść za późno.

- Za późno na co? - zapytał, kładąc jej poobcierane stopy na swoich kolanach.

- Żeby pana ostrzec, bo... - Urwała i popatrzyła na niego pytająco. - Spodziewam się, że mi pan powie, iż moje ostrzeżenie nie było potrzebne i że moje pojawienie się w parku tylko naraziło mnie na niebezpieczeństwo.

- Coś w tym rodzaju - mruknął, zdejmując strzępy zielonego jedwabnego pantofelka z jej stopy.

Marinę przeniknął dreszcz.

Kit zdawał się tego nie zauważać. Powoli zdjął drugi pantofelek.

Znów zadrżała. Tym razem to zauważył.

- Co pan robi? - zapytała chrapliwym szeptem.

Kit zaczął tak delikatnie głaskać jej bosc stopy, że zamknęła oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Wparła się plecami w miękką sofę, broniąc się przed uczuciami, które w niej wzniecał, jednocześnie z całej siły pragnąc, by nie przestawał. Jęknęła cicho.

- Hm - odpowiedział pomrukiem Kit. - Obawiam się, że trzeba to zdjąć.

Marina miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Jego słowa docierały do niej z trudem. Paliła ją skóra, jednak umysł znalazł się w stanie odrętwienia, jak zaczarowany pieszczotami Kita.

Przesunął dłonią po kostce, potem łydce. Było to wspaniałe. Kiedy uniósł spódnice, by zdjąć jej podarte pończochy, nie zrobiła nic, żeby mu to uniemożliwić. Rozwiązał podwiązki, delikatnie przy tym gładząc wewnętrzną stronę jej uda. Czowała, że zaczyna brakować jej tchu. Po chwili ostrożnie ściągnął jej pończochy, dbając, by nie podrażnić przy tym poranionej skóry.

Wciąż cicho mruzczała, kiedy posadził ją sobie na kolanach i zaczął ją całować. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, miała tylko świadomość, że otoczyły ją ramiona ukochanego

mężczyzny, który pieścił ją i całował tak, jakby ją kochał. Jakiś słaby głos dawnej Mariny starał się mówić jej, że Kit jest łajdakiem, który doskonale wie, jak uwodzić prostoduszne, niewinne kobiety takie jak ona, jednak pozostała głucha na te ostrzeżenia. Była zbyt szczęśliwa.

Z początku całował ją delikatnie, z wahaniem, jakby niepewny jej odpowiedzi, gdy jednak zaczęła odwzajemniać pocałunki, namiętność wybuchła z wielką siłą. Przyciągnął ją do siebie, tak że czuła jego twarde mięśnie, i głaskał ją po plecach i włosach. Kiedy w końcu kasztanowe kędziory spływały jej kaskadą na plecy, usłyszała głęboki śmiech zadowolenia. Następnie zmienił sposób całowania, stał się gwałtowny, wręcz niecierpliwy, a ona przyłgnęła do niego, jakby błagając o kolejne pieszczoty. Mimo swej niewinności reagowała z pasją kochanki.

Z jękiem wypowiedział jej imię.

Nawet gdyby nigdy już nie przeżyła podobnej chwili, na zawsze zapamięta ten dźwięk swego imienia.

Wsunął palce za jej stanik i rozwiązał kokardki koszulki. Jęknął znowu, ujmując jej pierś. Przez cały czas pozostawiali złączeni pocałunkiem. Po chwili zaczął pieścić brodawkę piersi, z początku delikatnie, by coraz gwałtowniej ścisnąć ją kciukiem i palcem wskazującym. Marinę ogarnęła fala gorąca. Miała wrażenie, że za chwilę się roztopi.

A więc tak wyglądała namiętność... potrzeba zespolenia, spełnienia.

Kit przerwał pocałunek. Oddychał ciężko.

Marina zakwiliła. Nie była w stanie otworzyć oczu. To wszystko wydawało jej się cudowne.

- Wybacz mi - powiedział chrapliwie, wtulając jej głowę w zagłębienie swego ramienia. - Nie powinienem być tego robić.

Powoli otworzyła oczy. Były wielkie i pociemniałe z pożądania. Kit nie był pewien, czy Marina w ogóle go widzi. Starał się wygładzić jej suknię i zapiąć guziki, nie mógł się jednak powstrzymać od dotykania przy tym piersi. Miała piękną, mleczną skórę. Było to bardzo kuszące...

- Kit - powiedziała ustami obrzmiałymi od pocałunków - proszę...

- Nie, najśodsza, nie tutaj. Nie w brudnym, cuchnącym powozie, pamiętasz? W moim łóżku. Dobrowolnie.

Nie odpowiedziała. Poczul, że oddaliła się od niego.

Uklęknął na podłodze i wyjąwszy chustkę, zaczął delikatnie ścierać brud i krew z jej stóp. Za wszelką cenę chciał jej udowodnić, jak wiele dla niego znaczy. Nie potrafił przekazać tego w inny sposób.

- Trzeba cię wykapać, Marino. Emma na pewno da ci jakąś maść i bandaże...

- Emma? - Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Emma. Moja szwagierka. Żona Hugona. Zabieram cię do niej.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknęła. - Nie jestem twoją... Boże! Jak ja wyglądam! - Rozpaczliwie starała się uporządkować włosy. - Muszę wrócić do domu lady Luce... tam, gdzie jest moje miejsce. Muszę... Boże, co ona sobie o mnie pomyśli? Jak jej to wszystko wyjaśnię?

Kit wepchnął podarte pończochy pod siedzenie powozu, poza zasięg wzroku Mariny.

- Powiesz jej prawdę - oznajmił z naciskiem. - Albo ja to zrobię. Wybiegłaś z jej domu, żeby uratować mi życie.

- Ale...

- I to ci się udało. Jesteś bardzo dzielną kobietą, Marino Beaumont.

Objął ją wzrokiem. Była zaróżowiona z emocji, a teraz

także z zakłopotania. Wyglądała tak pięknie, że wstrzymał oddech.

Mocne pukanie w dach przywróciło Kita do rzeczywistości. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że powóz stoi. Uchylił szybę i wysunął głowę.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Dojechaliśmy do Fitzwilliam House, jaśnie panie - oznajmił Hugo.

- W takim razie zawróć ten cholerny powóz i odwieź damę do domu.

- Do domu, jaśnie panie?

- Tak. Do domu lady Luce. Porwanie zostało odłożone na później.

Kit uparł się, że zanieśie Marinę. Okrył ją swoją długą ciemną peleryną, żeby choć trochę ją zasłonić przed oczami ciekawskiej służby, nic nie było jednak w stanie ukryć tego, że miała rozpuszczone włosy i bosa stopy. Niosąc Marinę do salonu, czuł, że jest jej wstyd.

Lady Luce jeszcze nie wróciła.

- Zaniosę cię do sypialni - zaproponował.

- Nie! I tak bardzo źle się stało, że przyniosł mnie pan tutaj. Proszę... proszę mi pozwolić stanąć na własnych nogach. A potem proszę wyjść.

A więc tak to sobie wymyśliła. Nadszedł czas, żeby pokazać jej, że nie zawsze musi postawić na swoim.

- Marino, pójdę sobie, kiedy obiecasz mi, że przestaniesz zachowywać się jak idiotka. - Delikatnie posadził ją na fotelu. - Co się z tobą dzieje?

- Lady Stratton powiedziała, że pańskie zaręczyny z panną Blaine zostały zerwane. Czy... czy to prawda? - Wpatrzyła się w swoje ręce.

- A jak myślałaś? W końcu to ty umożliwiłaś mi ucieczkę... tymi swoimi zręcznymi dłońmi. Chyba ci jeszcze za to nie podziękowałem. - Skłonił się szarmancko. - Kobieta taka jak Tilly Blaine może doprowadzić mężczyznę do rozpaczy. Potrzebuję kobiety, która zna wartość ciszy...

- O! - westchnęła.

- I ma odwagę. Moja żona musi...

Drzwi otworzyły się.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła lady Luce. - Co wy tu robicie? Marino, myślałam, że jesteś... - Odwróciła się, by odprawić ochmistrza, po czym chwiejnym krokiem przeszła przez pokój i osunęła się w fotel.

Marina usiłowała się podnieść.

- Nic się pani nie stało, milady?

Kit przytrzymał ją za ramię.

- Nie ruszaj się. Ja się wszystkim zajmę. - Hojnie nalał brandy do kieliszka i wsunął go do drżącej dłoni lady Luce. - Proszę to wypić, milady. Od razu lepiej się pani poczuję.

Lady Luce nie potrzebowała zachęty Kita. Wlała w siebie zawartość kieliszka i natychmiast wyciągnęła rękę po kolejną miarkę. Tym razem piła brandy nieco dostojniej, co pewien czas poprawiając perukę.

- No, teraz lepiej - obwieściła.

Kit uśmiechnął się do Mariny. Jego cyniczna poza gdzieś zmknęła, zastąpiona wyrazem zachwytu i... miłości. Marina poczuła, że robi jej się ciepło na sercu. Wspomniał coś o tym, jaka powinna być jego żona... Nie, to chyba niemożliwe.

- Mam nadzieję, że wytłumaczy mi pan swoją obecność - odezwała się nagle lady Luce, odstawiając kieliszek.

- Obawiam się, że nie rozumiem. Co mam wytłumaczyć, milady? - zapytał Kit.

Marina widziała, że Stratton opanowuje się z najwyższym trudem.

- Swoją obecność tutaj - powtórzyła lady Luce. - Skoro jest pan tutaj, to nie może być pan tam, prawda? Proszę mi to wyjaśnić.

Tym razem starsza pani była wyraźnie wstrząśnięta. Mówiła zagadkami.

- Czy coś się stało, milady? - zapytała łagodnie Marina.
- Na przyjęciu?

Lady Luce przytaknęła słabym ruchem głowy.

- Poszłam do Mechante. Przyszli tam jacyś mężczyźni. Domagali się pieniędzy od Mechante. Wyraźnie za usługi, które im zleciła. Domyślałam się, że nie wykonali zadania. Oczywiście nie zamierzała im płacić, więc zaczęli demolować dom. Będzie musiała wydać mnóstwo pieniędzy, żeby doprowadzić wszystko do porządku.

- Nie jest pani ranna, milady? - zapytał cicho Kit.

Marina zdała sobie sprawę, że jest szczerze przejęty. Dobrze wiedział, że każdy z tych osiłków mógł jednym palcem pogruchotać starszej pani kości.

Lady Luce pokręciła głową, po czym się roześmiała.

- Mechante odniosła obrażenia. Nie spodobało im się, że chciała ich wyrzucić. Jutro będzie miała okropne sińce i podbite oko.

Marina westchnęła. Lady Marchant otrzymała to, na co zasłużyła.

- A pan uważa, że ja też mam za swoje, co? Proszę się przyznać - stwierdziła cierpko lady Luce.

Kit milczał. Patrzył na Marinę.

Lady Luce udała, że tego nie zauważa.

- Cóż, prawdopodobnie ma pan rację. Sądziłam, że te czorty trochę cię oszpeca, ale... kiedy ich zobaczyłam, zro-

zumiałam, że nie powinnam... - Z trudem uniosła się z fotela. - Chcę położyć się do łóżka. Pan nie może tu zostać. Musi pan wyjść. Proszę zadzwonić na służbę.

Kit spełnił polecenie i uprzejmie podał jej ramię.

- Wiem, milady - powiedział cicho - że nawet surowe zasady obowiązujące w pani domu zezwalają zaręczonej parze pozostawać sam na sam.

Lady Luce wciągnęła powietrze tak głośno, że zagłuszyła westchnienie' Mariny. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu lady Luce zabrakło słów. A jeśli chodzi o Marinę...

Kit prowadził lady Luce w stronę drzwi.

- Powinna pani wiedzieć, że panna Beaumont uczyniła mi zaszczyt, zgadzając się zostać moją żoną. Wiem jednak, że miała pani ciężki wieczór, więc może pani wstrzymać się z gratulacjami do jutra. Rano Marina przeniesie się do Fitzwilliam House. Zawsze będzie nam miło panią gościć, jeśli zechce nas pani odwiedzić.

- Kit! Ty...!

- Później, Marino, moja najśłodsza. Później. Nie wprawiaj lady Luce w zakłopotanie takimi bezwstydnymi miłosnymi protestami. Należy jej się odpoczynek. - Uśmiechnął się do Mariny przez ramię, jednak zwracając się do lady Luce, przy której pojawiła się wierna służąca, natychmiast spoważniał. - Dobranoc, milady - powiedział z ukłonem. - Życzę miłych snów.

Zamknawszy drzwi, wrócił do Mariny.

- Gdybym mogła, Kicie Stratton, przebiegłabym przez ten pokój i uderzyła cię w twarz. Jak możesz mówić takie rzeczy?

Spojrzał na nią z miną niewiniątka. Nie dała się zwieść. Roześmiała się. Był to wspaniały, wesoły śmiech, jaki zawsze chciał usłyszeć.

- Jesteś nie tylko uwodzicielem, ale i łajdakiem. A ja wcale nie zgodziłam się zostać twoją żoną.

Wziął ją w ramiona, a potem zaczął ją całować, aż przestała mu się opierać.

- A teraz, Marino, zamierzam posłać po gorącą wodę i ręczniki, żeby umyć ci stopy, a ty, moja słodka, nie będziesz protestować. Możesz nawet śpiewać, kiedy będę opatrywał twoje rany. A potem zaniosę cię do pokoju...

- Nie!

- Żeby nie uchybić wymogom przyzwoitości, zrobię to w towarzystwie służącej. Jutro przeniesiesz się do Fitzwilliam House, a ja poczynię przygotowania, żeby zawieźć cię do Yorkshire i...

- Przestań! Już dość! Jesteś niemożliwy, Kicie Stratton. Nie pozwolę, żebyś rządził moim życiem jak... jak... - Nie znalazła wystarczająco obraźliwego słowa, które dosadnie określałoby jego arogancką postawę. Prawdę mówiąc, nie bardzo się starała. Miała ważniejsze rzeczy do powiedzenia. - Poza tym nie powiedziałam, że cię kocham ani że wyjdę za ciebie za męża...

- Ale to powiesz, prawda? - zapytał, obsypując pocałunkami jej szyję. - I zostaniesz moją żoną.

- Tylko pod warunkiem, że mnie kochasz - wyszeptwała.

- Do szaleństwa - odpowiedział i złożył namiętny pocałunek na jej wargach.

KONIEC